KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 11/85 1954



• «La Culture» • Revue mensuelle •

BUDUJEMY DOM

K. REGAMEY : **ANDRZEJ PANUFNIK**

W. A. ZBYSZEWSKI : **RZĄDY PANA PREMIERA**

SPIS RZECZY:

Konstanty Regamey:	*Andrzej Panufnik*	3
Paweł Hostowiec:	*Fantazje bywalca koncertowego*	17
Witold Gombrowicz:	*Fragmenty z dziennika*	29
Jan Tokarski:	*Powrót świętych* (dokończenie)	35
W. A. Zbyszewski:	*Rządy Pana Premiera*	47
	◆	
Florian Śmieja:	*Dum spiro*	56
Stefan Legeżyński:	*Lato opada czerwienią*	57
	DOKUMENTY CHWILI	
—	*Skarb Narodowy w Brazylii* ..	58
—	*P. A. T.*	59
—	*T. R. J. N.*	60
	ARCHIWUM POLITYCZNE	
Zespół „Kultury":	*Oświadczenie*	62
Juliusz Mieroszewski:	*Intelektualiści a Ameryka*	64
E. Żagiell:	*Kronika australijska*	71
	PRZEGLĄD NIEMIECKI	
Londyńczyk:	*Niemiecki sztab generalny* ..	75
	NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI	
Józef Mackiewicz:	*O pewnej, ostatniej próbie i zastrzelonym Bujnickim*	81
	KRAJ	
Stanisław Piotrowski:	*Architektura wczoraj i dziś* ..	96
K. A. Jeleński:	*„Tant pis, ou, ha, ha!"*	111
	PRZEGLĄD GOSPODARCZY	
Stanisław Zarzewski:	*Koegzystencja i handel*	114
	PRZEGLĄD KULTURALNY	
Teresa Skórzewska:	*W pracowni Turkiewicza*	123
Marian Pankowski:	*Biennale poetyckie*	125
Londyńczyk:	*Kronika angielska*	127
	KSIĄŻKI	
Marian Pankowski:	*Nowości poetyckie*	131
Jan Olechowski:	*Sto książek i jedna wielka powieść*	134
KAJ:	*Pod pretekstem „best-sellera"*	137
Andrzej Vincenz:	*Słowiański folklor*	138
(j):	*Notatki wydawnicze*	143
—	*W dwóch słowach*	145
(j):	*Przegląd miesięczników*	147
—	*Nadesłane nowości wydawnicze*	148
O. W. Brzeski, A. Gaś, K. Hrabyk, J. Ulatowski, J. Krzeczunowicz, St. Chromiński, L. Furatyk, M. Górczewski, K. A. Jeleński; Korespondencja z „Dziennikiem Polskim":	*Listy do Redakcji*	149
	◆	
—	*Résumé en langue française* ..	158
—	*English Synopsis*	159

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Listopad-Novembre 1954



INSTYTUT LITERACKI

DALSZE WPŁATY NA DOM "KULTURY"

Ks. Walery Jasiński, Orchard Lake (USA)	3.500 frs
X. Y. (Niemcy)	2.000 "
H. i *J. Kruszyńscy* (Anglia)	3.000 "
J. Hoffman, Londyn	1.000 "
J. M. Bachner (Anglia)	500 "
S. Krasicki, Londyn	2.000 "
S. Chyliński, Tilbury (Kanada)	1.750 "
M. D., Paryż	5.000 "
R. Fiks, Chicago	700 "
W. Szymaniak, Stockholm	1.000 "
Auberon Herbert, Londyn	100.000 "
Leonowa Orłowska, Paryż	50.000 "
J. Szczotka, Brooklyn	3.500 "
A. Czechnowski, La Porte (USA)	1.750 "
W. A. Zbyszewski, Monachium	5.000 "
Aniela Mieczysławska, New York	8.750 "
J. S. Langrod, Paryż	1.000 "
J. Zembrzuski, Paryż	10.000 "
A. Malycky, Cincinnati	525 "
A. T. Poniatowska-Serafin, Scottsdale (USA)	1.750 "
M. Górczewski, Toronto	700 "
K. Ryziński, Steyning (Anglia)	1.000 "
J. Poray-Biernacki, Londyn	1.000 "
L. Dudarew Ossetyński, Hollywood	3.500 "
H. Wieleżyńska, Agadir (Maroko)	1.000 "
M. Arendarski, Agadir (Maroko)	1.000 "
Zofia Unrug, Agadir (Maroko)	1.000 "
Ks. Wojciech Artur Rojek, Passaic (USA)	1.750 "
Anonimowo, Londyn	1.000 "
Wincenty Ratkowski, Chicago	17.500 "
Wit Tarnawski, Penley (Anglia)	5.000 "
Ewa Turska, Zürich	1.000 "
Siostra Elżbieta Rabowska, Mannedorf-Zürich	1.000 "
Oddział SPK, Szwajcaria	1.000 "

DZIĘKUJEMY.

Imprimé en France

Imprimerie RICHARD, 24, rue Stephenson, Paris (XVIIIe)

Andrzej Panufnik

Jest sprawą nieco żenującą, iż ucieczka Klimowicza lub bunt marynarzy z ,,Puszczyka'' odbiły się w opinii światowej znacznie głośniejszym echem niż sprawa Andrzeja Panufnika. Być może głównym powodem jest fakt, iż prasa zarówno zagraniczna jak przede wszystkim polska emigracyjna potraktowały tę sprawę od początku jako sensację polityczną. Z tego punktu widzenia inne ucieczki, które odbyły się w bardziej dramatycznych okolicznościach — chociażby wypadek Klimowicza, dla którego policja brytyjska zdobyła się na pogwałcenie takiej świętości jak ,,bank holidays'' — stanowią dla prasy niewątpliwie wydarzenia zarówno efektowniejsze jak łatwiejsze do zreferowania. Tu przynajmniej nie potrzeba zagłębiać się w subtelne zagadnienia rzetelności artystycznej, w delikatne przeciwstawienia światopoglądów estetycznych Wschodu i Zachodu (zwłaszcza iż ten ostatni nie ma żadnego jednolitego światopoglądu estetycznego) ani zastanawiać się nad stopniem zależności pomiędzy postawą artystyczną a ustosunkowaniem się do pewnych rzeczywistości politycznych. Toteż nawet w wypadku Panufnika dotychczasowe reakcje prasowe pominęły prawie całkowicie te ,,drugorzędne'' aspekty, albo potraktowały je wyłącznie na płaszczyźnie polityczno-propagandowej. W rezultacie spotkał się Panufnik na Zachodzie z tym samym, przed czym uciekał z Kraju : z ujęciem problemu twórczości artystycznej przede wszystkim z perspektywy jej doraźnej użyteczności politycznej.

Tymczasem w wypadku Panufnika mamy wydarzenie o zupełnie innej wymowie, pozwalające głębiej spojrzeć na ogólną sytuację twórczych artystów doby obecnej, niezależnie od takich czy innych poglądów politycznych. Pod tym względem nasuwa się niewątpliwie porównanie ze sprawą Miłosza. Uderza zwłaszcza zbieżność zarzutów stawianych przez niektóre czynniki emigracyjne tym obu artystom : to samo wytykanie zbyt późnego zdecydowania się na ,,wybranie wolności'', takie same oburzanie się na chęć zachowania obiektywizmu wobec rzeczy-

wistości krajowej i — co tu owijać w bawełnę — ukryta pretensja o to, że powodem powzięcia ostatecznej decyzji w obu wypadkach były nie tylko momenty polityczne, lecz ,,jedynie'' pobudki natury artystycznej. Nie mam zamiaru spierać się, która z tych dwu płaszczyzn jest ważniejsza. Chciałbym tylko podkreślić, iż wśród tych wszystkich, co w ostatnich czasach ,,wybrali wolność'', większość stanowią ludzie, którzy to uczynili wyłącznie z pobudek politycznych. Natomiast jest niewielu artystów wielkiej klasy, i już to jedno wystarczyłoby, by nie stosować do nich takich samych kryteriów. Z punktu widzenia wyłącznie politycznego ich decyzja nie dorzuca nic szczególnie nowego do szeregu innych ucieczek; natomiast tylko oni, przez swój krok, dają nam wgląd w obecną sytuację na odcinku mimo wszystko nie tak już drugorzędnym, jakim jest twórcza działalność na polu sztuki. Pod tym względem wypadek Panufnika jest nawet jeszcze ,,wyraźniejszy'' niż sprawa Miłosza, gdyż Miłosz w chwili obecnej stał się wyraźnie pisarzem politycznym, podczas gdy Panufnik nie ma chęci, jako muzyk, łączenia swej twórczości z jakąkolwiek ideologią polityczną.

Oczywiście sytuacja, w jakiej się dzisiaj znalazł, zmusza go do szeregu oświadczeń nie wiele mających wspólnego z istotnymi zagadnieniami artystycznymi; że w wypowiedziach tych nie wykazał zręczności zawodowego polityka, to go bynajmniej nie powinno kompromitować. Nie mam tu zamiaru dyskutować tych wypowiedzi ani referować danych przez Panufnika informacyj o warunkach życia i pracy muzyków w Polsce, o ich postawie itd. Są to wszystko sprawy, o których on sam tylko może mówić, na własną odpowiedzialność, i nie potrzebuje do tego ani pomocników ani doradców (1). Natomiast wolno i warto rozpatrywać ,,zagadnienie Panufnika'' na tle jego twórczości muzycznej, gdyż ta już nie należy wyłącznie do niego, jest dziedziną, o której jemu samemu jest najtrudniej mówić, a która stanowi bardzo istotny czynnik dla właściwej oceny znaczenia jego kroku w perspektywie ogólniejszej.

Wiem dobrze, że Panufnik nie jest jedynym kompozytorem zza ,,żelaznej kurtyny'', który wołał raczej wybrać niełatwe warunki życia emigracyjnego, niż korzystanie z ułatwień dostarcza-

(1) Najwyżej chciałbym tu złożyć pewne świadectwo, mające znaczenie dla zarzutu ,zbyt późnego zdecydowania się na opuszczenie Kraju'', pomimo tylu wcześniejszych możliwości. Teraz już o tym wolno mówić — w tym względzie na pewno nie jestem jedynym świadkiem — iż Panufnik miał wyraźnie negatywny stosunek do rzeczywistości krajowej już wiele lat temu. Wiele osób również zna przyczyny osobiste i rodzinne, które mu wówczas uniemożliwiały opuszczenie Kraju, nie mówiąc już o fakcie zbyt często przez emigrację zapominanym, iż większość społeczeństwa a nie tylko reżym traktuje opuszczenie Kraju przez wybitne jednostki jako dezercję. A tych, co pozostawanie Panufnika w Kraju tłumaczą sobie względami oportunistycznymi, czy nie zastanawia fakt, iż zdobył się on na definitywny wyjazd właśnie w okresie, gdy znajdował się u szczytu powodzenia i zaszczytów.

nych przez aparat państwowy. Nie mam najmniejszego zamiaru porównywania go z tymi muzykami, ani ustalania, kto z nich jest najwybitniejszy; jakiekolwiek ,,typowanie'' w tej dziedzinie jest zawsze subiektywne i właściwie nie ma sensu. Chcę natomiast zwrócić uwagę na pewne cechy twórczości Panufnika, które występują u niego wyraźniej niż u innych i w szczególnie ostrym świetle stawiają całe zagadnienie. W tym celu należałoby umiejscowić całokształt tej twórczości na tle ogólnego obrazu muzyki dzisiejszej.



Jednym z najbardziej dyskutowanych już od lat problemów sztuki współczesnej, problemem niewątpliwie bardzo istotnym, jest izolacja tej sztuki w stosunku do szerszych warstw społeczeństwa. Opór ,,publiczności'' przeciw wszelkim nowym formom wypowiedzi artystycznej jest zjawiskiem normalnym i łatwo wytłumaczalnym; dawniej jednak sprowadzał się on jedynie do pewnego opóźnienia recepcji, i inowacje twórcze zawsze po krótszym lub dłuższym czasie zostawały przez szersze warstwy przyjęte, stawały się ,,zrozumiałe''. W dwudziestym wieku jednak rozdźwięk między twórcami a odbiorcami osiągnął natężenie nigdy przedtem nie spotykane. Jedną z przyczyn tego stanu rzeczy jest niezmierne wzmożenie tempa przemian języka artystycznego, któremu nie towarzyszy analogiczne przyśpieszenie zdolności recepcyjnych u odbiorców sztuki. Zanim szersze warstwy zdołały przyzwyczaić się do pewnych nowych form, te już nie tylko zostały zdegradowane do rzędu ,,starzyzny'', lecz zastąpione przez szereg jeszcze radykalniejszych inowacji. W rezultacie ewolucja artystyczna zaczęła się odbywać w zupełnym oderwaniu od rzeczywistości społecznej, została ograniczona do szczupłego grona znawców, którzy dla zajęcia stanowiska wobec wybuchających co parę lat i w dodatku zazębiających się o siebie rewolucyj estetycznych potrzebowali solidnego przygotowania teoretycznego. Zbyteczne jest chyba dodawać, w jakim stopniu ta sytuacja sprzyjała rozwojowi wszelkiego rodzaju snobizmów, tworzeniu się eksluzywnych, zażarcie zwalczających się kapliczek, rozproszkowaniu szkół awangardowych, co już ostatecznie dezorientowało szersze warstwy odbiorców. Ci przestali już nawet oburzać się na inowacje, lecz po prostu z obojętnością odwrócili się od sztuki współczesnej.

Jeśli chodzi o muzykę, największe natężenie osiągnął ten rozdźwięk w pierwszej połowie okresu międzywojennego. Już wówczas można było stwierdzić, jakie były główne źródła hermetyzmu awangardy muzycznej. W schematycznym ujęciu sprowadzały się one do punktów następujących : pogoń za oryginalnością a priori, a więc nie wynikającą w sposób naturalny z odrębności twórczej indywidualności, lecz polegającą na wymyślaniu coraz to nowszych doktryn estetycznych; zwrócenie wynalazczości w pierwszym rzędzie na dziedzinę środków wypowiedzi,

co z jednej strony nie pozostawiało czasu na ich twórcze zorganizowanie, z drugiej strony stawiało kompozytorów przed obsesją wyczerpania się tych środków; uraz „czystości stylistycznej" nie pozwalający na równoczesne używanie środków nowych i już zasymilowanych i tym samym nie zostawiający odbiorcy żadnego pomostu do zrozumienia nowych form wypowiedzi; tzw. obiektywizm, wypływający ze słusznej reakcji przeciw emocjonalnemu ekshibicjonizmowi neoromantycznemu, ale który przez swą doktrynalną jednostronność groził dehumanizacją aktu twórczości dążąc bądź do mechanizacji muzyki, bądź też do traktowania jej jako rozwiązywanie matematycznie niemal ujętych problemów formalnych; wiążący się z tą postawą „pryncypializm", który eksperymentalne wyciągnięcie z pewnych założeń ich ostatecznych konsekwencyj uważał za ważniejsze niż tworzenie dzieł mogących przemawiać bezpośrednio do wrażliwości odbiorcy. Toteż charakterystyczną cechą całego tego okresu była przewaga szkół i kierunków nad indywidualnościami, które uzyskiwały placet „znawców" jedynie o ile można ich było uplasować w którejś z szufladek ustalonych przez teoretyków.

Oczywiście ujęcie to jest bardzo uproszczone, i byłoby fałszem twierdzenie, iż w okresie tym nie powstało żadne arcydzieło muzyczne o trwałym znaczeniu niezależnym od przynależności do takiego czy innego kierunku. Ale wobec zachwiania wszelkich kryteriów przeciętnemu odbiorcy nie łatwo było wyróżnić te prawdziwe twórcze osiągnięcia stosunkowo nielicznych jednostek w zalewie utworów, posługujących się takimi samymi środkami, ale nie mających wewnętrznego pokrycia. W każdym razie już pod koniec okresu międzywojennego sami muzycy zaczęli odczuwać coraz wyraźniej szkodliwość tego stanu rzeczy i rozumieć, że wina znajdowała się nie tylko po stronie odbiorcy. W twórczości wielu najwybitniejszych kompozytorów dał się zauważyć dosyć wyraźny zwrot ku uproszczeniu faktury, nawiązaniu do tradycji. Nie zawsze dawało to dobre wyniki, zwłaszcza gdy miało charakter koniunkturalny, nie wynikało ze szczerej przemiany wewnętrznej.

Potwierdziło się jeszcze raz, że nawroty wstecz nie dają w sztuce nic innego poza mniej lub więcej fałszywą stylizacją. Okres gorączkowego eksperymentowania w pierwszych dziesięcioleciach naszego wieku zbyt radykalnie przeorał dawne, zdawałoby się niewzruszone zasady muzyczne, by można było przejść do porządku dziennego nad tym przewrotem. Z coraz większą oczywistością narzuca się wniosek, iż znajdujemy się w okresie zasadniczej zmiany języka muzycznego. Zjawisko takie nie jest bynajmniej pierwszym wypadkiem w dziejach muzyki. Niemniej doniosły przewrót nastąpił w połowie średniowiecza, gdy muzyka wielogłosowa zastąpiła monodie gregoriańskie, lub pod koniec renesansu, gdy w miejsce polifonicznej muzyki modalnej zaczęła się coraz bardziej rozpowszechniać homofoniczna muzyka tonalna, operująca akordami i kładąca podwaliny pod tak nam dziś niezbędnym wydający się czynnik muzyczny jak harmonia.

Te przemiany dokonywały się jednak powoli i organicznie, wynikały z usystematyzowania wielkiej ilości drobnych, prawie niedostrzegalnych zmian a nie z realizacji z góry powziętych założeń. Na to by w dobie obecnej, w miejsce zużytego do ostatnich możliwości języka panującego od 17-go do końca 19-go wieku, wytworzył się mniej więcej jednolity nowy język muzyczny, należałoby zaniechać dalszego eksperymentowania w dziedzinie środków i dążyć raczej do ich twórczej organizacji, do syntezy, która by się nie obawiała zachowywania obok nowych zdobyczy pewnych tradycyjnych form wypowiedzi, gdyż tylko w ten sposób zostałaby utrzymana ciągłość rozwoju, pozwalająca odbiorcy znaleźć klucz do znaczenia funkcjonalnego nowych środków. Jeśli ta przemiana ma mieć równie organiczny charakter jak analogiczne przemiany dawniejsze, synteza nowego języka muzycznego nie powinna być dokonana na drodze wyboru teoretycznego — gdyż to by dorzuciło najwyżej jeszcze nowe programy doktrynalne do już istniejących — lecz musi wynikać z przykładu twórczych jednostek, zdolnych do stopienia różnorakich elementów w jednolitą całość, do zachowania świeżości i oryginalności nawet przy posługiwaniu się już znanymi środkami.

Omawiając powyższe sprawy w artykule ogłoszonym przed sześciu laty w ,,Kulturze'' pozwoliłem sobie wówczas wysunąć twierdzenie, iż ostatnia wojna, nie tylko przez wstrząs, jaki dokonała na całym świecie, lecz również przez zerwanie kontaktu pomiędzy muzykami różnych krajów, przez uniemożliwienie im wzajemnego przelicytowywania się w wynajdowaniu coraz to nowszych środków, przez danie im czasu na przetrawienie znanego im dorobku poprzednich lat, znacznie przyśpieszyła ten proces krystalizacyjny. Sytuacja muzyczna w pierwszych latach powojennych zdawała się wskazywać, iż pewna synteza już została dokonana, że zupełnie niezależnie od wysiłków teoretyków, a w pewnym sensie nawet wbrew ich oczekiwaniom, wytworzył się już pewien współczesny język muzyczny dostępny dosyć szerokim warstwom kulturalnej publiczności, a niewątpliwie zasadniczo odrębny od języka poprzednich stuleci, iż kompozytorzy poniechali powierzchownego eksperymentowania i zaczęli szukać oryginalności nie w samych środkach, lecz w ich pogłębieniu i organizacji. W miejsce szkół i doktryn wysunęły się znowu na czoło jednostki twórcze, które trudno by było związać z jakimś sprecyzowanym kierunkiem, i dzieła tych kompozytorów, podobnie jak szczytowe osiągnięcia lat poprzednich znajdowały coraz większy oddźwięk u publiczności. Nie znaczy to bynajmniej, że były zawsze przyjmowane z entuzjazmem, natrafiały często na gwałtowne sprzeciwy, ale przynajmniej na nowo pasjonowały odbiorców, wywoływały reakcję, nie pozostawały nikogo nie obchodzącymi laboratoryjnymi eksperymentami.

Dziś, z perspektywy sześciu lat, muszę wyznać, iż optymizm mój był nieco przesadny. Nie dlatego, iż w ciągu tego krótkiego czasu (zawsze to zawrotne tempo przemian) pojawiły się prądy awangardowe, hołdujące muzyce najbardziej niedostępnej jaka

kiedykolwiek istniała, już nie tylko dla zwykłych śmiertelników, ale również dla większości muzyków. To, samo w sobie, jeszcze by niczego nie dowodziło, gdyż żadna synteza artystyczna nie może zatrzymać się w miejscu bez groźby skostnienia w akademizmie. Ale prądy te, występujące również pod hasłem stworzenia całkowicie nowego języka muzycznego i twierdzące, iż ,,idą z duchem czasu'', kształtują ten język w zupełnym oderwaniu od tradycji i od wszelkich dotychczasowych intuicyj muzycznych. Przy tym w sposób radykalniejszy niż kiedykolwiek propagują wyeliminowanie indywidualności twórczej — tak jak zwolennicy tak zwanej ,,totalnie zorganizowanej muzyki'', którzy wszystkie czynniki mającego powstać dzieła, następstwo wysokości, barwę i intensywność dźwięku, rytm i tempo, wyprowadzają z pewnych apriorycznie ustalonych formułek — albo, jak entuzjaści ,,musique concrète'' lub muzyki elektronicznej, dążą do wyeliminowania w ogóle kompozytora i zastąpienia go przez ekipy techników eksperymentujących w laboratoriach akustycznych. Mamy tu wyraźny nawrót, w wyolbrzymionych proporcjach, do haseł, które w latach 1920-1935 już spowodowały kryzys : ponowne skierowanie wynalazczości na środki, tym razem po prostu na materiał dźwiękowy, ,,obiektywizm'' graniczący ze świadomą dehumanizacją sztuki oraz krańcową racjonalizację procesu twórczego. To wszystko połączone z prawie brutalnym eksluzywizmem i dogmatyzmem, o którym mogą dać pojęcie np. paryskie publikacje tej awangardy, wychodzące w wydawnictwie Grasset pt. ,,Domaine de la musique''.

Można by było nie przywiązywać zbytniej wagi do tej hałaśliwej działalności ekstremistów, gdyż jak dotychczas nie odgrywa ona wielkiej roli w życiu muzycznym. Bardziej niepokojący jest jednak fakt, że przynajmniej jedno z ich haseł, racjonalizacja procesu twórczego, zaczyna wywierać coraz szerszy wpływ na najwybitniejszych nawet muzyków. Jest w tym niewątpliwie ,,duch czasu'', jakby tego dowodziło równoczesne rozkrzewienie się krańcowo abstrakcyjnego malarstwa. Jest to jednak objawem pewnej rezygnacji, mimowolnego przyznania się do niezdolności przeprowadzenia syntezy, odświeżenia języka artystycznego bez oparcia się o teorię. Jest pośrednim skutkiem faktu, iż wielu nieawangardowych kompozytorów dzisiejszych, operujących ,,językiem syntetycznym'' wytworzonym w ubiegłych dziesięcioleciach, nie zdołało stworzyć nowych wartości, nie potrafiło wyjść poza pewien epigonizm ani stworzyć dzieł, które by wykazały przydatność tego języka dla twórczości oryginalnej i bardzo osobistej.

Wielu kompozytorów, ale nie wszyscy. I ta nieliczna mniejszość twórców, którzy nie podporządkowując się żadnej szkole, żadnej teoretycznej doktrynie, swobodnie operując całym niezmierzonym bogactwem nowoczesnych środków, potrafią dokonać osobistej syntezy i nadać tym środkom odrębne piętno przez im tylko właściwe łączenie tych środków w prawdziwie twórczą całość, pozwalają wierzyć w możliwość powstawania i w na-

szych czasach muzyki spontanicznej, niezmechanizowanej, niezracjonalizowanej a mimo to nowej, świeżej i ponadto zdolnej do porwania szerszych warstw niefachowej publiczności. Ci kompozytorzy nie cieszą się zbytnimi względami awangardy czy teoretyków, którzy nie znajdują w ich muzyce punktów zaczepienia do analizy — to są jednak jedyni, którzy tworzą sztukę nie dla hipotecznych przyszłych pokoleń, ani dla wygodnickiej publiczności reagującej jedynie na dobrze znane i przeżute szablony, lecz dla tych wszystkich, *teraźniejszych* odbiorców, którzy szukają w przeżyciu artystycznym po prostu nowego piękna.

◆

Cała ta przydługa dygresja była mi potrzebna tylko po to, by wyznać, iż nie waham się umieścić Andrzeja Panufnika właśnie w tej kategorii twórców. Jedną z głównych przyczyn mego podziwu dla jego muzyki jest fakt, iż jestem zupełnie niezdolny do wytłumaczenia, dlaczego mnie ona zachwyca. Że jest zawsze dobrze zrobiona, doskonale brzmiąca, równocześnie pełna werwy i arystokratycznej finezji? ale to się da powiedzieć o dziesiątkach współczesnych kompozytorów. Iskrzy się od świetnych pomysłów — to też można znaleźć u wielu kompozytorów, najwyżej można dodać na korzyść Panufnika, iż umie on zachować umiar w tej pomysłowości, umiejętnie ją dozować, dzięki czemu występuje ona znacznie plastyczniej. Gdy się jednak każdy z tych pomysłów zanalizuje z osobna, zawsze się da powiedzieć, iż to już są rzeczy znane, wymyślone znacznie wcześniej, w dodatku zaczerpnięte z bardzo różnorodnych, nieraz zupełnie niewspółmiernych kategorii stylistycznych. A jednak u Panufnika to wszystko się wzajemnie uzupełnia, łączy się z niewymuszoną logiką, nabiera przez odkrywcze zestawienia nieoczekiwanej świeżości. Mamy w tej muzyce niezliczoną ilość przykładów jak dalece można odnowić styl muzyczny przez oryginalne użycie nawet wyświechtanych rekwizytów. Przy tym nie robi ta muzyka wcale wrażenia mozaiki, jak to się zdarza niejednemu współczesnemu kompozytorowi próbującemu dokonać w sposób raczej mechaniczny syntezy całego dorobku ubiegłych lat.

Tu może leży sedno zagadnienia. Dla wielu kompozytorów, którzy w okresie przedwojennym ,,na własnej skórze'' przecierpieli wszystkie zmiany stylów i tendencyj, jest bardzo trudno — nawet gdy dążą szczerze do naturalnej, niewyrozumowanej syntezy — odzyskać pewną naiwność i świeżość podejścia do typowych ,,chwytów'' muzyki tego okresu, po prostu uwolnić się od hamujących asocjacyj. Panufnik nie ma tego obciążenia. Nie chcę twierdzić, iż nie zna nowoczesnych teoryj estetycznych — cóż by to było za straszne oskarżenie w naszej dobie sztuki zracjonalizowanej! — ani że tworzy na drodze czysto intuicyjnej (partytury jego są zbyt precyzyjne i przemyślane, by mogły być wyłącznie wynikiem tzw. natchnienia). Ale prawdziwy rozkwit jego twórczości przypada na okres wojenny, ów znamienny okres,

w którym lata miały inny wymiar. Toteż, chociaż o parę lat tylko młodszy od najwybitniejszych już przed wojną kompozytorów polskich, psychicznie należy Panufnik do innego pokolenia. To mu pozwala na dokonanie w sposób naturalny syntezy charakterystycznych dla tego okresu środków wypowiedzi, a równocześnie pozostawia niezależnym od właściwych temu okresowi presyj psychicznych. Po prostu nie ma tych urazów, które w mniejszym lub większym stopniu zależały od epoki.

Przykładem może służyć pierwsza naprawdę oryginalna kompozycja Panufnika — wspomniane już ,,Pięć pieśni ludowych'' na chór chłopięcy, 2 flety i 3 klarnety. Wiemy wszyscy dobrze, jakimi kompleksami był obciążony dla każdego kompozytora polskiego z okresu międzywojenego problem twórczego opracowania folkloru, jaką falę epigonizmu rozpętał pod tym względem przykład Szymanowskiego i jakim zahamowaniem dla następnej fali kompozytorów była dążność do wybrnięcia za wszelką cenę spod wpływów tego epigonizmu. Większość po prostu odwróciła się od tego niemodnego już zresztą w ostatnich latach przed wojną rodzaju stylistycznego, a ci nieliczni, którzy zdołali uniknąć ,,szymanowszczyzny'', robili to w sposób niejako zbyt ostentacyjny i chociażby przez to samo nosili nadal pewne piętno tego epigonizmu. Dopiero Panufnik znalazł nowe i niewymuszone podejście do problemu, osiągając niezwykłą prostotę i naturalność i znajdując w tym bezpretensjonalnym a przecie rewelacyjnym utworze zupełnie świeże akcenty, nieznane przed tym w tak bogatej polskiej literaturze muzycznej opartej na folklorze. Stworzył już wtedy pewne maniery które można odnaleźć w znacznie późniejszych utworach, jak np. ,,Sinfonia rustica'', ale są to ,,dobre maniery'' i bardzo trudne do naśladowania.

O tym jednak, że skala możliwości Panufnika nie ogranicza się do subtelnego liryzmu, wyrażającego się przy pomocy niezwykle prostych i oszczędnych a jednocześnie wycyzelowanych do najdrobniejszego szczegółu środków, świadczy następny i bodaj najsławniejszy jego utwór : ,,Uwertura tragiczna''. Odnajdujemy tu wprawdzie tę samą oszczędność faktury : cała uwertura oparta jest na kilku drobnych motywach, zdawałoby się nie nadających się do żadnych istotnych przeróbek a mimo to tworzących jedyny materiał zawrotnie pędzącego, co chwila zmieniającego się, iskrzącego się najrozmaitszymi barwami potoku dźwiękowego. Nowością jednak jest, że ta koronkowa robota, na pozór jedynie wzór mistrzowskiego, dokonanego niezwykle lekką ręką, rozwiązania pewnego problemu formalnego, posiada tak potężny ładunek ekspresywny, tak porywającą żywiołowość. Przy pomocy środków nadających się raczej do lekkiego scherza osiąga Panufnik wstrząsający tragizm wyrazu, zupełnie niezależny od jakichkolwiek programowych asocjacji, tym bardziej przejmujący, iż nie posługujący się żadnymi normalnie używanymi ,,tragicznymi'' rekwizytami.

Już w tym utworze znalazł on sekret muzyki zdolnej do bezpośredniego przemawiania do jakiegokolwiek bądź słuchacza i

przy tym nie idącej na żaden kompromis z gustami publiczności, muzyki łatwej a przecie ani przez chwilę nie wpadającej w banał. W „Uwerturze tragicznej" mamy bardzo udany przykład twórczego odświeżenia faktury raczej tradycyjnej. W następnym znamiennym dziele Panufnika, „Kołysance" na smyczki i dwie harfy, mamy dowód, że jest on zdolny również do ożywienia i przepojenia ekspresją środków awangardowych. Posługuje się tu modnymi w swoim czasie, ale dosyć szybko zarzuconymi ćwierćtonami. Stosuje je bez żadnej pedanterii, nie traktuje ćwierćtonów wcale jako podstawy nowej „gramatyki" formalnej, łączy je bez żenady z bardzo prostym i zupełnie tradycyjnym tematem kołysanki, łączy jednak w sposób tak organiczny i niewymuszony, iż te niezwykłe dla naszego ucha brzmienia nabierają rumieńców i życia, stają się jakimś nieuchwytnym czynnikiem ekspresji, przenoszącym słuchacza w bardzo dziwny i wyrafinowany, a jednak zdolny do wywołania bezpośredniej reakcji świat dźwiękowy. Awangardowy teoretyk zapewne nie znajdzie w tej „Kołysance" nic innego jak kolorystyczne użycie ćwierćtonów jako nut przejściowych. I w tym stwierdzeniu przeoczy fakt najistotniejszy : nie poddającą się analizie teoretycznej specyficzność użycia tego „chwytu", sprawiającą, iż przeciętny odbiorca, nawet jeśli zostanie zaskoczony i zdetronizowany przez te brzmienia tak obce jego dotychczasowym przyzwyczajeniom, wyczuje w nich wewnętrzną konieczność, zrozumie, że te nowe środki nie są zwykłym eksperymentem, lecz mogą naprawdę służyć do wywoływania bardzo pięknych zupełnie nowych i szczerych przeżyć artystycznych.

Ograniczam się do scharakteryzowania tych kilku dawniejszych utworów, gdyż dają one wystarczający materiał do umiejscowienia Panufnika we współczesnej rzeczywistości muzycznej. Należy on do tej kategorii kompozytorów, którzy umieją zachować niezależność w stosunku do zwalczających się prądów i nie boją się narazić awangardzie przez kierowanie się w swojej twórczości osobistą wrażliwością i talentem, raczej niż programami panujących doktryn estetycznych. Przede wszystkim jednak reprezentuje on typ twórców, którzy przy całej nowości swego języka posiadają zdolność przemówienia do słuchacza w sposób bezpośredni, bez pomocy komentarzy i manifestów teoretycznych, właśnie dlatego, iż nowość ta nie polega na realizacji abstrakcyjnych systemów, lecz na spontanicznym wyrazie wewnętrznej wizji artystycznej wystarczająco oryginalnej, by nawet stare środki ukazać w zupełnie nowym świetle, a przy tym na tyle intensywnej, że wizja ta udziela się słuchaczowi z nieodpartą mocą. Uważam nadal, że jedynie twórcy tego typu mają szanse przezwyciężenia obojętności słuchacza wobec muzyki współczesnej bez popełniania kompromisów ani rezygnacji ze wzbogacenia muzyki o nowe wartości.

Nie mam zamiaru układać panegiryku na cześć Panufnika. Nie chcę bynajmniej twierdzić, iż jest on jedynym kompozytorem reprezentującym w dobie obecnej szanse wyjścia z odosobnienia w stosunku do odbiorcy, nie mogę przesądzać, czy kryzys ten zostanie przezwyciężony właśnie na tej drodze. Nie mogę również przewidzieć w jakim kierunku potoczy się dalszy rozwój jego twórczości. Zupełnie wyjątkowe znaczenie wypadkowi Panufnika nadaje jednak ta okoliczność — i tu dochodzimy do sedzagadnienia — iż właśnie kompozytor tego typu znalazł się w konflikcie z obecną polityką artystyczną ,,demokracyj ludowych''.

Zagadnienie ,,sztuki kierowanej'' w państwach totalnych posiada już całą literaturę, i nie ma potrzeby powtarzać tu rzeczy tylokrotnie już dyskutowanych. Chciałbym ograniczyć się jedynie do problemów specjalnych, jakie powstają przy stosowaniu tej polityki do muzyki. Zasadniczy cel wprzęgnięcia sztuki w służbę państwa — propaganda ideologiczna, nie da się we właściwym sensie tego słowa zrealizować przez muzykę, z natury swej niezdolną do wyrażania jakichkolwiek sprecyzowanych ideologij. Może więc w pojęciu teoretyków sztuki stosowanej muzyka spełniać swą rolę propagandową jedynie ubocznie, przez mniej lub więcej wyraźne jej sprzęgnięcie z innymi sztukami, przez stwarzanie pewnego ,,dobrze widzianego'' klimatu, przez unikanie nastrojów zbyt subiektywnych lub pesymistycznych, itd. Aby jednak mogła w ogóle spełniać taką rolę, musi być dostępna najszerszym masom. I ta cecha ,,dostępności'', niezbędna ale uboczna przy innych dziedzinach sztuki kierowanej, w muzyce wychodzi właściwie na pierwszy plan. Z tego postulatu wypływa bezwzględne potępienie wszelkiej elitarnej awangardy, bezkompromisowe zwalczanie eksperymentów formalnych zrozumiałych jedynie dla szczupłego grona znawców.

O ile się pominie metody policyjne stosowane do zrealizowania tego postulatu, nie można zaprzeczyć, iż sam postulat przezwyciężenia rozdźwięku między twórcami a społeczeństwem zbiega się z pragnieniami tych wszystkich, komu leży na sercu wydobycie sztuki współczesnej z jej obecnej izolacji. Toteż specjalnie w dziedzinie muzyki polityka państw totalnych znajdowała wielu zwolenników również poza entuzjastami ideologij politycznych reprezentowanych przez te państwa. Nawet sam fakt stosowania przymusu przez czynniki administracyjne nie stanowił nieprzezwyciężonego szkopułu. Ostatecznie, pięknie brzmiące hasło ,,absolutnej swobody'' artysty jest tylko frazesem. Artysta jest zdeterminowany przez rzeczywistość społeczną, w której żyje, nawet gdy sobie z tego nie zdaje sprawy, a przymus materialny czy moralny wywierany na niego bądź przez czynniki, od których zależy rozpowszechnienie jego twórczości, bądź po prostu przez wpływową opinię, potrafi być bardzo silny nawet w najbardziej liberalnych ustrojach. Powoływano się na przykłady dawnych epok, w których sztuka, mimo iż znajdowała się w niewątpliwej zależności od możnych tego świata (czy to

była wcale nie tak bardzo tolerancyjna organizacja Kościoła, czy też byli to królowie lub potężni mecenasi), zdolna była do najwyższych wzlotów a przy tym była dobrem niemal całego społeczeństwa. Specjalnie w dziedzinie muzyki, nie nadającej się do propagandowego spłycenia, spodziewano się, iż ,,opieka'' państwa ograniczy się do przeprowadzenia pewnej selekcji, do zahamowania zbyt hermetycznych eksperymentów a równocześnie przez odpowiednie poparcie twórczych artystów przyśpieszy wytworzenie przez nich samych języka muzycznego wywołującego szerszy rezonans w społeczeństwie.

Początkowe wyniki takich poczynań, zarówno w Niemczech hitlerowskich jak w Rosji sowieckiej, całkowicie zawiodły te nadzieje. Można to było wprawdzie złożyć na karb nieudolności zastosowanych metod. Właśnie owa ideologiczna nieoznaczoność muzyki, z którą wiązano tyle nadziei, zemściła się na niej bodaj gorzej niż na innych dziedzinach sztuki. Polityczne czynniki, które wzięły sztukę w opiekę, nie mogły pogodzić się z taką nieoznaczonością, musiały mieć wyraźne dyrektywy dla działania. Kryteria zupełnie nieartystyczne jak np. potępienie w Niemczech twórczości, w jakikolwiek sposób związanej z Żydami, lub uwzględnianie w Sowietach społecznego pochodzenia muzyków, mogły mieć jedynie znaczenie negatywne. Nie dawały żadnych podstaw do sprecyzowania cech nowej muzyki, jaką te ustroje chciały stworzyć. I w poszukiwaniu tych podstaw odwrócono właściwie cały problem. Zamiast pozostawienia artystom zadania stworzenia języka zdolnego przemówić do mas, wzięto za wzór język, który te masy już przedtem same zaakceptowały. Pomijając już fakt, że na tej drodze z góry wyłączono możność stworzenia czegoś nowego, nie uniknięto dosyć paradoksalnych wyników. W Niemczech rezultat nie zawierał przynajmniej wewnętrznej sprzeczności : ideałem został Wagner, kompozytor najpotężniej działający na masy niemieckie a równocześnie dobrze pasujący do klimatu ideologicznego narodowego socjalizmu. W Rosji natomiast ta sama metoda zmusiła do postawienia za wzór Czajkowskiego, niewątpliwie kompozytora znajdującego najżywszy oddźwięk w masach rosyjskich, ale swym ,,drobno-burżuazyjnym'' klimatem twórczym bardzo mało odpowiadającego nastrojom, jakie miały ożywiać zwycięski proletariat w socjalistycznym budownictwie. Przy tym niemożność narzucenia muzyce wyraźnych treści ideologicznych sprawiła, iż w dziedzinie tej, więcej niż w innych sztukach, skrępowano wyraz formalny. Toteż, o ile literatura lub film zdołały w Sowietach osiągnąć częstokroć duże wyżyny artystyczne, muzyka upadała coraz wyraźniej.

W Niemczech eksperyment sztuki kierowanej trwał zbyt krótko, by mógł pozostawić wyraźne ślady. Jedynym bodaj jego skutkiem jest fakt, iż, prawem reakcji, obecne Niemcy stały się krajem, w którym największy rezonans wywołują najkrańcowsze prądy awangardowe. W krajach komunistycznych natomiast fiasco początkowej polityki artystycznej zmusiło do znacznego po-

głębienia zasad i metod. Powstała rozbudowana doktryna realizmu socjalistycznego, o której zbyt wiele się pisze, bym miał ją tu referować. Lecz znowu dziedziną ,do której tę doktrynę najtrudniej jest sensownie zastosować, jest muzyka. O ile pisarze lub plastycy wiedzą przynajmniej czego się od nich oczekuje, najgorliwiej nawet usposobiony muzyk musi znajdować się w ustawicznej rozterce, jeśli chce *à la lettre* stosować recepty realizmu socjalistycznego. Co to jest socjalizm w muzyce? Próbowano realizować go przez nawrót do stylizacji muzyki ludowej. Lecz czynniki miarodajne uznały stylizację już za zbyt formalistyczny zabieg. Realizm muzyczny? Mógł on najwyżej dotyczyć tematu programowego dzieł muzycznych, w pierwszym rzędzie tytułu. Interpretacja naiwna, a jednak dosyć szeroko stosowana, gdyż pozwalała w niektórych wypadkach przemycać zupełnie ,,niesocjalistyczną'' muzykę pod płaszczykiem propagandowych tytułów. Ten swoisty ketman, stosowany również przez plastyków, został jednak dosyć szybko zdemaskowany, znowu więc nie wiadomo było, jak tworzyć muzykę realistyczną. Najwięcej jeszcze sensu w odniesieniu do muzyki mógł mieć termin ,,formalizm'',oczywiście nie w znaczeniu ogólnym — każda dobra muzyka jest formalistyczna — ale w zwężonym sensie ograniczania się do eksperymentów formalnych bez wewnętrznego pokrycia. W codziennym użyciu termin ten stał się jednak po prostu synonimem tego wszystkiego, co przypominało sztukę zachodnią, nic konkretnego nie znaczącą, potępiającą etykietką.

Można by przedłużać dowoli listę nonsensów frazeologicznych tego rodzaju. Ale wykpiwanie rozmaitych wypowiedzi urzędowych na temat muzyki ,,socjalistycznej'' byłoby zbytnim uproszczeniem zadania. Polityka artystyczna w demokracjach ludowych bynajmniej nie znajduje się w rękach ignorantów i wcale nie jest przeprowadzana w sposób tak naiwny, jak by można było na podstawie tych wypowiedzi sądzić. Pomimo trudności, na jakie natrafia jej teoretyczne uzasadnienie, jest ona wyrazem znacznie głębiej przemyślanego programu. Nawet w wypowiedziach urzędowych coraz częściej potępia się upraszczanie zasad realizmu socjalistycznego, identyfikowanie go z ,,określoną szkołą artystyczną, określonym stylem lub receptą'', coraz bardziej nawołuje się artystów do ,,radości poszukiwania'' i walki o ,,własne widzenie''. A że przy tym w dziedzinie podniesienia poziomu wykonawczego, upowszechnienia muzyki, pozyskania dla niej coraz szerszych rzesz entuzjastycznych wielbicieli, demokracje ludowe osiągają niewątpliwie poważne sukcesy, pojawiają się ,,po naszej stronie'' coraz liczniejsze głosy, skłaniające się ku przekonaniu, że jednak ,,po tamtej stronie'' muzyka ma przed sobą o wiele większe szanse rozwoju, bez porównania większy zasięg niż u nas i że, po skorygowaniu przejściowych niedociągnięć urzędowych, kryzys muzyki współczesnej będzie mógł tam być przezwyciężony o wiele skuteczniej niż u nas.

Wypadek Panufnika stanowi bardzo wymowną odpowiedź

na takie twierdzenia. Gdyby na krok jego zdobył się artysta hołdujący egotycznemu hermetyzmowi, potrzebujący dla swej działalności atmosfery ekskluzywnych kapliczek awangardowych, można by było rozmaicie interpretować taką ucieczkę. Ale gdy to czyni kompozytor niewątpliwie szukający oddźwięku dla swej twórczości, w dodatku obdarzony zdolnością porywania mas, sprawa staje się o wiele wymowniejsza.

Można na to odpowiedzieć, że nikt Panufnika nie zmuszał do ucieczki. Że twórczość jego nie została potępiona, że wręcz przeciwnie — poznano się na jego wartości, że pomimo całej niedemokratycznej subtelności i subiektywności jego muzyki, przyznano oficjalnie pierwsze miejsce wśród kompozytorów polskich, obsypywano zaszczytami w innych krajach spoza żelaznej kurtyny. Że to wszystko chyba więcej znaczy, niż umieszczenie na indeksie kilku utworów jak na przykład — właśnie ,,Uwertury tragicznej'' i ,,Kołysanki''. Istotnie — fakt urzędowego zaakceptowania i wywyższenia Panufnika, mógł by mieć o wiele większą wymowę, niż wszystkie frazesy o konieczności ,,twórczej realizacji nowej muzyki''. To, że na pierwsze miejsce w Polsce wysunięto nie odrabiających zamówienia społeczne ortodoksyjnych dostarczycieli muzyki urzędowej, lecz właśnie kompozytora obdarzonego niewątpliwie możliwościami naprawdę twórczej syntezy, mogłoby dawać wiele do myślenia. Mogłoby wskazywać, że, pomimo urzędowej frazeologii, w praktyce zrozumiano, jaka jest właściwa droga do prawdziwego odrodzenia sztuki. Mogłoby — gdyby nie to, że Panufnik wolał znaleźć się na Zachodzie, nie na tym mitycznym Zachodzie, który z daleka może się wydawać rajem, lecz w dobrze mu z licznych podróży znanym środowisku, gdzie nikt mu nie będzie pomagał do kariery, gdzie będzie sam musiał walczyć nie tylko o uznanie dla swego talentu, lecz chociażby o występy koncertowe lub zdobycie wydawców. Gdzie będzie musiał przezwyciężać z jednej strony opór publiczności nie wiele łaknącej muzyki wykraczającej poza wygodne szablony, a z drugiej strony lekceważenie awangardy, nie mogącej mu darować niezależności. Wolał jednak to, niż korzystanie z troskliwej opieki, otwierającej przed nim pozornie najszersze możliwości praktyczne i pouczające jak należy tworzyć.

I jeszcze większą wagą od samego faktu ucieczki, jest to, co ją poprzedziło. Tu znowu nie chcę się opierać na własnych wynurzeniach Panufnika, mimo całej ich instruktywności. To naświetlenie problemu należy pozostawić jemu samemu. Dla mnie jednak wystarczającym dowodem są fakty zupełnie obiektywne: losy jego twórczości w ostatnich latach. Weźmy jako przykład utwór ,,Sinfonia rustica''. Tytuł znamienny, tak samo jak dalsze tytuły: ,,Uwertura bohaterska'' i ,,Symfonia pokoju''. Znam dobrze tylko pierwszy z tych utworów. I muszę przyznać, że prawdziwego Panufnika odnajduję jedynie w dwóch pierwszych częściach, których subtelność i wyrafinowanie nie mają jednak nic wspólnego z tytułem. Lecz oto w ostatniej

części atmosfera wyraźnie się zmienia. Zarówno tematyka jak faktura tego finału tak odcinają się od dotychczasowej, świadczącej zawsze o głębokim autokrytycyzmie, muzyki Panufnika, iż można to wytłumaczyć chyba tylko koncesją na rzecz klimatu urzędowego. Nawiasem mówiąc, zamiast chłopskiej ,,krzepy'' finał ten trąci raczej amerykanizmami, co zresztą wcale nie jest rzeczą tak nieoczekiwaną (patrz : architektura sowiecka). Ważniejsze jest, iż nawet ta koncesja nie uchroniła symfonii przed urzędową naganą.

Tak jeden przykład byłby może niewystarczający, zwłaszcza iż jest oparty na subiektywnym wrażeniu. Ale staje się znamienny, gdy się weźmie pod uwagę, że *od czterech lat Panufnik w ogóle nic znaczącego nie skomponował.* Taki jest rezultat najtroskliwszej opieki nad jego talentem. Sam fakt jego ucieczki można by jeszcze tłumaczyć względami czysto ludzkimi. Lecz to poprzedzające ją milczenie muzyka, odznaczającego się przedtem taką swobodą i spontanicznością twórczą, tak wolnego od hamujących kompleksów, nie potrzebuje komentarzy. Kierownicy polityki muzycznej w Polsce posiadali w postaci Panufnika bardzo mocny atut, zdolny być może do zrehabilitowania całej koncepcji sztuki kierowanej. Zamiast tego właśnie przykład ten wykazał z całą oczywistością katastrofalne skutki, do jakich wiedzie konsekwentne przeprowadzanie tej koncepcji.

Konstanty REGAMEY

Notatnik nieśpiesznego przechodnia

FANTAZJE BYWALCA KONCERTOWEGO

Wychowany w domu, w którym wiele grano i zajmowano się muzyką, karierę bywalca koncertowego zacząłem bardzo wcześnie. O ile mnie pamięć nie myli, znalazłem się po raz pierwszy w sali Filharmonii warszawskiej na koncercie popołudniowym kwartetu czeskiego, w którym Józef Suk, wysoki brunet z twarzą jak gdyby zamkniętą przez *strabismus convergens*, trzymał pierwsze skrzypce, zaś późniejszy dyrygent Oskar Nedbal, pykniczny i ekspansywny, grał na altówce. Kwartety Smetany i Dvoraka musiały zrobić na mnie pewne wrażenie, skoro twarze grających, półmrok popołudniowej sali i ogólne zarysy kompozycji zachowały się przez tyle czasu w mojej pamięci, ale o wrażeniu tym nie potrafiłbym nic więcej powiedzieć.

Rozstrzygający natomiast był kontakt następny, w kilka miesięcy później. Miałem koło 8 lat, kiedy ojciec wziął mnie z sobą na koncert symfoniczny. W odróżnieniu od pierwszego koncertu, nie zapamiętałem zeń ani twarzy dyrygenta, ani jego nazwiska i ani jednego punktu programu. Wszystkie te szczegóły zmyło z pamięci wstrząsające wrażenie instrumentów dętych i perkusyjnych. Myśląc o tym dziś, przypuszczam, że dyrygentem był zapewne Artur Nikisch, który bywał wówczas często w Warszawie i którego koncertów ojciec mój nigdy nie opuszczał. Naturze wrażenia, jakie wywarł na mnie ostatni punkt programu odpowiada chyba tylko tytuł *Grand symphonie funèbre et triomphale*, ponieważ jednak utworu tego nie wykonywano w Europie od śmierci Berlioza, musiał to być zapewne jakiś inny utwór tego kompozytora, *Symphonie fantastique* lub tylko *Marsz Rakoczego*.

Po powrocie z koncertu, nic nie mówiąc, czując na przemian gorąco i zimno, położyłem się szybko do łóżka. Sen jednak nie przychodził. Płynny żywioł dźwięków niósł mnie przez szybko

mijające godziny ku jakiejś przemianie, którą bez żalu i strachu witałem z radosnym wzruszeniem.

Patrząc z oddalenia pół wieku sądzę, że noc ta była rozstrzygająca dla całego późniejszego biegu moich spraw. W formie nagłej rewelacji stałem się tego dnia dostępny dla przeżyć natury innej — i dla mnie nierównie silniejszych — niż wszystkie przeżycia jakich dostarcza ambicja i tzw. *Geltungstrieb*. Od tego dnia byłem posiadaczem sekretu pozwalającego patrzeć z pobłażaniem na wiele spraw zaprzątających moich rówieśników i osoby dorosłe. Postawę tę zachowywałem i później we wszystkich ważniejszych okolicznościach.

◆

Sigmund Freud mówi niechętnie o muzyce jako o czynniku nie sprzyjającym równowadze psychicznej. Wnosząc z własnego doświadczenia sądzę, że znakomity psychiatra ma nieco racji, trudno mi jednak zdobyć się w tej sprawie na jego obiektywizm, bo poczucie równowagi i ,,normalności'' dostarczało mi dużo mniej zadowolenia niż słuchanie lub czytanie muzyki.

Wydaje mi się prawdopodobne, że w salach koncertowych i teatrach gromadzi się większa niż gdzie indziej ilość osób ,,niezrównoważonych'' i uchylających się od normalizacji. Biorę jednak pod uwagę, że te przybytki muzy są rzadkimi wyspami nie pochłoniętymi jeszcze całkowicie przez procesy niwelacji i standaryzacji, zbliżające nas powoli do termitów.

Od czasów Freuda zdobyliśmy wreszcie też trochę nowych doświadczeń. Okazało się np., że przy pewnej niewielkiej nawet przytomności i zmyśle porządku psychopaci i paralitycy potrafią nie tylko uchylić się od nadzoru, ale dojść do władzy i zamknąć w więzieniach wielu obywateli normalnych a nawet psychiatrów. Można więc z pewnym prawdopodobieństwem przypuszczać, że i melomani, znacznie mniej szkodliwi dla otoczenia, potrafią również zmylić czujność tego ostatniego i nie wpadną do kategorii internowanych bankrutów szaleństwa.

◆

Ostatni koncert, jaki słyszałem przed paru tygodniami w Austrii, był to *Liederabend* świetnej śpiewaczki niemieckiej, p. Hinneberg-Lefèbre, poświęcony w całości schoenbergowskim *George-Lieder*. Liczba słuchaczy nie przekraczała trzystu, ale i z tych większość nudziła się bardzo; wielu dusiło się od śmiechu. Mała tylko grupka obecnych zdążała za zawrotną fantazją mistrza muzyki współczesnej ,,wchodzącego ostrożnie w sferę wyzwolonego ognia'', jakby powiedział Czesław Miłosz.

Kiedy porównuję moje wrażenia z pierwszego i ostatniego koncertu, wydaje mi się, że upłynęło między nimi nie lat pięćdziesiąt, ale całe wieki.

Do niepoznania zmieniłem się przede wszystkim ja sam jako słuchacz. Obyty z muzyką atonalną, słucham jej z najżywszym lecz może nieco chłodnym zainteresowaniem, i porównując przez 30 lat jej różne odmiany, nauczyłem się nawet odróżniać utwory lepsze od gorszych. Słucham też wiele muzyki dawnej, ale ze zgoła innym efektem. Jako stały bywalec koncertów symfonicznych przeglądający czasami w domu partytury, znam szablony i maniery kapelmistrzów, słyszę wszystkie usterki wykonania, spostrzegam miejsca zamazane i zniekształcone przez szalone tempa dyrygentów, wiem jaka orkiestra posiada lepszych waltornistów, gdzie i pod czyją batutą należy słuchać Straussa, gdzie zaś Franka Martina, i mnóstwo innych rzeczy nieistotnych, leżących dziś między mną i muzyką. Nic prawie nie zostało mi z bezpośrednich wrażeń, jakie wynosiłem z koncertów za młodu. Dlatego być może znaczna część repertuaru klasycznego nudzi mnie i na ogół chętniej słucham muzyki nowej.

Niemniej ode mnie zmieniła się też muzyka sama. Znikła powoli muzyka nastrojowa, przewidująca u słuchaczy bierne poddanie się żywiołowi muzycznemu, jak poddajemy się działaniu alkoholu. Stosunek muzyki nowej do słuchacza przypomina raczej Offenbacha, który — pisząc dla dowcipnej i wesołej publiczności drugiego cesarstwa — nie pretendował do całkowitego opanowania jej uwagi, lecz pragnął tylko dostarczyć jej lekkiej rozrywki i pretekstu do własnej zabawy. Różnica tkwi w tym, że dziś nie chodzi więcej o zabawę, lecz o ,,ostrożne wkraczanie w sferę wyzwolonego ognia''.

Zmieniła się też całkowicie publiczność. Brak ciągłości jest tu być może najbardziej uderzający. Grupy społeczne, z których rekrutowali się dawni bywalcy koncertów, zostały zmyte przez dwie wojny, dwie inflacje i lata wielkiego kryzysu. Nie pozostało z nich niemal ani śladu. Nigdzie nie widzę więcej znajomych twarzy. Sale koncertowe i opery wypełniła nowa publiczność, mająca więcej pieniędzy, lecz znacznie mniej pewna swego stanu posiadania.

Wszystko zmieniło się więc nie do poznania prócz programów koncertów, które od 50-ciu lat są wciąż te same.

Utwory grane uporczywie przez 50 lat na wszystkich koncertach nie mogą oczywiście budzić wciąż tego samego zainteresowania wykonawców, ani wywierać tego samego wrażenia na słuchaczy. ,,Jak zmieniła się młodzież'', mówił stary profesor, ,,od trzydziestu lat czytam jej dosłownie to samo; dawniej studenci interesowali się żywo moimi wykładami, dziś przychodzi na nie zaledwie kilku słuchaczy''. Ta anegdota objaśnia dlaczego słucham dziś tej samej muzyki inaczej niż przed 30-tu laty, nie daje jednak żadnego klucza do zrozumienia zachowania się publiczności słuchającej wciąż z tym samym zapałem Bacha, Beethovena, Chopina i Brahmsa i odmawiającej słuchania jakiejkolwiek muzyki innej, zarówno nowej jak dawnej. Można by przypuszczać, że po tylu przewrotach społecznych część dzisiejszej publiczności słyszy cykl beethovenowski po raz pierw-

szy. W niektórych miastach przypuszczenie takie może odpowiadać rzeczywistości. Podobne zachowanie się publiczności widzimy jednak także w krajach, gdzie, jak w Szwajcarii np., żadnych przewrotów nie było i gdzie starsi abonenci koncertowi słuchają w tej chwili cyklu beethovenowskiego po raz trzydziesty.



Wbrew rozpowszechnionemu mniemaniu konserwatyzm towarzystw muzycznych i publiczności nie ogranicza się bynajmniej do odrzucania muzyki atonalnej, ale z równą siłą sprzeciwia się dokonaniu jakiegokolwiek nowego wyboru w muzyce dawnej.

Kto miał okazję słyszenia pięknej muzyki barokowej, *Koncertu w formie mszy żałobnej* Schütza, *Orfeusza* lub *Wieńczenia Poppei* Monteverdiego? Utwory te, wznawiane co pewien czas, spotykają się z niezmiennym niepowodzeniem u publiczności. Część utworów Rossiniego, Paganiniego i Berlioza nie była wykonywana od ich śmierci. Nawet Liszt znany jest szerszej publiczności tylko w wciąż tym samym, ogranym do znudzenia wyborze.

W jednym z moich dawnych szkiców twierdziłem, że urok nowości stanowi ważną część składową wrażenia wywieranego przez dzieło sztuki. Dziś nie jestem tego pewny. Być może twierdzenie to, ważne dla innych czasów, stało się błędne obecnie.



Wychodząc z rąk artysty, dzieło sztuki zaczyna żywot niezależny od swego twórcy. O dalszych jego losach decydują znawcy, krytycy, kolekcjonerzy, amatorzy, handlarze i ich klienci, stanowiący razem publiczność artystyczną, która niesie dzieło sztuki, nieraz przez długi szereg pokoleń, ku jego nowym przeznaczeniom.

Mechanizm, dzięki któremu dzieła sztuki utrzymują się na powierzchni zmiennych gustów, i przyczyny, dla których jedne zachowują swą sławę przez stulecia, inne zaś toną w niepamięci, jest najmniej znaną częścią historii sztuki. Jeden z uczniów Crocego wypowiada mniemanie, że zdolność potrzebna do rozpoznania i oceny dzieła sztuki jest tej samej natury co geniusz niezbędny dla jego stworzenia. Wahania i zmiany gustów byłyby w tej koncepcji równie kapryśne i mało uchwytne jak sama twórczość artystyczna. Wszystko to są tylko domysły i spekulacje. Gdy chodzi o czasy dawne, z natury rzeczy skazani jesteśmy na mniej lub więcej prawdopodobne przypuszczenia. Trudniej jest objaśnić dlaczego i czasy bieżące pozostają dla nas pod tym względem nieprzejrzyste, mimo rozpowszechnienia się różnych metod badania opinii publcznej. Być może sprawy dotyczące sztuki wydawały się dotąd mniej ważne niż wrażliwość publiczności na reklamę, opakowanie towarów i slogany polityczne, którymi zajmuje się Dr Gallup. Być może aparat, jakim posłu-

gują się przedsięwzięcia badające opinię publiczną, nie wystarcza dla przeprowadzenia ankiety w sprawie gustów artystycznych, i że zadanie to wymagałoby nowego opracowania techniki ankietowej. Jakakolwiek jest tego przyczyna, nikt dotąd takiej szerzej pomyślanej ankiety nie przeprowadził. Nawet U.N.E.S.C.O., zajmująca się ostatnio wiele sprawami sztuki, nic w tym kierunku nie przedsiębrała.

Można by zauważyć, że ankieta w sprawie tak zmiennej jak gusty artystyczne miałaby wartość ograniczoną i nawet mogłaby skrywać w sobie pewne niebezpieczeństwo. Stwierdzony statystycznie konserwatyzm, publiczność, dyrektorzy oper i towarzystw koncertowych mogliby np. wziąć za niezmienny fakt natury, wobec którego nie pozostaje nic prócz kapitulacji.

Powyższe wątpliwości i obawy wydają się jednak nieistotne. Teatry operowe i przedsięwzięcia koncertowe wywołują dość wielki obrót pieniędzy, aby warto było zapoznać się bliżej z przesłankami tego zjawiska. Zarzut, że każde przedstawienie i każdy koncert są już rodzajem ankiety przynoszącej natychmiastową odpowiedź, nie wytrzymuje krytyki. Przedsiębiorcy muzyczni i widowiskowi gonią przeważnie za mitem sztuki najpopularniejszej, podobającej się wszystkim, opery, którą — jak *Trawiatę* i *Toskę* — można grać tysiąc razy przy wypełnionej sali, lub kompozycji którą — jak symfonie Beethovena — można grać przez sto lat bez deficytu, i doświadczenia ich stwierdzają tylko, że takich oper i kompozycji nowych na razie nie ma. Trudno sobie wyobrazić, aby metodyczne badanie publiczności artystycznej mogło jeszcze powiększyć ich obecny mizoneizm.

Istniejące już fragmentaryczne ujęcia cyfrowe gustów publiczności są niepewne i dające możność różnych interpretacji. Przed paru laty słyszałem np. odczyt niemieckiego specjalisty o publiczności operowej. Twierdził on, że w latach międzywojennych liczono 70 oper nie przynoszących deficytu, gdy w latach 1946-1951 liczba ich spadła do 40. Prelegent wnosił stąd, że gust publiczności zwęził się do niewielkiej ilości oper najbardziej znanych. Zważywszy różnorodność czynników mogących wpływać na deficyt teatrów operowych, wniosek taki wydaje się nieuzasadniony. Z przytoczonego faktu możemy wnosić chyba tylko to, że w ciągu najbliższych lat teatry operowe ograniczą swój program do wymienionych 40 tytułów, dając w sezonie jedną lub dwie sztuki deficytowe mieszczące się jeszcze w preliminowanym budżecie.

Różne fakty zdają się przeczyć wywodom uczonego specjalisty. Mieszkając przez kilka lat w małym lecz zamożnym mieście posiadającym teatr operowy, słyszałem tam kilka oper starych i nowych, których nie miałem nigdy okazji słyszeć w miastach stołecznych. Przyczyną tego urozmaicenia programu był fakt, że teatrem tym zarządzało otwarte dla wszystkich towarzystwo, grupujące bardziej aktywną część publiczności. Udział tej ostatniej w zarządzie teatru nie może mieć większego wpływu na jego poziom artystyczny, może natomiast — jak widać z tego

przykładu — wpływać na urozmaicenie programu. Dochodząc do głosu, publiczność okazuje, w niektórych wypadkach przynajmniej, mniej konserwatyzmu niż dyrektorzy teatrów i towarzystw koncertowych oraz ich doradcy.

W początku okresu międzywojennego czytałem małą książeczkę szkockiego profesora Mc Colvina dowodzącą, że rodzaje sztuki wymagające większego nakładu kapitału zagrożone są stałym obniżaniem się poziomu. Kosztowne przedstawienie teatralne, aby pokryć swe rozchody, musi zgromadzić 20-30 tysięcy widzów. W obawie strat, dyrektorzy teatrów usiłują zwracać się do najszerszej publiczności posiadającej ich zdaniem najgardziej wulgarne gusty. Wynika stąd stały nacisk ze strony przedsiębiorców i udzielających im subwencji miast w kierunku obniżania poziomu opery i innych gałęzi sztuki znajdujących się w tym położeniu. Jakiekolwiek byłyby rzeczywiste gusty szerokiej publiczności, są one być może mniej wulgarne od tych, jakie przypisują im przedsiębiorcy. I z tej więc strony bliższe zbadanie publiczności artystycznej mogłoby przynieść pewną ulgę i zapobiec dalszej degradacji niektórych gałęzi sztuki.



Badanie składu osobowego, zachowania się i gustów publicznośic artystycznej prowadzi do jednego z zagadnień ważnych zarówno dla historii sztuki jak i dla nauki współczesnej, mianowicie do zagadnienia zamówienia społecznego czyli wpływu odbiorców na twórczość artystyczną.

W ciągu kilku wieków Włochy były centralnym laboratorium sztuk plastycznych i wydały ogromną ilość dzieł, których waga, różnorodność i niewyczerpana aktualność, pozostająca wciąż niezgłębionym przedmiotem studiów. Po stuleciach wielkiej twórczości przyszły lata chude. Gdzie płynęła potężna rzeka, został sączący się powoli strumyk. Podobną ewolucję przeszła Holandia i Flandria. Być może i inne kraje znajdują się na progu czasów ubogich w twórczość artystyczną. Jaka jest przyczyna tych uderzających przemian?

Spekulacje na temat geniusza twórczego poszczególnych krajów operują pojęciami zbyt mglistymi, aby mogły objaśnić wielkie wahania jakości i rozmiaru produkcji artystycznej. Lepszej zapewne odpowiedzi dostarczyłyby nam badania odpowiadające na pytania następujące: z kogo składała się publiczność artystyczna danego okresu, czego oczekiwała od artystów i co mogła im wzamian ofiarować?

Uwaga ta odnosi się tym bardziej do muzyki, której życie wymaga jeszcze liczniejszego udziału publiczności. „W czasach Haydna i Mozarta, pisze Artur Honegger, publiczność sama żądała utworów nowych i dlatego kompozytorzy ci napisali ich tyle", i porównując zachowanie się słuchaczy ówczesnych i dzisiejszych dodaje: „Kompozytor dzisiejszy jest rodzajem intruza chcącego koniecznie siąść za stołem, do którego nikt go nie

prosi" (1). Sztuka zbuntowana, agresywna, nie licząca się z wrażliwością odbiorców zdaje się odpowiadać tego rodzaju stosunkom między artystami i publicznością.

Zależnie od czasu i miejsca publiczność artystyczna może mieć bardzo rozmaity charakter. W szeregach jej widzimy raz najwpływowsze i najzamożniejsze grupy ludności z królami na czele, to znów przedstawicieli grupy rewolucyjnej dochodzącej właśnie do władzy i zamożności, to cyganów stojących poza obrębem „towarzystwa", to wreszcie samych urzędników reprezentujących wszechwładną monopartię. Rzecz prosta że „zamówienia" wychodzące od tak rozmaitej publiczności, a także kryteria artystyczne tej ostatniej będą za każdym razem inne. Są wreszcie okresy, kiedy u artystów współczesnych publiczność niczego na pozór nie „zamawia" i niczego od nich nie oczekuje.

◆

Gwałtowne zmiany występujące w składzie, wymaganiach i kryteriach publiczności mogłyby łatwo prowadzić do całkowitego odrzucenia na śmietnik dzieł sztuki okresu poprzedniego. Historia nie zna jednak takich przykładów. Niszczenie dzieł sztuki było najczęściej dziełem wandalów zwykłych, nie orientujących się nawet w dokonujących się przemianach gustu. Dzieła sztuki okresu poprzedniego, pozbawione bieżącej aktualności i nie naśladowane więcej przez nikogo, znajdowały zazwyczaj w krótkim czasie nabywców nowych, płacących za nie nieraz więcej od poprzednich. To samo zresztą dzieje się z meblami, zegarami i wszelkiego rodzaju „obżedarami", a także z dziełami literackimi. Ocena sztuki bieżącej i sztuki dawnej są to dwie funkcje zupełnie różne, spełniane przez dwie odmienne grupy publiczności artystycznej. W różnych okresach jedna z tych funkcji i odpowiadająca jej grupa zyskuje przewagę, spychając drugą na dalszy plan.

W czasach wielkich przemian społecznych i powszechnego poczucia niepewności coraz większa ilość osób poszukuje symbolicznej chociażby stabilizacji i złudzenia ciągłości życia. Dzieła sztuki i wytwory rzemiosł artystycznych, które były przedmiotem podziwu paru pokoleń, posiadają szczególną zdolność wytwarzania takiego złudzenia. O tej funkcji rozstrzyga ich rzeczywista lub domniemana autentyczność, i stąd szczególna waga tego ostatniego kryterium w handlu antykami wszelkiego rodzaju. Publiczność chcąca słuchać tylko Beethovena wyśmiałaby symfonię łudząco podobną, napisaną przez kompozytora dzisiejszego, niezależnie od jego talentu.

Gusty konserwatywne, powroty do sztuki i do wzorów dawnych widziano już w różnych okresach porewolucyjnych, lecz zjawisko to nigdy może nie przybrało dzisiejszych rozmiarów, ani

(1) W *L'artiste dans la société contemporaine*. Unesco, 1954.

form tak jaskrawych, jak w obecnym życiu muzycznym. Realizm socjalistyczny jest też jedną z jego form, powstałą w warunkach sztuki kierowanej.

◆

Koncerty solistów są najprostszą, najbezpośredniejszą formą kontaktu publiczności z artystą. Sprawy organizacyjne grają tu mniejszą rolę niż w operze i na koncertach symfonicznych. Dzięki temu uproszczeniu, na koncertach wirtuozów łatwiej jest być może podpatrzyć charakterystyczne rysy zachowania się publiczności.

Wirtuozeria należy do najstarszych i najprymitywniejszych elementów muzyki. Pewien rodzaj jej widzimy u śpiewających ptaków, które każdej wiosny, zrazu nieśmiało, potem coraz pewniej powtarzają swą niedługą piosenkę, jak gdyby chciały doprowadzić jej wykonanie do doskonałości. Nie daleko od tego wzoru znajduje się samotny pasterz ćwiczący na fujarce przez całe lato kilka motywów.

Na Węgrzech słyszałem kilkanaście razy Cyganów grających na odludziu dla własnej przyjemności. Muzyka ich jest uboga, zawiera niewielką ilość melodii wtłoczonych w dwie formy : medytacji lirycznej (*hallgato*) i tańca (*csardas*); ten ostatni dzieli się na szybki (*gyors csardas*) i powolny (*lass csardas*), czasami przybiera formę marsza i wówczas nazywa się *verbunkos*. Skostniała najwidoczniej od kilku pokoleń, muzyka ta żyje tylko z wirtuozerii wykonania. Z niemałym zainteresowaniem śledziłem zachowanie się dorosłych lub nawet niemłodych mężczyzn o ciemnej cerze, powtarzających godzinami na czterech instrumentach ten sam, znany im od najwcześniejszego dzieciństwa kawałek medytacji lub tańca, dla nadania mu wirtuozowskiego szlifu. Uderzał mnie ich zmysłowy stosunek do samego dźwięku i jego precyzji. Jak u śpiewających ptaków, wirtuozeria łączy się u Cyganów ze zmysłem współzawodnictwa. W niewielkim mieście węgierskim słyszałem popis trzydziestu zespołów cygańskich, grających wciąż te same, znane wszystkim słuchaczom melodie i tańce. Repertuar tych zespołów jest identyczny, i publiczność ocenia jedynie wirtuozerię i fantazję wykonania.

W tych prymitywnych i rzewnych zarazem performacjach można było oglądać jak w krzywym zwierciadle obraz, jaki muzyka wirtuozowska przybrała obecnie w największych stolicach świata. W obrazie tym znajduje się oczywiście pewna ilość elementów niezmiennych, właściwych muzyce wszystkich czasów. Trudno jednak byłoby zaprzeczyć, że koncerty solistów zbliżają się od 30-tu lat coraz bardziej do cygańskiego wzoru. Uderza w nich to samo ubóstwo i niezmienność repertuaru. Od wielu lat już nie słyszałem na żadnym z nich nic, czego bym nie słyszał już wielokrotnie na innych koncertach. Program ten, znany zapewne w równym stopniu wszystkim pozostałym słucha-

czom, utrzymuje się wciąż na afiszach dzięki zamiłowaniu publiczności do popisów techniki wirtuozowskiej.

W przytoczonym wyżej raporcie Artur Honegger pisze: „Liczba koncertów wzrasta z dnia na dzień, repertuar ich kurczy się z roku na rok. Na koncert nie idzie się słuchać muzyki, lecz podziwiać technikę jej wykonania. Odnosi się to również do niezliczonych występów pianistów, nie wychodzących poza trzech uznanych przez publiczność autorów".

Daleki jestem od deprecjonowania wirtuozerii. Widzę w niej jeden z zasadniczych składników żywiołu muzycznego i pierwszy krzyczę *bravo* słysząc wirtuozowskie wykonanie Liszta lub Paganiniego. Wydaje mi się jednak — i w tym mniemaniu nie jestem zapewne odosobniony — że obecne koncerty solistów, oparte o tak ciasny i jednostajny repertuar, nie wyczerpują wcale tego, czego słusznym tytułem można oczekiwać od imponującej techniki wykonawców.

Znudzenie wywołane przez jednostajność programów zmienia się w niepokój, kiedy te same utwory Liszta i Chopina słyszę także przechodząc koło konserwatoriów, a wreszcie i ze wszystkich okien domów, w których radio nie wyparło jeszcze fortepianu. Szkoły bowiem i konkursy muzyczne stawiają sobie najwidoczniej za cel wyszkolenie młodych zawodników, którzy — w granicach tego samego programu — staną do karkołomnej konkurencji z obecnymi ulubieńcami publiczności. Po młodszym pokoleniu pianistów nie można się więc spodziewać żadnej odmiany.

Honegger podnosi jednostronność tego wykształcenia i twierdzi, że z dwudziestu laureatów konkursów ani jeden nie potrafi odczytać poprawnie kompozycji współczesnej. Uwaga jego wydaje się słuszna także w stosunku do zespołów orkiestrowych. Nie mając w tym kierunku większego doświadczenia, dyrygenci i orkiestry, jeżeli przypadkiem dostaną do wykonania jakąś kompozycję współczesną, dają jej obraz chaotyczny i zniekształcony, nie przyczyniający się żadną miarą do powodzenia utworu. Muzyki współczesnej słuchać można z przyjemnością tylko w miastach, gdzie towarzystwom muzycznym udało się obudzić w publiczności *novarum rerum studio,* i gdzie dyrygenci i instrumentaliści posiadają pewne doświadczenie w zakresie muzyki współczesnej. Na koncertach solistów ta ostatnia nie dochodzi w ogóle do głosu.

Istnieje dziś specjalna publiczność recitalów, interesująca się tylko szczegółami technicznymi wykonania. Słychać wśród niej szepty: „Czy to aby jest prawdziwy *poids du bras?*" „Nie, jeden mięsień ciągnie mu się koło łokcia". W naszej epoce zawodów sportowych znawcy wyceniają artystę jak się wycenia atletę. „On jest wspaniale *déconcentré*", mówią z uznaniem. W największy zachwyt wprawia ich ultrasoniczna szybkość gry, przy której muzyki już prawie nie słychać. „To jest prawdziwy Zatopek fortepianu", mówią rozrzewnieni. Niejeden pianista musi wątpić czy dla takiej publiczności warto grać.

Publiczność Paganiniego była być może nie więcej warta, ale nie wydawała przynajmniej zapachu boisk i stadionów, jakimi zalatuje dzisiejsza publiczność recitalów.



Leży przede mną lista kilkuset koncertów solistów, jakie mają się odbyć w najbliższych tygodniach w większych miastach Europy. Wszystkie prawie mają ten sam program: Chopin, Liszt, Bach. Tylko kilku najsławniejszych mistrzów mogło sobie pozwolić na pewne odstępstwa od tego szablonu. Przystosowanie wirtuozów do gustu publiczności idzie więc jeszcze dalej niż przystosowanie zespołów orkiestrowych i chóralnych.

Przyczyna tego zjawiska zdaje się leżeć w szczególnej strukturze kosztów koncertu solisty. Kosztorys koncertu przypomina kalkulację niektórych produktów kosmetycznych i farmaceutycznych, w której produkt sam kosztuje 1%, jego opakowanie 5%, reklama 50%, inne koszty handlowe 35% i zysk producenta 9% ceny sprzedażnej. Z rachunku przedsiębiorcy koncertowego wynika, że sala, światło i fortepian wynoszą znikomą tylko część kosztów ogólnych; resztę pochłania reklama obejmująca kilka różnych rozdziałów. Z artysty żyje cały zastęp pasożytów, wśród których nie ostatnie miejsce zajmuje państwo i miasto. Koszty sztywne koncertu są tak wysokie, że tylko większe sale, w wypadku wyprzedania ich do ostatniego miejsca, zostawiają miejsce na pewien dochód. Całkowite podporządkowanie się gustom i kaprysom publiczności jest więc niezbędnym warunkiem powodzenia.

Przy bliższym rozpatrzeniu okazuje się, że rozmiar reklamy koncertu nie stoi w żadnej proporcji do jej efektu. Na jednego słuchacza przypada kilka, kilkanaście, w wielkich zaś miastach nawet kilkadziesiąt afiszów i do tysiąca ogłoszeń w gazetach. Tyle reklamy dla zwabienia jednego, przeważnie najmniej interesującego słuchacza, bo bywalcy koncertów dowiadują się o nich najczęściej innymi drogami! Reklama jest wielką potęgą eksploatującą złudzenie, że potrafi rozszerzyć w nieskończoność liczbę spożywców reklamowanego towaru. Elastyczność spożycia poszczególnych artykułów jest jednak bardzo nierówna. Każdy prawie może przy okazji stać się nabywcą reklamowanych pigułek przeczyszczających lub cholagogicznych; aby dać się namówić na wysłuchanie koncertu, trzeba uprzednio spełnić cały szereg warunków, na które reklama nie ma wpływu. Publiczność koncertowa jest wielkością stosunkowo sztywną, i istniejący system reklamowy przekracza widocznie swój cel. Szczególnie uderzający jest wypadek towarzystw koncertowych wprawiających w ruch olbrzymi aparat reklamy w celu sprzedania niewielu wolnych miejsc nie objętych abonamentem. W wypadku tym koszty reklamy przekraczają wielokrotnie cały możliwy dochód ze sprzedaży biletów. Z praktyki tych towarzystw wynika zresztą, że

znaczna część, dochodząca do 80%, słuchaczy jest im znana imiennie, i że istnieje możność zwracania się do niej bezpośrednio.

Patrzący na kosztorysy koncertów nie wie, czy reklama służy tu propagandzie muzyki, czy też muzyka i sława jej wykonawców została zaprzężona do obracania młynu reklamy. Takie sytuacje znane są i w innych dziedzinach, np. w niektórych czasopismach ilustrowanych. Znany pisarz kładący swój podpis pod stronicą obojętnego tekstu spełnia w nich skromną rolę osła niosącego na plecach kolorowe reklamy perfum i zegarków.

Wystarczy porównać reklamę koncertów i artykułów pokrewnych, np. książek, aby dostrzec, że obecny system jest równie kosztowny jak niecelowy, nie odpowiadający ani naturze reklamowanego artykułu, ani zwyczajom jego spożywców. Jedynym jego pewnym wynikiem jest obecne zwężenie programów. W dziedzinie tej wszystko jest jeszcze do zrobienia, zaczynając od przemyślenia zagadnienia. Kto jednak miałby podjąć tę inicjatywę, skoro istniejący system dostarcza zarobków tylu pracownikom różnych zawodów, nie chodzącym zresztą nigdy na koncerty, i nie budzi wątpliwości u większej części słuchaczy?

Ofiarami tego systemu są muzycy — w pierwszej linii kompozytorzy i soliści — oraz pewna część publiczności, której obecny stan rzeczy nie daje zadowolenia. Kompozytorzy nie mają w nim żadnych szans usłyszenia z estrady swych utworów fortepianowych. Gorsza jeszcze jest sytuacja solistów. Spośród niezliczonych absolwentów klas wirtuozowskich i laureatów konkursów nieliczni tylko, posiadający najlepsze warunki do podobania się opisanej wyżej publiczności recitalowej, potrafią opłacić się molochowi reklamy i utrzymać się jako koncertanci. Dla 99% pozostałych długie lata zaprawy w ultrasonicznej grze Liszta i Chopina będą całkowicie stracone. Nikt nie dowie się nawet czy posiadali jeszcze jakieś inne uzdolnienia, bo do przejawienia ich w swym zawodzie nie będą mieli żadnej okazji.

Z mechanicznego systemu koncertów publicznych nie ma być może żadnego wyjścia, i publiczność bardziej wymagająca będzie być może nadal wycofywać się zeń na teren koncertów prywatnych. Poszukiwanie jakiegoś innego wyjścia musiałoby się zacząć od zbadania anonimowej masy wielkiej publiczności i odróżnienia jej części składowych. Jak daleko posunęła się jej niwelacja wewnętrzna? Ile znajduje się w niej jednostek posiadających własne zdanie chociażby w dziedzinie rozrywek i przyjemności? Czy nie dałoby się od niej oddzielić ukrytą na razie w masie jakąś publiczność mniejszą, dostępną także dla innej muzyki? Metody rozszerzania i niwelowania publiczności przy pomocy propagandy i reklamy są znane i stanowią podstawę obecnego systemu. Oderwanie od niej jakiejś grupy mniejszej jest rzeczą trudniejszą, lecz nie beznadziejną. W różnych czasach podejmowano takie zadania.

Jedną z największych trudności takiego przedsięwzięcia byłaby zapewne obecna izolacja artystów. W odróżnieniu bowiem od Paganiniego i Liszta, artyści dzisiejsi nie znają niemal wcale

swej publiczności, oddzieleni od niej systemem propagandy zwracającej się anonimowo do nieznanego słuchacza. Artystę dzieli z natury rzeczy cała przepaść od profanów, ale przepaść ta nie była być może nigdy równie głęboka jak obecnie. Czy istnieje możność zbliżenia do siebie obu grup, jednakowo niezbędnych dla życia muzyki?

Aby odpowiedzieć na to pytanie, należy być może zapomnieć o wszystkim czego uczy doświadczenie, porzucić drogę ostrożnego myślenia, pozbyć się obawy przed śmiesznością i wejść śmiało w strefę czystej fantazji.

Zrobiwszy ten nieprzezorny krok, widzę przed sobą stowarzyszenie na prawach spółdzielni, obejmujące np. stu artystów i pięciuset słuchaczy, wpłacających niewielki udział — dwa lub trzy dolary — który wystarczy na posiadanie przez jeden rok fortepianu i lokalu mogącego pomieścić 200-250 osób. Stowarzyszenie posiada w ten sposób klucz do 365 koncertów przed małą publicznością.

Możności i perspektywy takiego stowarzyszenia wydają mi się równe trudnościom nieuniknionym przy jego założeniu i tym, jakie w krótkim czasie powstałyby zapewne w łonie tego organizmu. Myśląc o tych ostatnich spostrzegam, że nie udaje mi się dziś oderwać od doświadczeń przeszłości i że nie stać mnie na żadną fantazję. Porzucam więc tu mój temat w nadziei, że może ktoś inny podejmie go lub pomoże mi zrobić krok następny.

Paweł HOSTOWIEC

Fragmenty z dziennika

Zbyszewskiego artykuł w ,,Kulturze'', że literatura polska jest bez szans na rynku światowym — ponieważ życie polskie nie jest dość potężne aby wzbudzić zainteresowanie. Jak znakomicie to napisane z punktu widzenia dziennikarskiego. A jaki obmierzły ten tonik z punktu widzenia sztuki. Mam za złe wielce uzdolnionemu Zbyszewskiemu, że jego koncepcja gór jest płaska. Włazi on na szczyty z dziennikarską bezceremonialnością, z praktyczną ,,trzeźwością'', która stała się ostatnim naszym rozumem. W tym artykule mówi się o literaturze jak o ,,produkcji'', która wymaga ,,reklamy'' i ,,propagandy'', stoi na ,,czytelnikach'' i szuka wydawców. Do diabła z tym produkcyjnym językiem planów pięcioletnich ! Już poprzednio wystąpił Zbyszewski z rewelacją niemniej zażarcie trywializującą : że literatura jest bez szans wskutek kryzysu na odcinku służby domowej — gdyż, z powodu braku sług, panie nie mają czasu na lekturę. Można i tak, ale czy ten realizm nie zanadto kuchtowany ? I czy ów sposób podejścia do spraw literatury nie stanowi sam przez się odpowiedzi na pytanie, dlaczego literatura polska jest bez szans ? Nie, nie tylko dlatego, że tematyka nasza jest egzotyczna dla świata. Tematykę można odmienić, ulepszyć... Trudniej zmienić to, że my w naszym ujęciu literatury jesteśmy albo górnie romantyczni, albo płasko trzeźwi na poziomie służby domowej — i *tertium non datur*. Albo świętość, misja, objawienie — albo czytelnicy, nagrody, wydawcy. Jesteśmy wielcy po pijanemu, ale trzeźwość nasza jest kucharkowata i o tym abyśmy umieli pogodzić wielkość z trzeźwością, nie ma mowy. Słyszałem, że pewna profesorowa zachwyciła się tym artykułem. Jakżeby nie ! Wszak to przyjemnie wyjaśnia nam dlaczego jesteśmy nieuznani, chociaż genialni — a to wyjaśnienie jest w sam raz na miarę naszego braku genialności, naszej pospolitości.

Wczoraj u Teodeliny trzech mężczyzn — jeden ogolony — drugi wąsacz — trzeci brodacz — i bardzo byli zdziwieni, że nie mogą się porozumieć w ocenie sytuacji politycznej na Dale-

kim Wschodzie. Powiedziałem: — Dziwię się, że w ogóle ze sobą rozmawiacie. Każdy z was stanowi inne rozwiązanie twarzy ludzkiej i uosabia odmienną koncepcję człowieka. Jeżeli brodacz jest w porządku, to gołowąs i wąsacz są potworami, pajacami, degeneratami i w ogóle absurdem; a jeśli gołowąs jest właściwym człowiekiem, to potwornością, niechlujstwem, nonsensem i świństwem jest brodaty. Nuże! Na co czekacie? Dajcie sobie po mordzie!

Korespondencja Gide'a z Claudelem — cóż za teatrzyk! Jak to spokraczniało w ciągu paru lat! Nie śmieszy dialog wierzącego z niewierzącym, ale fraczek... ten fraczek doskonale francuskiej „mondanité", to że wszystko tak literacko wygładzone. Maja naga i Maja ubrana, Bóg pomiędzy Monsieur Gide i Monsieur Claudel. I naiwności tego wyrafinowania! *Quelle délicatesse des sentiments!* Właściwym autorem tej korespondencji jest służba domowa i tu rzeczywiście przydałby się Zbyszewski. Gdyż cała ta delikatność wycackana jest i wychuchana przez ludzi niższych, ten wysoki dialog korzeniami tkwi w gminie — ale on już zapomniał o swoich korzeniach i panoszy się, jakby istniał własnym życiem. Znów więc objawia się konieczność nawiązania do tej niższej prawdy, która jest u podstaw prawdy wyższej.



Sobota.

Śmierć Tuwima. Wyobrażam sobie nekrologi. Ale tu, prywatnie, mogę zanotować: zmarł największy współczesny poeta polski. Największy? Niewątpliwie. Wielki? Hm...

Nie wprowadził nas w nic, niczego nie odkrył, w nic nie wtajemniczył, nie dostarczył żadnego klucza. Ale wibrował — tryskał — olśniewał... magią „poetyckiego słowa". Taka zmysłowa wibracja poetyckiej harfy, ziejącej werbalnym luksusem, jest, w sztuce, najwyższą aspiracją ludów prymitywnych; więc był to poeta, który nie przynosił nam zaszczytu, nawet trochę nas demaskował. Wstyd polega na tym, że o każdym wierszu Tuwima możemy powiedzieć, iż jest „cudowny", ale na pytanie, co tuwimowskiego wniósł Tuwim w poezję świata nie potrafimy udzielić odpowiedzi. Gdyż Tuwim, jako Tuwim, to jest jako osobowość, nie istniał. Harfa bez harfiarza.

Ciekawy jestem, czy nekrologi zdobędą się na ujawnienie tej prawdy. Myślę iż będą raczej utrzymane w zdrowo konwencjonalnym poetowatym stylu, z łezką z powodu „zdrady". Nasze odczucie poezji jest, jak się rzekło, nieco prymitywne i mocno zmechanizowane, ale doprowadziliśmy do wielkiej perfekcji nasze mówienie o niej — mówienie, pełne fioritur, trelów, trylów, w tonie poetyckim, z fałszywie poetyckim rozczuleniem i z równie fałszywym poetyckim uniesieniem. Gatunek ten doskonale nadaje się na pogrzeby, przypuszczam więc, że zostanie uruchomiony przy tej okazji.

Moim zdaniem poezja polska (ale może wszystkie poezje?) nie ruszy z miejsca póki nie zerwie z trzema okropnymi szablonami: 1. Postawa poety; 2. Ton poetycki; 3. Forma poetycka. Róbcie, co chcecie. Próbujcie wyleźć z tego drzwiami czy oknami, mnie wszystko jedno; ale póki będziecie wewnątrz tej Instytucji, nic was nie zbawi.

Niedziela.

Z najgłębszą pokorą wyznaję, ja, robak, że wczoraj we śnie ukazał mi się Duch i powiedział: — Gamoniu! Gdybyś nie był głąbem, oto po powinienbyś zdziałać — ty i skryby tobie podobne! (I wręczył mi Program, złożony z pięciu punktów).

1. Literaturze polskiej, fatalnie spłaszczonej i skapcaniałej, słabowitej i lękliwej, przywrócić pewność siebie. Stanowczość i dumę, rozmach i lot.

2. Oprzeć ją mocno na ‚ja'', uczynić z ,,ja'' jej suwerenność i siłę, wprowadzić na koniec to ,,ja'' w polszczyznę... ale uwydatnić jego zależność od świata...

3. Przestawić ją na tory najnowocześniejsze i to nie powolutku, ale skokiem, ot tak, wprost z przeszłości w przyszłość (gdyż *les extrèmes se touchent*). Wprowadzić ją w najtrudniejszą problematykę, w najboleśniej przełomowe komplikacje... ale nauczyć ją lekkości i lekceważenia i tego, jak ma zachować dystans... Nauczyć wzgardy dla idej i kultu osobowości.

4. Zmienić jej stosunek do formy.

5. Zeuropeizować — ale zarazem wyzyskać wszystkie możliwości aby przeciwstawić ją Europie.

U dołu widniał ironiczny napis: nie dla psa kiełbasa!

Jutro aeroplanem wyruszamy do estancji, oddalonej o kilkadziesiąt kilometrów (ale droga podła).

Sobota. — Dariusz wiejski.

Wylądowaliśmy gładko na łące niedaleko kępy drzew, płosząc zbaraniałe krowy — a nieopodal pasły się barany — i wysiadłem z aeroplanu, ale właściwie nie wiem gdzie południe, gdzie północ, i w ogóle nie rozumiem dobrze, o co chodzi, gdyż pocę się, tak, wypacam z siebie, a powietrze rozrzedzone i rozżarzone przed oczyma tańczy... Dwór pośród eukaliptusów, rozdartych papuzim wrzaskiem.

Słońce łapką swoją przymruża mi oczy, a jednocześnie spaceruję między drzewami, ale Sergio coś mówi i duży ptak zrywa się — pocę się — zrywa się i pocę się — i słyszę, że on mówi czyby nie zapolować. Ale pocę się. Pocę się i jestem trochę nerwowy! Kapryśny. I zresztą nudzi mnie, że ten chłopiec robi zawsze to czego się po nim oczekuje, gdy podają jedzenie siada przy stole, ziewa, gdy jest późno, a gdy przybywamy na wieś częstuje polowaniem. Poprosiłem aby nadal przestał nudzić banalnością i postarał się być bardziej niespodziewany. Nic nie odpowiedział. Muchy brzęczą.

Niedziela.

Zbudziłem się dość późno i starałem się zorientować w położeniu, ale nie tak to łatwo, bo blask słoneczny nie pozwala otworzyć oczu... widzę tylko piaszczysty grunt pod nogami i, bodaj, mrówki. Spróbowałem podnieść wzrok i zerknąłem na prawo, a tam krowa, ale gdy spojrzałem na lewo, także krowa. Szedłem przed siebie pośród drżeń słonecznych prześlizgujących się przez liście, wtem przede mną — drzewo. A Sergio, który mi towarzyszył, wylazł na drzewo. Zapytałem, czy nie potrafi wymyślić czegoś bardziej oryginalnego? Zamiast odpowiedzi, wylazł, ale już chyba bez drzewa. Mówię „chyba", gdyż spod zmrużonych powiek nie mogłem dojrzeć i zresztą rozpływam się...

Poniedziałek.

Myślę o mojej pracy, o moim miejscu w literaturze, o mojej odpowiedzialności, moim przeznaczeniu i moim powołaniu.

Ale komar brzęczy z lewa, nie, z prawa, zieloność przepływa w niebieskość, papugi szwargoczą i dotychczas nie mogłem się rozejrzeć, gdyż nie chce się a, powtóre, rozpływam się. Przypuszczam, że naokoło palmy, kaktusy, gąszcze, pastwiska, bajora lub może mokradła, ale na pewno nie wiem, zobaczyłem ścieżkę, poszedłem tą ścieżką, ścieżka zaprowadziła mnie w krzaki pachnące jak herbata, ale nie była to herbata, po czym spod skrzydeł mego kapelusza ujrzałem nogi Sergia w pobliżu, z lewej strony. Czego on tu chciał? Czy pragnął mi towarzyszyć na przechadzce? W przypływie irytacji zapytałem, czy nigdy nie przestanie być konwencjonalny, gdy wtem nogi jak gdyby uniosły się nad ziemią i jęły stąpać ponad nią, na wysokości jakichś 15 ctm. Trwało to parę minut. Potem opadły i już stąpały po ziemi... Użyłem słowa „jak gdyby" ponieważ nie wierzę, aby to było możliwe i zresztą pocę się, a kapelusz, blask i zarośla ograniczają pole widzenia. Mandioka.

Wtorek.

Nic nie zaszło. Jeśli się nie mylę, przyglądają mi się stada koni, a także patrzą na mnie krowy w olbrzymich ilościach.

Wieczory są chłodniejsze, ale mimo to w głowie kompot, a w kościach rozlazłość. Sergio przy kolacji zamiast papierosa zapalił firankę i już chciałem krzyczeć, ale jak się okazało zapalił ją niezupełnie, to jest niecałkowicie, raczej połowicznie, co wywołało pewne zdziwienie jego rodziców, zresztą także połowiczne, a ja powiedziałem w nastroju jakiejś dobrodusznej pobłażliwości: — No, no, Sergio, co ty wyrabiasz?

Środa.

Roztapiam się i rozpływam, ale wszystko też się rozpływa, gdzie północ, gdzie południe, nic nie wiem, może ujmuję krajo-

braz do góry nogami, ale krajobrazu nie widać, tylko muszki, łodyżki, smużki, drżenie atmosfery, brzęczenie tonące w blasku. Natomiast Sergio zaczyna mnie zastanawiać. Dziś przy śniadaniu znów nieco nas zdziwił gdyż tak jakoś zakręcił że, wszedłszy do stołowego, jeszcze raz jakby wszedł do stołowego to jest niejako od wewnątrz, tak to było jakby z wewnątrz wszedł do wewnątrz, co mu pozwoliło potem z wewnątrz wyjść do wewnątrz i dopiero z wewnątrz na zewnątrz... Mówię ,,jakby'', ,,niejako'', bo wszystko to było tylko do pewnego stopnia, ale niewątpliwie chłopiec ten coraz bardziej oddala się od szablonu. Rodzice zwrócili mu uwagę, ale tylko do pewnego stopnia, bo zresztą nie podobna skupić uwagi i pot zalewa, a wszystko rozmazuje się...

Czwartek.

Gdyby nie to, że się pocę, czułbym się poważnie zaniepokojony, a może nawet zatrwożony, gdyż dzieją się rzeczy dziwne. W samo południe, w największym rozżarzeniu i rozedrganiu, Sergio dosiadał konia. Jednakże ku zdumieniu nie tylko swoich rodziców, ale i całej estancji, wsiadł na konia niecałkiem i galopował niezupełnie, po czym zsiadł tylko w pewnej mierze i poszedł do swego pokoju ot tak sobie, niedość. Miałem dłuższą rozmowę z jego rodzicami, którzy nie ukrywali swojej troski, roztapiającej się jednak wraz z nimi w tropikalnym żarze i, w następstwie tej rozmowy, zwróciłem się do Sergia z prośbą, aby na przyszłość był mniej niespodziewany. Odpowiedział, że odkąd otworzyłem mu oczy na nieprzeczuwane dotąd możliwości, czuje się jak król i nie zamierza abdykować. To wysoce mi się nie spodobało i ukazałem mu całą niewłaściwość tych igraszek, na co odrzekł : — Dobrze, dobrze, tak, naturalnie, myślę że jednak masz rację... To ,,jednak'' wskazywało, że jednak nadal upiera się przy swojej pośredniości, niezupełności, że jednakże, usiłuje wyzyskać tę jakąś mętność, mglistość, rozlewność wszystkiego dla swoich machinacji, że, jednakowoż, wykorzystując iż my musimy *nolens volens* przymykać oczy, będzie broił acz może niezupełnie i pozwalał sobie acz niecałkiem...

Rozmowa nie dała pozytywnego rezultatu, tym bardziej, że jednocześnie szliśmy ścieżką, która wiodła w zarośla nad bajorem i w pewnej chwili spostrzegłem, że jestem pośród trzcin a obok mnie, oprócz nóg Sergia, nogi Chango i Camba, dwóch parobków z estancji. Wówczas zdarzyło się coś okropnego. Mianowicie wszyscy przystanęli (ja także) a ręka Sergia dała mi do ręki sztucer podczas gdy druga ręka wskazywała nagląco coś na kształt trójkąta w zielono-żółtawo-niebieskawym światłocieniu, tam, w szuwarach... Wypaliłem.

Piorun huku wstrząsnął całością...

A coś szurgnęło, skoczyło, zniknęło.

I tylko brzęczenie moskitów. Wobec czego zacząłem iść wraz z nimi w skwarze i wkrótce znalazłem się w domu. Kro-

kodyl. Krokodyl ! Krokodyl, strzelony, ale niedostatecznie, zabity niecałkiem, trafiony, ale niedość — i on teraz przeszywa wszystko dookoła. A do tego huk, ten huk, który także przeszył i co gorzej przypieczętował, tak, przypieczętował !!! Piekielny słońca żar. Pot i olśnienie, oszołomienie, rozwałkonienie, a krokodyl, niezupełny krokodyl tam... Sergio nic nie mówił, ale wiedziałem, że w to mu graj... i wcale nie zdziwiło mnie gdy — niezupełnie, ale już otwarcie — pofrunął na gałąź i zaświergotał. Jakżeby nie ! Teraz — do pewnego stopnia — teraz — na wszystko może sobie pozwolić !

Przygotowuję się niejako do ucieczki. Pakuję w pewnej mierze walizki. Krokodyl, niezupełny, niepełny krokodyl ! Rodzice Sergia już prawie wsiedli w pojazd zaprzężony w cztery konie, i nieomal oddalają się... prawie z pośpiechem... Gorąco. Upał. Żar.

Witold GOMBROWICZ

Powrót świętych

2

MIŁOŚĆ NIE ZAWSZE JEST UPRZEJMA

Przyzwyczajeni jesteśmy do mdłych i ckliwych życiorysów tego wspaniałego ludu bożego, jakimi są święci; do sztucznych obrazków, które ich pomazały aż duszącą brylantyną, upozowały na sztuczną wzniosłość rodem ani z ziemi ani z nieba : stąd mogą się wydawać dziwnie niewspółmierne z naszym fałszywym ujęciem świętości te ostre, kolące i tak bardzo ludzkie cechy charakteru, języka, pióra i postępowania jedynych na ziemi prawdziwych przyjaciół Boga. — A gdzie miłość bliźniego? zapytamy...

Toć trąbią nam powszechnie, że nieomylnym znakiem świętości jest niebiańska słodycz, pokora z oczyma w dół spuszczonymi, skromność. Święty nigdy nikogo nie dotknie ani słowem, ani czynem, nie może być chwalony, znać swej wartości...

Św. Hieronim napisał dziełko o ,,najwybitniejszych postaciach'' całego chrześcijaństwa aż do swej epoki. Bez żadnych lisich chwytów, nie opuszczając skromnie wzroku napisał w nim również na zakończenie własny życiorys jako ,,viri illustris'', męża znamienitego. Św. Jan Bosco z najzimniejszą krwią poprawiał broszurę propagandową o sobie, dopisując nawet smakowity szczegół, aby tylko zwiększyć dochody z rozsprzedaży pamfletu na swoje liczne zakłady i warsztaty dla młodzieży. Pokorna karmelitanka św. Teresa Wielka, spojrzawszy na swój portret, namalowany z mierzeniem sił na zamiary przez świętobliwego braciszka, ale marnego pacykarza, powiedziała : — Niech mu Bóg tego nie pamięta, co on tu ze mnie zrobił ! A wielki Doktor Kościoła wschodniego św. Jan Chryzostom mówi z uroczą prostotą : ,,Nie odczuć przyjemności gdy się zostało pochwalonym, to się jeszcze, jak śmiem przypuszczać, nie zdarzyło nikomu na świecie''.

A teraz : nie urazić nikogo ,,z miłości bliźniego''...

Nie taka to prosta sprawa — w żadną stronę — jakby się wydawało. Nie wspominamy już straszliwych inwektyw Jezusa, które naśladowało wielu świętych naśladując Mistrza jak tylko potrafili... Przypomnijmy sobie za to choć kilka powiedzień podyktowanych przez Ducha Św. przeciwko głupcom.

Z tą głupotą, to również sprawa skomplikowana, bo są jej różne rodzaje. Najpospolitsza i najpowszechniejsza to ta, której... ulegamy chyba wszyscy, a która wyraża się w zadowoleniu z siebie i swego ,,rozumu''. ,,Zdrowy rozum — powiada kpiąco Descartes w 'Rozprawie o metodzie' — jest to rzecz ze wszystkich na świecie najlepiej rozdzielona. Każdy bowiem sądzi, że jest w nią tak dobrze zaopatrzony, iż nawet ci, których we wszystkim innym najtrudniej jest zadowolić, nie zwykli go pragnąć więcej, niż posiadają''. W języku Pisma św. wszakże człowiek głupi to taki, ,,który powiedział w sercu swym : nie ma Boga'', człowiek, który się od Boga odwraca lub odeń się odwrócił. To także próżny i pyszny. Pycha jest najcięższym z grzechów, bo najbardziej duchowym, dlatego też dla scholastyków ,,pycha, to dowódca siedmiu grzechów głównych''. Jest to — dodajmy — grzech najtrudniejszy do popełnienia, bo trzeba naprawdę być czymś, aby móc zgrzeszyć tym grzechem aniołów. Pycha, to bowiem przeciwstawienie się Bogu jak równy równemu, jak lepszy gorszemu...

Pewna dygresja : Polka spowiada się staremu, doświadczonemu spowiednikowi. Mówi, mówi, wreszcie chwila przerwy, więc ksiądz swoje zwyczajowe : — I co jeszcze, dziecko? — Wynosiłam się nad swoje znajome... — A dlaczego ty, moje dziecko, wynosiłaś się nad swoje znajome? — Bo jestem dumna i pyszna. Na to stary ksiądz zaszemrał dobrotliwie zza kratek konfesjonału : — Nie, moje dziecko, ty nie jesteś dumna i pyszna; ty jesteś po prostu głupia...

Jest wszakże głupota beznadziejna, zatwardziała, rozkładająca życie duchowe i moralne; zaślepiająca, niezależna od posiadania najwyższych stopni naukowych, od oceanów wiedzy i uczoności formalnej, uparta; głupota trwania, stanu; zacięta i zadowolona z siebie, kładąca się między człowiekiem a Bogiem. Prosto ale trafnie ujmuje sens tej głupoty znane polskie przysłowie, że ,,głupiego pochlebstwem do piekła zaprowadzisz''.

Ten rodzaj głupoty mając na myśli, natchniony autor w Pismie św. doradza ,,kij na grzbiet głupiego'', a bicz na grzbiet osła''. Ale rzadko pomaga nawet taka pedagogia, toteż pisarz dodaje smętnie : ,,Choćbyś stłukł głupiego w stępie, bijąc z wierzchu stęporem, nie będzie odjęta od niego głupota jego'', albowiem ,,jako pies do wymiotów swoich, tak wraca się głupi do głupstwa swego''. Dlatego też Duch Św. zaleca dość radykalnie postępować : ,,Odpowiedz głupiemu wedle głupstwa jego, aby się sam sobie nie zdał mądrym''. Ale to tylko w tym wypadku, gdy jest pewna nadzieja na dobranie się mu do sumienia, do rozumu i pewna szansa, że wola jego może zostać naprostowana. Jeśli zaś głupota jego jest nieprzezwyciężona i podejmowa-

nie dyskusji byłoby narażaniem na śmiech i rzeczy i siebie, wtedy Duch radzi : „Nie odpowiadaj głupiemu wedle głupstwa jego, abyś mu się nie stał podobnym".

O tych i podobnych radach Pisma zapominają ci, którzy (niezawsze bezinteresownie) pouczają, że cechą miłości bliźniego zawsze i nieodmiennie jest słodyczkowata czułostkowość, unikająca wszelkiego ostrzejszego słowa, ostrzejszej akcji. „Nie bądź za słodki, bo cię zliżą": to niezwykle moralne przysłowie! Z tą „słodyczą" bowiem tak długo jest dobrze, dopóki nie przemienia się na zasadę nieetyczną, nazywającą się „dla świętego spokoju". Dopóki za „słodycz" i ustępliwość nie płaci się z własnej substancji ludzkiej, z samej istoty człowieczeństwa. „Zaprawdę powiadam ci: kto chce mieć wziętość u wszystkich, u wszystkich ją straci"! Tak nauczał Filoteę łagodny i słodki św. Franciszek Salezy. Byłoby to przekreśleniem zasady wszelkiego postępu moralnego, wszelkiej konsekwencji, wynikającej z przyjęcia wiary : z wiary boskiej i ludzkiej, gdyby interesowne wywody o konieczności „słodyczy", ustępliwości, zgodności i tym podobne, miały być stosowane zawsze i wszędzie. Byłoby to postawienie zasady indyferentyzmu i nieodpowiedzialności, umysłowej i moralnej, zarówno w postępowaniu jak i w wierzeniach. Czymże innym jest słynne powiedzenie anglikańskiego kanonika św. Pawła w Londynie, że „największym nieszczęściem chrześcijaństwa jest Credo : ściśle określone wierzenia". Bo gdyby ich nie było, całe chrześcijaństwo mogłoby się znów połączyć... Oto do jakiej aberracji dochodzi się przy wysuwaniu zawsze i wszędzie zasady „wyjścia na przeciw", kompromisu, spotkania w pół drogi. W pół drogi nigdy nie leży prawda, ale błąd. Do prawdy trzeba dochodzić, bo jest niezmiennie w tym samym miejscu. Albowiem stanęła, jak biblijny dom, na opoce, nie zaś na wędrownych piaskach.

Gdyby gniew, gdyby ostre słowo, gdyby niezranienie nikogo czynem lub powiedzeniem świadczyło o braku miłości bliźniego, wtedy Pan nasz — nie miłował bliźniego!

Doktor Kościoła św. Albert W. musiał nie posiadać miłości, jeśli wręcz poniewierał przeciwnikami tomizmu w słowach, których zmasowanie żółci przypomina chyba któryś z pamfletów Wiktora Hugo przeciw Napoleonowi Małemu. Byłoby zbyt drastyczne, gdybym przetłumaczył dosłownie powiedzenie skierowane tym razem przeciw filozofii w ogóle a tomizmowi w szczególności przez innego przyjaciela św. Tomasza i również Doktora : przez św. Bonawenturę. Św. Alfons Liguori był człowiekiem tak wymagającym i tak nieznośnego usposobienia, że po prostu trzeba go się było pozbyć ze zgromadzenia, które założył (redemptorystów)! Najofiarniejsi, najoddańsi kapłani nie mogli z nim „wytrzymać" dłużej niż dwa lata. Bolał nad tym, ale... nie umiał przecież zmienić swojej natury. — „Ojciec od wszystkich wymaga więcej, niż sam czyni", powiedział mu kiedyś jeden z jego zakonników. Św. Alfons, jeśli ktoś o tym nie pamięta, to także Doktor Kościoła.

Bynajmniej nie słodki w postępowaniu, mimo tak ogrom-

nej dobroci serca, ale dobroci okazywanej na sposób świętego : z odpowiedzialnością za jej stosowanie; bynajmniej nie słodki był proboszcz z Ars. W swoich kazaniach piętnował występki i grzechy swych parafian niemal imiennie i budził taką obawę przed sobą, że na jego widok ten i ów, jeśli miał coś na sumieniu, porzucał wóz z koniem na drodze i uciekał w pole. Powiedziano o nim, że wytykał grzechy parafianom ,,ze szlachetnym bezwstydem''; prawdę mówiąc : nie wytykał, ale wykrzykiwał je z ambony. Kiedy ktoś zapytał go, dlaczego tak głośny jest na kazalnicy, gdy niedosłyszalnym prawie szeptem odmawia modlitwy przy ołtarzu, św. Jan Vianney odpowiedział : — Bo przy ołtarzu mówię do Boga, który doskonale słyszy mój szept, gdy z ambony mówię do was, którzy macie uszy zatkane na prawdę. Dopiero krzykiem trzeba je przebić.

Obyczaje świętych mogą wprawić w popłoch ! Nie tylko dlatego, co dawno już zauważył św. Jan Chryzostom, że ,,nie wszystkie czyny świętych są jednakowo święte'', ale dlatego, że mają one zdrowe, razowe : po prostu właściwe i normalne pojęcie o miłości bliźniego. Widzą w nim to, co najważniejsze : jego dobro zwane najwyższym, jego rzeczy ostateczne : potępienie, albo zbawienie. Miłość bliźniego, to współodpowiedzialność za bliźniego. A taka, prawdziwa miłość bliźniego, najczęściej różni się całkowicie od tego, co uchodzi w świecie. Różni się od uprzejmości, grzeczności, dobrego wychowania. Uprzejmość, grzeczność bowiem, to bardzo często niebolesna forma absolutnej obojętności dla sprawy i dla drugiego człowieka. To często tylko własna wygoda i starannie udekorowany egoizm.

Miłość bliźniego, to także nie to samo, co upodobanie w nim, ,,lubienie'' go, odczuwanie przyjemności z jego towarzystwa. Można czuć prawdziwy, niedający się przezwyciężyć wstręt nerwowy do kogoś, a jednak świadczyć mu akty, będące nie tylko zwykłą, ale heroiczną miłością. Można się z kimś kłócić i pokłócić, i rozstać się z nim, a jednak miłować go miłością prawdziwie chrześcijańską. Boć i apostołowie się kłócili, i św. Paweł, który napisał : Gniewajcie się, ale niechaj słońce nie zachodzi na gniew wasz — sam też ,,kłócił się'' i rozchodził z przyjacielem serca i Ewangelii. Miłować bliźniego nie znaczy też twierdzić, że jest on sympatyczny, miły. — Ludzie tak rzadko są sympatyczni. Nie o to przecież chodzi. A gdyby to była tylko ,,sympatia'', to gdzież zasługa ? — Jakąż macie zasługę, mówił nasz Pan, jeśli dajecie tym, którzy oddać wam mogą ? — Bóg też nie jest ,,sympatyczny'' — o, nie ! Nawet Bóg-Człowik wydawał się nieludzkim szalonym w postulatach, które głosił, tak przeciwnych naturalnym skłonnościom i ulubieniom naszej natury. Bóg za wiele wymaga, aby był dla człowieka — sympatyczny.

Kiedy św. Teresa Wielka skarżyła się w widzeniu Jezusowi na cierpienia, które jej zadaje, Pan rzekł : — Zawsze tak postępuję ze Swoimi przyjaciółmi. — To dlatego też masz ich tak mało ! — odparła natychmiast święta...

MIŁOŚĆ WALCZĄCA

Prawdziwa miłość bliźniego, to często ustawiczna wojna. Wojna z nim, o niego, dla niego. I tę wojnę prowadzą święci w sposób bardzo dla otoczenia niewygodny i bolesny. Dlatego też jest prawie regułą, że wielu ich było za życia dalekich od popularności, wielu było zwalczanych, prześladowanych, więzionych, niektórzy zmarli śmiercią gwałtowną, jak nasz św. Stanisław, jak angielski św. Tomasz Becket, jak niemiecki św. Engelbert z Kolonii. Św. Bernard z Clairvaux, pan Europy i opinii za swoich czasów, był nienawidzony, św. Józef z Cupertino był latami więziony przez inkwizycję, św. Jan Boży był okrutnie katowany, św. Józef Benedykt Labre obrzucany błotem i kamieniami, przez wielu księży uważany za nienormalnego darmozjada, chorobliwego włóczęgę i próżniaka. Odnowiciel prawdziwego ducha franciszkańskiego św. Bernardyn ze Sieny za propagowanie nabożeństwa do Imienia Jezus był publicznie lżony w kazaniach przez dominikanów jako heretyk, siewca pogaństwa i ,,herold diabelski''. Sam zostawił świadectwo w jednym ze swych kazań, że tylko zawdzięczając wysokiej protekcji w Rzymie, nie został w pewnej chwili żywcem ,,usmażony albo upieczony''.

Jeden z największych geniuszy mistycznych Kościoła św. Jan od Krzyża, uważany przez współbraci zakonnych za miernotę poniżej przeciętności, za głupca, został przez nich pobity kijami i wyrzucony z klasztoru. Gdyby żył dłużej, groziło mu zdarcie habitu i wykluczenie z zakonu. Jakie okrutne cięgi musiał znieść twórca zasady powszechnego i bezpłatnego nauczania św. Józef z Calasanzio !

Wielu pisarzy, poetów i malarzy, ba ! wielu kaznodziejów nawet odmalowało nam św. Franciszka z Assyżu na wzór prowansalskiego trubadura. Z wieńcem białych turkawek nad głową, nosząc swój zgrzebny habit jak malowniczą dekorację, rozmawiał z srebrzystymi topolami Umbrii, z kwiatami zielonej doliny Rieti. Nie troszcząc się o nic, w hipnozie i półśnie mistycznym, szedł przez życie, otoczony miłością współbraci zakonnej i podziwem świata, a świat w nim widział Chrystusa, który po raz drugi zstąpił na ziemię...

Jakże daleki jest ten ckliwy obrazek od rzeczywistych dziejów rzeczywistego Franciszka ! Autor pochwały wszego stworzenia i bohater radości doskonałej jest jednym z najboleśniejszych świętych. Po ludzku patrząc, życie jego było kroczeniem od rozczarowania do rozczarowania, od klęski do klęski. Umierając zaś widział się powalony przez najpotężniejszą część własnego zakonu, która go odsunęła od wszystkiego; widział, że ideałom jego grozi zwichnięcie. Wśród najbliższego grona zakonnego wielu było braci, którzy dostrzegali jego ludzkie słabości i wady, tylko słabości i wady; zasłoniły im one nawet przeczucie jego

świętości. My zaś dziś widzimy go nie w jego życiu i jego bólu i jego klęskach, czyli w tym wszystkim, co Jezus przed Teresą nazwał ,,normalnym postępowaniem ze Swoimi przyjaciółmi'' : Patrzymy na glorię nad jego czołem, na blask i żywotność jego dzieła, które zrodził w tylu mękach i które żyje tętniącym życiem już tyle wieków w swoich licznych rozgałęzieniach franciszkańskich, od konwentualnych po kapucynów. Widzimy go w czci, podziwie i zachwycie, jakie wzbudza nie tylko u katolików ale innowierców, nie tylko wśród chrześcijan, ale i pogan, nie tylko u wierzących, ale i niewierzących. Widzimy go w chwale świętości, która dla nas jest oczywista, ale która bynajmniej nie była oczywista dla wielu jego współczesnych.

Czynione są przygotowania do wprowadzenia sprawy beatyfikacji pewnego polskiego kapłana ze zgromadzenia redemptorystów; tego zgromadzenia, którego twórca św. Alfons Liguori odznaczał się tak trudnym do współpracy charakterem. Wspomniany kapłan, wielki apostoł i kaznodzieja, mąż potężny o wielkiej surowości i świątobliwości życia, był jednak, co tu ukrywać, bardzo dla bliźnich niemiły jako człowiek. Kiedy przed paru laty powiedziałem pewnemu księdzu, że wszczęto starania o beatyfikację Ojca Ł., ksiądz — który go znał osobiście w ostatnich latach jego życia — porwał się z krzesła na równe nogi, zamilkł na chwilę, a potem rzekł : — ,,Co? Taki człowiek miałby być wyniesiony na ołtarze!... Gdyby to się miało stać, wtedy ja... chyba wystąpię z Kościoła''...

To ostatnie, to był już widoczny żart. Ale jakże — typowy ten żart! Uprzytomnia on nam pomyłki współczesnych, którym ułomności, nieodłączne od każdego, nawet świętego, zasłaniają rzeczywistą wartość człowieka, prowadzonego bożą pomocą do świętości po ciernistych drogach własnego charakteru. I widać stąd, jak bardzo ludzkim jest każdy święty. Święci nie rodzą się świętymi : stają się nimi w trudzie budowania w sobie nowego człowieka we współpracy z Łaską.

Byli święci, którzy dbali o czystość zewnętrzną. Takich była większość, jak św. Teresa z Avila, jak św. Bernard z Clairvaux, który głosił : ,,kocham ubóstwo, ale nie brud''. Niektórzy byli nawet przesadni pod tym względem, jak św. Augustyn (znowu Doktor Kościoła! widać, że ci Doktorzy są bardzo swojscy); jak św. Augustyn, który nie zjadłby potrawy bez srebrnej łyżki, czy św. Filip Neri, który pił zawsze tylko z własnej szklanki i nie odprawiał Mszy św. inaczej, jak z własnego kielicha.

Ale, jak wiemy, byli święci programowo brudni, którzy wybrali sobie jako dobrowolne poniżenie i upokorzenie ten właśnie rodzaj ascezy, o której teologowie mówią, że jest godna podziwu, ale nie naśladowania. Do takich świętych brudasów należy pierwszy święty nie-męczennik, święty-wyznawca, wschodni opat Hilarion; św. Szymon Stylita, czyli Słupnik, starszy, który trzydzieści cztery lata spędził na sterczącym słupie skalnym, 15 metrów nad ziemią, stojąc bez żadnego daszku czy okrycia, wystawiony na wszystkie pogody i niepogody, na piekący żar

i mroźne zimna pustyni. Aby nie spaść, przywiązał się sznurami do galeryjki, a z ran zaniedbanego ciała wypadało mu robactwo. Takim też zapewne był Szymon Stylita młodszy, który spędził na słupie 68 lat : od 9-go roku życia aż do śmierci ! Surowość niezwykłej ascezy, w zachodnim Kościele zakazanej od samego początku, nie przeszkodziła mu dożyć do lat 77.

Do rodziny świętych brudasów należał też angielski męczennik św. Tomasz Becket, a w nowszych czasach św. Benedykt Józef Labre.

Byli święci czuli na piękno przyrody, jak św. Bazyli Wielki na Wschodzie, św. Franciszek z Asyżu, św. Franciszek Salezy, św. Ignacy Loyola, którego urzekały kwiaty; miłował je tak, że nie pozwalał ich zrywać. Ale nie brak było takich, którzy mieli wzrok nieczuły na wszystko, co — ich zdaniem — mogło ich oderwać od Boga, jak św. Bernard, który umierając, nie wiedział nawet ile okien jest w kaplicy jego opactwa, czy wspomniany św. Józef Labre : Chodząc przez lat kilkanaście wśród największych cudów przyrody europejskiej we Włoszech, Szwajcarii, południowych Niemczech, Francji, Hiszpanii, ani razu nie podniósł na nie wzroku, mając zawsze oczy spuszczone i widzące przed sobą jedynie tyle tego samego wszędzie pyłu drogi, ile było potrzeba na postawienie następnego kroku. Św. Alojzy Gonzaga nie podnosił wzroku nawet na własne siostry; nawet na rodzoną matkę.

Św. Karol Boromeusz grywał na wiolonczeli, choć żałował sobie czasu na — jakże zresztą nędzne ! — jedzenie. Słynny jest flet i tamburino św. Teresy. Twórca zakonu jezuitów św. Ignacy kochał muzykę tak bardzo, że zasłuchiwał się aż do zapamiętania : tracił świadomość siebie z zachwytu i był wtedy nieczuły nawet na ból. Św. Ambroży i św. Tomasz układali melodie i pisali wiersze. Do dziś śpiewamy ich pieśni po kościołach. W nawróceniu św. Augustyna wielką rolę odegrała muzyka i on też podobno jest autorem pieśni pokutnej : ,,Przed oczy Twoje, Panie, winy nasze składamy'', jak też traktatu o muzyce.

Św. Franciszek asyski brał, jak to czynią dzieci, dwa drewienka, i grał jak na wioli pod wtór owej ,,musica mundana'' — muzyki sfer, którą słyszał w swym sercu. A słyszał na pewno wiele, jeśli kiedyś uderzył laską kwiat przydrożny, rozkazując : — Zamilknij, kwiateczku ! Ranisz moje uszy swym krzykiem o Bogu. Św. Efrem Syryjczyk zwany ,,harfą Ducha św.'', św. Roman Meloda zwany ,,oratorem Boga'', autor ponad tysiąca hymnów kościoła wschodniego, św. Jan od Krzyża należą do rzędu wielkich poetów świata, a toskańczyk Jan da Fiesole zwany potem Fra Angelico jest jednym z największych malarzy. Uczony polihistor św. Izydor z Sewili napisał już w VII wieku : ,,Bez muzyki żadna umiejętność nie może być doskonała; niczem byłaby bez niej''. Św. Teresa z Lisieux malowała obrazy i pisała wiersze (z wzruszającym w obu tych sztukach, dodajmy w imię prawdy, brakiem gustu i artyzmu).

Byli święci rozmiłowani w zwierzętach może jeszcze bardziej niż dzisiejsi Anglicy w swoich ,,pets'ach''. Najoryginalniejszą chyba z nich jest św. Róża z Lima, która ponad wszystkie stwory świata upodobała sobie... komary za ich melodyjne brzęczenie. I one odpłacały się jej wzajemnością : nie tylko nigdy nie ukłuły jej samej, ale szanowały jej gości. Nie tknęły żadnego, choć całe ich obłoki krążyły zawsze wokół świętej.

Mieliśmy wśród świętych wychudłych ascetów, sama skóra i kości, jak ojcowie pustyni, jak słupnicy, jak św. Jan Vianney. Ale byli potężni grubasi, jak św. Antoni Padewski, choć go nam przedstawiają w postaci szczupłego, liliowatego młodzieńczyka; jak św. Tomasz z Akwinu, dla którego wieżastego brzucha trzeba było wyciąć specjalny okrąg w blacie zakonnego stołu, aby nie plamił zupą habitu, czy jak trzeci generał jezuitów św. Franciszek Borgia, którego pasem z łatwością mogło się opasać trzech tęgich mężczyzn od razu !

BRACIA STARSI

Kiedy już mowa o wyglądzie, powiedzmy i o jedzeniu, które miewa, choć mieć nie musi, z nim związek.

Otóż nie brak świętych, którzy jedzenie traktowali jak upakarzającą słabość, grzech niemal : takim był św. Jan Vianney. Potrafił żywić się trzema spleśniałymi ziemniakami na tydzień. Albo kupował u żebraka kawałek zeschłego chleba, posypując go sobie popiołem — dla smaku... Przez pewien czas usiłował żywić się tylko trawą, czego też a równie daremnie, próbował św. Bernardyn ze Sieny. Za to św. Filip Neri mówił : ,,Jedz bez żadnych skrupułów''. ,,Jeśli chodzi o potrzeby ciała, lepiej jest jeść za dużo, niż za mało''. Bo kto głodny, więcej musi myśleć o żołądku, niż o Bogu... Św. Franciszek z Assyżu miał swoje własne metody i różnie tam bywało w różnych okresach. Ale złożony chorobą, z której już nie miał powstać, zapragnął ciasteczek marcepanowych. Kiedyś zasmakowały mu bardzo u dobrodziejki zakonu, Jakubiny Settesoli, i oto przed odejściem na drugi świat chciał raz jeszcze spróbować ich wybornego smaku. Św. Tomasz z Akwinu lubił śledzie tak bardzo, że zamarzyły mu się przed śmiercią, a umierał we Włoszech, gdzie ich niestety nie było. Św. Kamil de Lellis zażądał ze śmiertelnego łoża raz jeszcze na tej ziemi... bolońskich kiełbasek. Trzeba było śpieszną sztafetą posłać po nie i sprowadzić je umierającemu zakonodawcy i reformatorowi szpitalnictwa.

Byli święci surowi ponad miarę, każący wyrzekać się wszelkich związków pokrewieństwa i przyjaźni. A znów inni mieli najczulsze serca dla najbliższych. Św. Teresa z Lisieux oczekiwała z całej duszy na spotkanie w niebie rodziców i rodzeństwa, których kochała najtkliwszą miłością. Św. Tomasz z Akwinu tak

zaczyna jeden z listów do przyjaciela : ,,Nie odmówiłem dziś swoich pacierzy wieczornych, aby do ciebie napisać''... Św. Paweł Apostoł nie pominie okazji, aby w swych listach, które stanowią przecież depozyt Wiary, nie przesłać najczulszych pozdrowień dla przyjaciół. A wśród trosk o wszystkie Kościoły i rodzące się chrześcijaństwo Europy i Azji, pamięta o chorobie swego ucznia i przyjaciela biskupa Tymoteusza, któremu pisze : ,,A wody nie pij ze względu na swój żołądek, tylko wina po trosze''... Św. Ambroży, znowu Doktor Kościoła, mawiał : ,,Przyjaźń, która trwa t y l k o do śmierci, nie jest godna zwać się przyjaźnią''.

Byli święci wręcz rozmiłowani w cierpieniu, jak św. Ignacy antiocheński, który nie mógł doczekać chwili, gdy w rzymskim Koloseum zetrą go na bożą mąkę zęby dzikich zwierząt (jak sam się wyraził), czy jak św. Teresa z Lisieux, która powiedziała, że chyba nie przyzwyczai się do nieba, skoro w nim nie można cierpieć. Ale byli tacy, jak angielski męczennik św. Tomasz Morus, który bał się nie tylko śmierci, ale (jak przed męczeństwem zwierzył się ukochanej córce), którego aż osłabiała myśl o zwyczajnym prztyczku w nos...

Są święci uciekający od ludzi, uważający ich towarzystwo za grzeszne marnowanie czasu, za grzech nawet, a żarty, śmiechy i zabawę za sprawę diabelską. Ale są tacy, jak św. Tomasz który naucza, że *brak* zabawy jest grzechem; że gdy ludzie zejdą się w towarzystwie, mają obowiązek być weseli i powinni starać się o to, aby opowiadać dowcipy i anegdotki. Kogo na to nie stać, ma obowiązek, i to pod grzeszkiem, sub peccatulo, śmiać się z dowcipów, które opowiadają drudzy i choć w taki sposób przyczyniać się do dobrego nastroju. Wielki filozof bronił też, co wyglądało na herezję moralną w jego czasach, nie tylko aktorów, ale wszelakiego rodzaju błazeństw i bezinteresownej zabawy dla zabawy; — pustej zabawy, jak się to dziś mówi.

Byli święci dbający o powagę swych czynności, wyglądu, zachowania. Ale byli tacy, którzy nie cofali się nawet przed dziwactwami, aby tylko udowodnić, jak wielkimi są nicponiami. Jeden z najmilszych świętych Kościoła, apostoł Rzymu, słynny ,,Pippo buono'' (,,dobry Fipcio''), czyli Filip Neri, w którym po raz ostatni odbił się cały urok i blask Kościoła sprzed czasów reformacji, Trydentu i... jezuitów, dokonywał pod tym względem prawdziwych rekordów.

Kiedyś postanowił udowodnić niezbicie, że jest tylko zwyczajnym pijaczyną, człekiem płochym i nader lichych obyczajów. Jako teren demonstracji wybrał sobie miejsce tuż koło Watykanu. Spotkał pewnego razu Feliksa z Cantalicio. Braciszek niósł sporych rozmiarów ,,fiascone'', dużą butlę oplecioną w słomę, pełną wina. Filip wyrwał mu ją z rąk, i wśród niby to fachowo pijackich grymasów zaczął z niej pociągać, zataczając się i plotąc od rzeczy.

Jeden z kardynałów podarował mu kiedyś kosztowne futro. Święty nałożył je upalnego letniego dnia i spacerował po ulicach

Rzymu, przystając co chwila, oglądając wierzch i spód, zawijając się w nie i rozwijając, zaczepiając wzrokiem przechodniów, aby tylko już nie było wątpliwości, że nie ma w nim nic oprócz pustoty i pychy.

Kiedyś kazał sobie ostrzyc do skóry pół brody i pół głowy i tak paradował przez Chiesa Nuova. Innym znów razem ubrany cudacznie w ubranie wywrócone na lewą stronę, z torbą śmiecia na plecach, szedł wąchając ,,bukiet'' ostów i zielska przed kościół, z tyłu każąc iść za sobą słudze kościelnemu, który musiał go ,,wachlować'' miotłą na długiej tyce, jaką się ścierało kurz ze ścian i sufitu kościoła. Prawdziwymi bohaterami posłuszeństwa byli jego młodsi uczniowie kapłani, oratorianie, których zmuszał do udziału w swoich dziwactwach, a był wśród nich jeden z geniuszów nauk historycznych, późniejszy kardynał Cezar Baroniusz. Biedny Baroniusz zmuszany do ciągłego stania przy piecu i gotowania, w przystępie wisielczego humoru namachał węglem na ścianie : ,,Baronius coquus perpetuus'' : ,,Baroniusz — kucharz na wieczność''. Otóż kiedyś wysłał go św. Filip wraz z towarzyszem na pewien uroczysty ślub i rozkazując pod posłuszeństwem, aby w czasie ceremonii zaśpiewali pogrzebowe ,,Miserere''. Nie musimy dodawać, jak się czuli biedni oratorianie w tej roli ,którą jednak wypełnili wprawdzie z pośmiewiskiem, ale heroicznie.

Pewien polski magnat zapragnął go kiedyś poznać osobiście. Jakież było jego zdumienie, gdy wszedłszy do celi świętego, zastał go bardzo swobodnie ubranego, w arcywygodnej pozie, z nogą na nodze, i czytającego wśród wybuchów błazeńskiego śmiechu najbardziej bezmyślną książkę sezonu; bo bywały takie i w XVI wieku.

Oto były ,,dowody'', jakie składał na wykazanie swej rzekomej małości ten wielki święty, który o sobie twierdził z furią, że jest nędznikiem, ba! — łajdakiem. Czyż trzeba dodawać, że te ,,dowody'' jednych bawiły, niektórych wzruszały, innych drażniły, niekiedy zaś kazały trochę wątpić o jego zdrowych zmysłach.

Nie każdy święty był od razu św. Stanisławem Kostką, św. Janem Berchmansem, św. Alojzym Gonzagą, św. Katarzyną sieneńską, św. Agnieszką, św. Marią Goretti. Już nie mówiąc o św. Marii Magdalenie, św. Marii Egipcjance, św. Thais, których poprzednia profesja jest nader znana, nie przypominając nawet św. Augustyna, wskażmy choćby na św. Jana Bożego czy św. Kamila.

Jan Boży przez lat 40 nie wiedział doprawdy, co z sobą zrobić. Marnował życie. Niedoszły konkwistador świeżo odkrytej Ameryki, której złotem chciał się bogacić, najemny żołdak, człowiek, który swych rodziców przedwcześnie wpędził do grobu; zmarli z żalu i troski o niego. Ileż się nacierpiał prowadzony dopustem po nizinach życia i jego rynsztokach, aby kiedyś zbierać z nich tak zwanych wyrzutków, cuchnących na duszy i ciele

i otoczyć ich miłością i do nieba prowadzić, gdy świat ich ze wstrętem odepchnął!

Podobne były losy św. Kamila. Ten XVI-wieczny twórca ,,czerwonego krzyża'' był również żołdakiem najemnym, zabijaką, szulerem-karciarzem. Obaj z ojcem razili moralnie nawet w tej zbieraninie bez żadnej moralności jaką były ówczesne najemne wojska. I jego wreszcie z raną w nodze posłał Bóg po wszystkich drogach nędzy i upadku, aż go doprowadził do jednej z najohydniejszych instytucyj tamtych czasów, jaką były wówczas szpitale. Tu jako pacjent zobaczywszy bezmiar nędzy i opuszczenia, Kamil znalazł wreszcie swoje powołanie. Założył zakon, który w imię nadprzyrodzonej miłości zajął się opieką nad chorymi. A dawny żołdak pomyślał o rannych i ginących na placach bojów bez opatrzenia ran ciała i duszy. Jego więc zakonnicy zjawili się z obsługą sanitarną i duchową przy wojskach ówczesnych. A więc najpełniejszy to czerwony krzyż — bo nawet ten znak nosili i noszą do dziś wyszyty na piersiach.

Byli wśród świętych geniusze umysłu i woli, jak św. Paweł, św. Augustyn, św. Tomasz z Akwinu; byli przeciętni jak św. Piotr Apostoł. Byli sprężyści, energiczni, pełni wszelkich talentów, jak św. Ignacy Loyola, ale też niedojdy jak św. Celestyn V, który dlatego zrezygnował z tronu papieskiego (za co go Dante umieścił w piekle...). A już zupełnym niezgułą był św. Józef z Cupertino tak niezdatny do niczego, że — aż serce boli napisać — własna matka wyrzuciła go z domu, jako ciężar i zawadę...

Lecz czy potrzeba mnożyć przykłady, dowodzące jak bardzo ludźmi byli święci? Święty j e s t darem nieba, ale też prawdziwie owocem ziemi. ,,Niebo daje błogosławieństwo, a ziemia owoc swój'', jak modlimy się z Kościołem.

Lecz święci, powiedzieliśmy na wstępie, to nie tylko ludzie; to także jedyni na ziemi ludzie-normalni. W tym sensie, w jakim Bóg chciał mieć ludzi, gdy przechadzał się po raju w czas wietrzyku rannego. Są to ci ludzie normalni, którzy pomimo słabości braków i niedoskonałości, pomimo dziwactw, które nas wzruszają i pomimo swego człowieczeństwa rodem jak najbardziej z ziemi : całym swoim życiem odpowiadają na pytanie katechizmu — ,,po co nas Pan Bóg stworzył'' : Abyśmy Go poznali, poznawszy pokochali i przez to zostali zbawieni. Bo święty, to człowiek, który umiłował wiele — miłość zaś jak uczy Apostoł ,,nakrywa mnóstwo grzechów''; który umiłował wiele i za to otrzymał zbawienie. — Święty kanonizowany, to ten, o którym Kościół nieomylnie orzeka, że jest zbawiony. Że znajduje się w niebie.

Mamy około 10.000 świętych. Z tej liczby, nie licząc uroczystości krajowych i diecezjalnych — czcimy wraz z Kościołem w ciągu roku około czterystu. Tylu ich mniejwięcej wymienia Mszał rzymski, a więc jedną dwudziestą piątą tego legionu. Ile każdy z nas może powiedzieć o dziesiątej części tej dwudziestej

piątej części, to jest o czterdziestu? Kiedy żyli? Co robili? Jakie wydarzenia w skali narodu czy świata są z nimi związane?

Ale choćbyśmy nie znali żadnego życiorysu żadnego świętego, jedno jest i tak pewne. Mianowicie, o każdym z tych „górnych 10.000" wiemy bezbłędnie to, co najważniejsze: Urodził się, żył, walczył z sobą i światem, bo święty musi być prześladowany; taki los mu zapowiedział Chrystus; cierpiał, radował się — i umarł. O świętym młodzieńcu lub świętej dziewczynie Kościół modli się mówiąc: „Żył — żyła — krótko, przeżywszy czasów wiele". Święty, najprawdziwszy człowiek to także taki, który żyjąc tu na ziemi raz, trwa czasów wiele; przeżywszy wcześniej to, co jest naszym teraz udziałem. Toteż nasz wzniosły mędrzec, Piotr Skarga, nazywa świętych rzewnym mianem: Bracia Starsi, i takie do nich kieruje prośby:

„Bracia starsi, na dworze królewskim służący, wspomnijcie na ubogich domowników i powinnych swoich, z którymiście tu w nędzy tej wzrośli: odbierajcie tam błagania i modlitwy nasze, a oddajcie wspólnemu Panu i Królowi, a proście o miłościwą odprawę. Zwycięzcy wszech nieprzyjaciół, wespół pieśń wygranej bitwy śpiewający, nie przepominajcie smutnych towarzyszów, i w polu jeszcze leżących żołnierzy, między którymi ciała i kości wasze odpoczywają.

Śpiewacy chwały Trójcy Świętej, nie chciejcie się też bez nas weselić: *bo członki wasze i krew wasza i kości wasze jesteśmy*"...

Jan TOKARSKI

Rządy Pana Premiera

W pierwszych dniach września o zmroku, przechodziłem koło hotelu Vierjähreszeiten w Monachium. Kiedyś tam mieszkali Chamberlain, Beck, przechodziła tamtędy historia. Dzisiaj pozostał tylko secesyjny luksus, światowa firma, słone rachunki. Pod hotelem natknąłem się na księcia Windsoru. Wyprowadzał dwa mopsy czy terriery, słowem dwa nieduże pieski, na spacer przed spoczynkiem: pieski na smyczy skamlały i warczały a Windsor, ubrany zawsze jak z żurnala mód, patrzył na nie oczyma zamglonymi alkoholem, wyzierającymi z ceratowej twarzy, z uśmiechem pół-dziecka, pół-starca.

Nikt się nawet nie oglądał na zdetronizowanego monarchę, od dwudziestu już lat koczującego bez celu między palace'ami całego globu. Miałem nagle ochotę go zapytać czy słyszał o Mackiewiczu. Co prawda wątpię. Ale gdyby Mackiewicz był Anglikiem i Edward VIII by go znał, to może historia potoczyłaby się cokolwiek inaczej. Edward VIII tak samo by koczował po luksusowych hotelach kontynentu i Ameryki, ale w rejestrach gości figurowałby nie jako Jego Królewska Wysokość książę Windsoru, ale jako Jego Królewska Mość Edward VIII. W Buckingham Palace urzędowałby prezydent Brown czy prezydent Smith. Ale Mackiewicz angielski uratowałby „zasady".



Gdyby nie było sporu o legalizm powinno by się było go wymyślić. Dla emigracji politycznej nie ma bowiem idealniejszego ośrodka zainteresowań, tematu działalności czy też probierza dla linii podziału. Każda działalność uratowanego, czy ulepszonego, czy zdemokratyzowanego legalizmu wymaga pieniędzy. Małych, większych, wielkich, ale jakichś. Spór o legalizm nie wymaga żadnych. Wystarczy mieć pióro, papier, atrament oraz w skromnym stopniu umiejętność czytania i pisania. I już można kropnąć list do „Dziennika" na temat Zaleski-Anders.

Tysiące ludzi dokonały tego wyczynu z poczuciem ulgi i zadowolenia. Spełnienia obowiązku obywatelskiego. Dorzucenia cegiełki do gmachu odbudowy niepodległości. Każdy z autorów tych listów będzie miał co opowiadać wnukom i prawnukom. Jak walczyli, zwalczali, bronili. Jak czołowy brali udział w życiu publicznym.



Działalność państwowa musi się przejawiać w dziedzinie faktów, należy do domeny rzeczywistości. Państwo nie jest abstrakcją ale z jednej strony ściąga podatki, z drugiej broni przed rabunkiem, uczy dzieci, leczy chorych, dożywia ubogich, wypłaca emeryty, słowem podejmuje tysiące czynności prozaicznych, ale pożytecznych. Tylko z rzadka państwo czy raczej władza państwowa występuje jako rzecznik interesów niematerialnych i w imię racji stanu, misji narodowej, czy czegoś w tym rodzaju — pobiera ważkie, epokowe decyzje, z reguły niedorzeczne i katastrofalne w skutkach. Niestety Polska między wojnami jaskrawo nadużywała tego elementu mistycznego, niematerialnego : każda podróż Becka była epokowa, każde powiedzenie Rydza miało wagę historyczną. W ostatnich czasach wszystkie państwa wstępują na tę zgubną drogę inflacji frazesu. To nie prasa ogłupia czytelników : przeciwnie redakcje bronią się przed zalewem urzędowej bibuły, rozsyłanej przez rączych i zapobiegliwych urzędników prasowych : a ta bibuła robi z każdego nędznego spotkanka ministrów, którzy w kółko chcą powtarzać te same frazesy, moment zwrotny w dziejach. Czasami aż odnosi się wrażenie, że Francja, Anglia czy Niemcy istnieją tylko po to, by Mendès, Eden i Adenauer mogli obmyśleć plan X, czy zająć stanowisko Y. Ale to są pozory. Peregrynacje sekretarza stanu są tylko nieważnym, przypadkowym, przereklamowanym akompaniamentem do rzeczywiście doniosłego faktu, że pomiędzy 150 milionów Amerykanów trzeba dzień w dzień dzielić dochód narodowy 300 miliardów dolarów, co jest sprawą serio i bardzo realną. Sztandar gwiaździsty jest pięknym symbolem, ale świat by szybko o nim zapomniał, gdyby ten sztandar nagle przestał być oparty o konkretne, żelazobetonowe, niezbite fakty.

Na naszym podwórku sytuacja wygląda tak samo. Legalizm, partie, etc. to są wszystko śliczne i nawet ważne i drogie symbole, ale gdzie są realia? Co za tymi czy innymi formułkami stoi?

Cokolwiek chcemy zrobić musimy na to zdobyć jakieś środki. Choćby zapoznawanie się w miarę możności z sytuacją w Polsce jest kosztowne. Trzeba prenumerować gazety, czasopisma, książki. Trzeba ludzi, którzy ten materiał przestudiują, opracują, wyciągną wnioski. Trzeba lokalu w którym ci ludzie mają pracować. Na zbudowanie i operowanie stacją radiową, nadającą dla kraju, trzeba milionów. Propaganda wśród obcych, przeważnie

jałowa i bezcelowa, kosztuje jeszcze znacznie więcej. Trzeba pomagać świeżym uchodźcom z Polski, czy to marynarzom, czy zbiegłym w Berlinie. Trzeba dzieci uczyć po polsku. Trzeba zabezpieczyć przynajmniej wybitnym i zasłużonym Polakom — a nasze uchodźctwo starzeje się — jakieś godziwe warunki bytu na stare lata. Nie chcemy skandalów à la Norwid, nie chcemy by ludzie, których nazwiska uświetniły Polskę, umierali na ulicy czy na żebraczym barłogu. Musimy popierać jakąś twórczość narodową. Chcemy by istniała prasa polska, możliwie na wysokim poziomie. Jak na to wszystko znaleźć choć mizerne sumki. A cóż dopiero gdy przejdziemy do spraw tej miary co odbudowa Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, czy wyzwolenie Kraju, czy wpływanie na przyszłe kształtowanie się Europy?

Słowem można strawestować znane powiedzenie Napoleona. By wygrać wojnę, mawiał Korsykanin, trzeba trzech rzeczy: pieniędzy, pieniędzy i pieniędzy. By nasza emigracja zaczęła serio działać trzeba trzech rzeczy: pieniędzy, pieniędzy i pieniędzy. Bez tego jej działalność, a więc i jej życie polityczne jest, uprzejmie mówiąc, fikcją, a brutalnie — szopą. Dzisiaj, nazywając rzeczy po imieniu, sytuacja w Londynie sprowadza się do tego, że szopa Mackiewicza jest zabawna, bo premier jest człowiekiem dowcipnym i niezwykle inteligentnym, a szopa Odzierzyńskiego jest przenudna, bo przewodniczący ,,egzekutantów'' jest zupakiem. Cóż dziwnego, że sympatie polskiego Earls Court'u przechylają się ku Mackiewiczowi. ,,Panie, do ostatniego tchu stoję przy premierze'' — powiedziała mi czcigodna, 85-letnia staruszka. Tego tchu, czy dechu może na długo nie starczy, ale jest on godny rzymskiej matrony. Jestem przekonany, że Mackiewicz jest zdolniejszy, bystrzejszy, ruchliwszy od swych przeciwników i że wszystkie rozgrywki polskie, póki się toczą tylko między ,,Ogniskiem'' a ,,Białym Orłem'' — premier wygra. Śpiewająco. Tylko co z tego?



Operacje finansowe emigracji ograniczają się dzisiaj do Skarbu Narodowego. Znowuż jako symbol jest to czynność piękna i wzruszająca. Grosz wdowi, szylingi z renty Assistance Board, itd. Podobno ten Skarb zbiera aż coś 40 tysięcy £ rocznie. Osłupiająco wielka suma. Bo przecież emigranci, którzy te składki przesyłają, żyją w krajach potwornie, szaleńczo, wysoko opodatkowanych. Gdy fiscus zabiera 1/4 czy 1/3 dochodu gdzie tu znaleźć luz na składki? A przecież każdy z nas płaci jeszcze na inne cele: na parafię, na Koło Kombatantów, na Związek Pisarzy czy Dziennikarzy, na endecję czy P.P.S., na fundusz taki czy owaki. A żyć trzeba. Coraz więcej spośród nas musi wspomagać zniedołężniałe matki, babki, znam nawet wypadki, że prababki. A poza tym Polacy płodzą. Niestety, ale płodzą. Mniej niż w Polsce, ale jednak dzieci się rodzą. A paczki do Kraju? To swego rodzaju lawina, ofiarność naprawdę zdu-

miewająca. A gdzie choć jakie takie zabezpieczenie bytu, jakieś choćby skromne wygody? Że w tych warunkach Skarb potrafi ściągnąć parędziesiąt tysięcy funtów — jest nie do wiary. Może jakimś cudem można sumę wpływów podwoić. Można — i na pewno trzeba — wydatki administracyjne tego Skarbu obniżyć. Ale cokolwiek by zrobiono wpływy skarbowe nie mogą zabezpieczyć jakiejkolwiek realnej działalności politycznej i narodowej. Inteligent polski, przyjeżdżający do Londynu, przez ciekawość zajdzie do tych czy innych ośrodków polskich, ale chleba tam nie znajdzie.



Premier, niestety, odmienne ma zapatrywania na tę podstawową kwestię finansów. Patrząc na niego uprzytomniłem sobie raz jeszcze, jak głęboką zawiera mądrość zwyczajowe prawo angielskie, że normalnym stopniem do stanowiska szefa rządu jest sprawowanie urzędu kanclerza skarbu. W swym niematerialistym pojmowaniu sztuki rządzenia Mackiewicz jest ofiarą szeregu atawizmów, które sięgają jeszcze dalej niż Piłsudski. Znakomity autor anonimowej broszury, wydanej w roku 1934, nazwał Piłsudskiego ,,Panem Jowialskim na Jowiałówce''. Analogia jest uderzająca. Mackiewicz jest wiernym wilnianinem: otóż w Wilnie nigdy nie było żadnego życia gospodarczego i wiadomo było, że z tych nieszczęsnych poletek nikt nigdy grosza nie wydębi, więc zajmowano się ideologią, federacją, Bóg wie nie czym, tylko nie realiami życia. Mackiewicz jest bardzo szlachecki: i znowuż ta agospodarcza klasa wolała prowadzić spory o autentyczność ,,klejnotu'', które w istocie były bardzo podobne do obecnego talmudyzmu konstytucyjnego, uprawianego w Londynie. Tak więc z natury Mackiewicz jest predystynowany do wyżywania się w domenie abstrakcji i nie docenia, że ludzie muszą żyć i to żyć z czegoś, a nie z powietrza. Następujący incydent ilustruje nastawienie premiera. Z tych czy innych powodów, w tym czy innym charakterze, dostąpiłem zaszczytu audiencji u wszystkich kolejnych emigracyjnych szefów rządu, z wyjątkiem Hryniewskiego, którego nie znam: ten czy ów, jak np. Bór, ujmował mnie dobrymi manierami, ale na ogół rozmowa z jegomościem dętym i nadętym była nieopisaną piłą: tylko w czasie audiencji u Mackiewicza rzeczywiście wybornie się bawiłem. Po pierwsze Mackiewicz ,,enjoyuje'' każdą sekundę swego premierostwa i zawsze miło popatrzeć na kogoś w dobrym humorze: w naszym smutnym narodzie mamy dość karawaniarzy. Po wtóre Mackiewicz ma zmysł humoru i żywą ripostę. Różne rzeczy wyłuszczyłem przed nim obszernie i wymownie: premier, gruby, nalany, czerwony, astmatyczny i apoplektyczny tylko od czasu do czasu kiwnięciem głowy dawał do zrozumienia, że słowa moje dochodzą do jego świadomości, lub władczym ruchem ręki wskazywał, że daną sugestię odrzuca; ale na ogół atmosfera audiencji była życzliwa, rzekłbym nawet — gdyby nie

powaga miejsca i rozmówcy — przyjazna. Dopiero jednak w momencie gdy powiedziałem : ,,Excellencjo, drogi premierze, przypominam sprawę mych zaległych jeszcze z 1948 roku poborów, czy mógłbyć polecić podwładnym ci organom, by te zaległe należności zostały mi wypłacone'' — z premierem zaczęło się dziać coś dziwnego : zaczął krztusić się i rzucać, prychać i charkać; przez chwilę zamarłem myśląc, że zawoła oprawców by wrzucono mnie do lochów jak te, które można oglądać w Pałacu Dożów czy pod ratuszem w Norymberdze. Ale kryzys szczęśliwie minął i premier odzyskując dobry humor z figlarnym uśmiechem zawołał : ,,Mój kochany, mówienie o pieniądzach jest bezczelnością, nie mam ich, nie będę ich miał, sam pensji nie biorę, nikomu jej nie płacę, pieniądze są zupełnie niepotrzebne, ci co szukają posad czy pieniędzy niech idą do opozycji, ja się opieram nie na kandydatach na urzędników, ale na człowieku pracy, etc., etc... ,,Ale'' — dodał parskając ze śmiechu — ,,mogę ci zaproponować co następuje : oto zamiast wypłacić ci twoje należności, nadam ci *brązowy,* tak właśnie *brązowy* Krzyż Zasługi''. Odmówiłem z niewątpliwą krzywdą dla mych spadkobierców, którzy odziedziczą po mnie tylko te, jak widać dość iluzoryczne, pretensje do Rządu R.P. : a ten brązowy Krzyż Zasługi może by mógł zastąpić ten krzyżyk, który się normalnie wkłada nieboszczykowi do rąk, do trumny, a i to coś kosztuje. Humor premiera był jednak tak zaraźliwy, że lekko przyjąłem do wiadomości tę ciężką krzywdę i poszliśmy razem, w najlepszej zgodzie, na śniadanie : nie odbiegało zresztą od tradycji — premier spożył za 2 funty, a ja za 5 szylingów i nazywało się, że Mackiewicz mnie zaprosił. Mackiewicz jest czarującym causerem, jest świetnym piórem, jest — od śmierci Sikorskiego — nie to najinteligentniejszym polskim premierem, ale pierwszym inteligentnym premierem. Jest wielką szkodą, jest rzeczą doprawdy żałosną, by tak żywy umysł, tak wyrafinowany intelekt, wyżywał się w kabalistyce interpretacyjnej czy w wodewilowskich sporach o jakąś kłódkę.

◆

Są ludzie, którzy czasem się zastanawiają dlaczego nasza emigracja jest tak przywiązana do pewnych form, dlaczego chce koniecznie mieć prezydenta, rząd, naczelnego wodza, dlaczego nie chce kontentować się jakimś komitetem czy paru prezesami. Otóż jednym z powodów jest w ogóle polska skłonność do archaizmu, przesadny konserwatyzm, przynajmniej jeśli chodzi o formy. Tak mało realiów nam zostaje, że z konieczności czepiamy się symbolów. Tak było zawsze. Umiłowanie herbów : no cóż, szlachcic-gołota, co nie miał nawet doniczki, z natury rzeczy musiał gardłować, że klejnot to wszystko, a reszta furda. Mackiewicz sam, w swym ,,Stanisławie Auguście'', przypomniał jak to sejmy polskie przez pół wieku nie chciały uznawać tytułu imperatorskiego carów, choć równocześnie ci carowie i ca-

ryce wyrabiali w Polsce co chcieli. Inny przykład upartego trzymania się form, nawet błahych. W Polsce przedwojennej utarło się, zwłaszcza za rządów Sławoja, że ,,premier kogoś tam zaprasza na *lampkę* wina''. I dzisiaj w prasie krajowej dokładnie ten sam zwrot można coraz to wyczytać : ,,Gości zagranicznych tow. Cyrankiewicz podejmował *lampką* wina''. Nie kieliszkiem, ale lampką .I nie wódą, ale winem. Nasz język jest archaiczny (zachowaliśmy mówienie w trzeciej osobie !) więc co dziwnego, że lubujemy się w archaizmie politycznym. Nie jestem tak bardzo pewny czy legalizm reprezentuje istotnie ważki kapitał polityczny na terenie międzynarodowym, ale faktem jest, że jesteśmy gotowi brać się o to za łby, niczym chrześcijanie o sukcesję apostolską. I do tego dochodzi, mówiąc bez obsłonek, pewien wzgląd już nie z dziedziny metafizyki, ale codziennej rzeczywistości. Polacy byli zawsze przywiązani do tytułów. Kasztelan nie miał żadnych funkcji administracyjnych, ale przynajmniej zasiadał w senacie. Natomiast miecznik, cześnik, stolnik, etc. — to były tylko tytuły już bez cienia ,,zaplecza'' : miecznik nie miał miecza, cześnik czary, a stolnik stolca, a jednak te tytuły tak kochaliśmy, że przenosiliśmy je i na żony i na dzieci : miecznikówna rosieńska. Z tej inflacji dawnych tytułów uratował się na dobrą sprawę jeden : ministra. Tym stał się cenniejszy, bardziej pożądany. I tu znowu, pomimo rewolucji, grają w kraju przedziwne atawizmy : w ,,Trybunie Ludu'', czy w ,,Życiu Warszawy'' można co dzień wyczytać wiadomości, że *minister* Nieszporek przemawiał na wiecu, a *minister* Żemajtis otwierał wystawę. Znam wielu ludzi, których jedynym marzeniem, jedyną ambicją, jedynym szczęściem jest właśnie uzyskanie tytułu ministra. Znowuż nie bez kozery. Pamiętam taki wypadek. Pewien minister sanacyjny zjechał zaraz po klęsce wrześniowej nie do Paryża, a wprost do Londynu i w Londynie został przygarnięty przez przyjaciela, który dał mu darmo pokój, wikt i opierunek. Do tego ex-ministra przychodzili jacyś różni piłsudczycy i, jak to zwykle polskim zwyczajem, bez przerwy go częstowali ,,panem ministrem'', ,,pana ministra'', ,,panu ministrowi''. Wreszcie gospodarz, człowiek poważny i rozumny, miał tego dosyć i powiedział ex-dygnitarzowi : ,,Wie pan, co było, a nie jest itd., może by tak tego nieustannego pana ministra skasować''. ,,Panie, odparł na to sanacyjny dygnitarz, jak nie jestem ministrem, to jestem gie''. I to jest prawda. Iluż jest ludzi, których się zna i z którymi się zna tylko dlatego, że mają ten tytuł ,,pana ministra''. Tak jak w śp. Austrii człowiek zaczynał się od barona, tak w Polsce, tej krajowej czy emigracyjnej, człowiek zaczyna się od ministra. Dopiero z tym tytułem staje się człowiek poważanym i szanowanym. Przy naszej mentalności urzędniczej Mackiewicz, pisarz, publicysta, redaktor, był pętakiem i przepaść go dzieliła od p. ministra telewizji w gabinecie Tomaszewskiego. Ale p. premier Mackiewicz — to zupełnie co innego. A, zupełnie co innego. Z innej gliny. Z innego metalu. Bo jedno jest pewne. Tylko legalny prezydent może legalnie nadawać

ten umiłowany tytuł ministra. I to jest jeden z powodów, nie najmniejszy, zaciekłości sporów o legalizm. Tytuł prezesa jest zdewaluowany. Co drugi Polak jest prezesem. Ordery są zdewaluowane. Nosi się je tylko przy fraku, a emigrusy fraka nie mają. Charakterystyczne dla wagi jaką przypisujemy tej sprawie tytułów jest fakt, że wrogowie Mackiewicza i jego obozu z największą pedanterią unikają nazywania go premierem. Spotkałem dwóch dziennikarzy i na pytanie skąd przychodzę — powiedziałem nie bez odcienia humoru, że wracam od premiera. Rzucili się na mnie jak rozjuszone pantery, myślałem, że mnie rozszarpią. ,,Od kogo — syczeli z pianą na ustach — od tego zbrodniarza?'' itd. Póki nie zobaczę trupa nie uwierzę w zbrodnię — odparłem spokojnie, bo oburzać się nie było o co. Oto byli dwaj biedni ludzie, dziennikarzyny od iluś tam dziesiątków lat, chemicznie wyprani z cienia talentu: napisali coś po 10 tysięcy artykułów, a nikt nie jest w stanie choć jednego zacytować, nikt ich nawet nigdy porządnie nie obłajał i nie zwymyślał, bo po co? I ci biedacy, mimo całej zarozumiałości, czuli, że Mackiewicz był od nich lepszym dziennikarzem, a teraz jeszcze dochodzi ten tytuł premiera. No, to już nie do zniesienia. Nieszczęśni dostają szału, O, spór o legalizm ma wielkie, realne znaczenie.

◆

Oczywiście i ta kwestia i wszystkie inne nie mają żadnego znaczenia, jeżeli przyjąć, że emigracja nie ma sensu i że życie polskie nie może rozwijać się poza krajem. Strasznie łatwo wpaść tu w przesadę w obu kierunkach. ,,Tylko kraj'' — wołają jedni, zapominając, że Bierut jest starym, sowieckim urzędnikiem, że Katowice nazywają się Stalinogrodem, że Prymas siedzi w więzieniu, a w Legnicy wychodzi piśmidło ,,Wolność'', które bezczelnie pisze: ,,Nasza sowiecka ojczyzna''. ,,Tylko emigracja'' — wołają inni, zapominając, że 90 % Polaków znajduje się w Polsce. Powiem po prostu, że emigracja z 1939 roku i lat następnych jest pewnym faktem, jest pewną grupą socjologiczną, jeżeli ktoś lubi terminologię naukową, i jako taka ma pewną hierarchię, która może się nazywać A, B czy C, ale pozostanie faktem. Hierarchia i swoiste snobizmy istnieją w każdej grupie społecznej: wśród Żydów na przykład elitą są potomkowie rodów rabinackich, które już z politowaniem mówią o ,,chazenach'', czyli kantorach, a już jedni i drudzy zwykłych handełesów nazywają chałaciarzami. W polskiej społeczności emigracyjnej pewna hierarchia istnieje, będzie istnieć: i inaczej będzie wyglądać w Anglii, gdzie się zachowała w formie najczystszej emigracji wojennej, a inaczej w Ameryce, gdzie trzeba będzie porobić pewne ustępstwa na rzecz tej dawniejszej, zarobkowej, a więc na pewno innej. Z wyjątkiem dzieci czy młodzieży już na obczyźnie wychowanych, nie wyskoczymy z tego środowiska, ani z tej hierarchii, bo to jest i niemożliwe i obrzydli-

we. Pamiętam zawsze taki incydent. Już dobrych parę lat temu wracałem z Francji do Anglii. Statek na Kanale był angielski i komisarz policji urzędował już na statku. Gdy nadeszła moja kolejka obejrzał moje papiery na wszystkie strony, po czym rzekł dość uroczyście : „Czy zdaje Pan sobie sprawę, że ma Pan prawo żądania przywileju zostania poddanym brytyjskim ? Czy wolno mi zapytać czy ma Pan zamiar z przywileju tego skorzystać ?" — Na co odpowiedziałem : „Sir, uważam, że gentlemen nie zmienia nazwiska, religii, żony i narodowości". „You're right, sir" — odpowiedział komisarz policji i przyłożył stempelek na moim nansenowskim paszporcie. I rzeczywiście tak myślę. Moje nazwisko przysparza mi zagranicą tysiąca kłopotów : a jednak do głowy mi nie przyjdzie zamienić je na Smith czy Brown. Nienawidzę apostazji, a szczerze powiem, że konwertytów czy nawróconych na katolicyzm nie noszę zbytnio w sercu : są zwykle tak przesadni, że wydaje mi się, że jestem buddystą. Rozumiem doskonale, że ktoś może uciec od żony, ale po co ponawiać to głupstwo ? Jakie są gwarancje, że drugie czy piąte małżeństwo ma być lepsze od pierwszego. Wreszcie co to za zmienianie narodowości ? Zmiana paszportu nie zmienia ani akcentu, ani atawizmów, ani gęby, ani edukacji, ani instynktów, więc po co to całe oszustwo. Mam sześcioletnią siostrzenicę, urodzoną w Anglii : to zupełnie co innego — jeżeli chce, niech się przezwie Mary Brown, niech mówi : „nasza ukochana królowa", niech ogląda mecze cricketowe. Lecz ja nie mam rady, choćbym chciał. Będę do końca życia czuł, że w Anglii mieszkam „zagranicą". Anders czy Zaleski, Bielecki czy Ciołkosz, Mackiewicz czy Raczyński będą mi czymś bliższym i ciekawszym niż Rab Butler i Nye Bevan. I my wszyscy starzy emigrusy, jesteśmy w tej sytuacji. Na zamku w Norymberdze widzę portret królowej Konstancji, żony Zygmunta Wazy ; trudno, są obok piękniejsze obrazy, ja chcę ten właśnie oglądać. Jedna moja znajoma jedzie na Majorkę ; już nazajutrz, mimo zmęczenia długą podróżą, pędzi do Vallombrozy oglądać pamiątki po Chopinie. Nie ma rady, każdy z nas jest na swój sposób chory na polskość i nikt z nas się od tych polskich spraw naprawdę nie oderwie.



Czy to wszystko co tutaj robimy na emigracji ma z punktu widzenia narodowego jakiś sens i cel ? Mój Boże, jeżeli starać się wznieść ponad opary partyjnictwa i uprzedzeń to odpowiedź właściwie zależy od tego w jakim stopniu można przewidywać bieg wydarzeń. Konstanty Srokowski, ongi sekretarz N.K.N.'u opowiadał mi jak w 1913 roku interwencją w policji krakowskiej uratował Lenina przed deportacją z Galicji : „Nie miałem wówczas pojęcia — mówił mi — że losy świata znajdują się w moim ręku". W roku 1930 jechałem z Ameryki do Warszawy i zatrzymałem się po drodze w Berlinie, by spotkać się z przyjacielem

Szkotem, p. Darcie Gillie, wówczas korespondentem ,,Morning Post'' w Berlinie. Zaprosiłem go na kolację. ,,Właściwie — powiedział on — powinienbym wrócić do biura i przetelefonować mojej redakcji trzygodzinną rozmowę, którą dzisiaj miałem z niejakim Hitlerem''. ,,Ale, dodał po namyśle, szkoda pieniędzy. Facet jest wariat i do niczego nigdy nie dojdzie''. Tak mówił wytrawny, zdolny, wysoce inteligentny dziennikarz brytyjski na 30 miesięcy przed dojściem Hitlera do władzy. Cóż możemy powiedzieć, jaki będzie ostateczny bilans naszej emigracji. Co wniesie, czego dokona. Może Anders dojdzie do najwyższej godności w armii europejskiej? Może Mackiewicz stanie się prawą ręką senatora McCarthy? Może pojawią się nowe talenty? To wszystko okazuje się po latach. Przecież pozycja Słowackiego wśród Wielkiej Emigracji była chyba jeszcze słabsza, niż Miłosza w dzisiejszej. Chopina wielu rodaków uważało za snoba, dandysa i grajka. Kto wie może za sto lat, w jakimś przyszłym Lato, ale już nie w Nohant, ale w Laffitte — będzie występować Giedroyc jako Mochnacki, który dożywa dziewięćdziesiątki, obok Czapski — jako Łukasiński co wrócił ze Szlisselburga.

Jestem gotów założyć się o 1.000 funtów, że nikt nie potrafi wykazać w jakim stopniu zastąpienie gabinetu Bora rządem Tomaszewskiego wpłynęło na sytuację w kraju, na położenie międzynarodowe, czy nawet na losy samej tylko emigracji. Obawiam się, że podobnie wygląda sprawa nominacji Mackiewicza na szefa rządu. Chociaż Mackiewicz ma na ogół duże poczucie humoru, to i on nie powstrzymał się od wtrącenia w pewnej chwili, w czasie rozmowy ze mną, pytania: ,,Czy to miało miejsce zanim zostałem premierem, czy potem?'' Największym ludziom trafiają się potknięcia.

Ale jedno jest pewne. Mackiewicz przejdzie do historii emigracji. I do historii Polski. Jako postać ciekawa, oryginalna, wybitna i sympatyczna. Niestety ma on ,,les défauts de ses qualités''. Najistotniejszą cechą jego charakteru — a znam go dobrze — jest kapryśność. Stanowi to część jego uroku: cieszy się on na przykład swym premierostwem jak młoda panna swym pierwszym balem. By jednak czegoś dokonać trzeba mieć obok zdolności cierpliwość, wytrwałość i upór. Bez tych cnót talenty Mackiewicza okażą się tylko efektownym fajerwerkiem.

W. A. ZBYSZEWSKI

Dum spiro

Gdybym mógł wyrwać ciebie z trzew
i rzucić krukom niepamięci
może bym przestał brodzić
w opłotkach o zgiętym karku
wlokąc za sobą ślady
których żaden nie zawieje śnieg.

Nie zabliźnił pamięci czas
skrzepem łatwizn
ocean nie pochłonął skrzywienia
bo nie da się odczynić
co było.

A jednak żal mi wiosny
i nie chcę by uwiądł kwiat
w ziemi spragnionej odnowy.

Więc wśród popiołów czasu
z uporem szukam ziarenka
na czas urodzaju.

Florian ŚMIEJA

Lato opada czerwienią

Szukam zielonych słów dla drzew
i czerwonych dla dziewcząt
opalających nogi...

Narodziny niewolne są,
pod pieczęcią...

Leniwie kładą się na płótnach
piękne dziewczyny...

Za gardła chwycił nas grzech
i przed nim nie ma ucieczki.
Czyżby istniała śmierć? Mario!

Pogładzić nogi Twoje, dłonią
i biodra pogładzić i włosów pukle.

Napięłaś biodra pięknie, Twój równy
różowych piersi krok.

Boso po trawach, w cień długi od drzew.

Piękne proporcje-plecy proste, nogi
spływające od bioder...

Pozostał ślad ziemi zradlonej...

Stefan LEGEŻYŃSKI

Skarb Narodowy w Brazylii

REZOLUCJA SKARBU NARODOWEGO W BRAZYLII

w sprawie rozpisania wyborów powszechnych uchwalona na nadzwyczajnym posiedzeniu Rady Głównej Skarbu Narodowego w dniu 17. 7. 1954 — przewiduje m. in. w punkcie 4. co następuje :

Odebranie emigracji jej uprawnień jest w dzisiejszych warunkach nie do pomyślenia. Emigracja zasila kasy Skarbu Narodowego również w przeświadczeniu, że będzie uszanowana zasada, że kto płaci ten ma prawo do współkierownictwa i kontroli. Pozbawienie emigracji praw wyborczych, które Rada Główna Skarbu Narodowego w Brazylii, na posiedzeniu odbytym w dniu 26 marca 1954 roku, uznała, że winny być rozszerzone na wszystkich, którzy byli obywatelami polskimi w dniu 1 września 1939 r. musi zniechęcić emigrację i zmniejszyć jej zainteresowanie losami instytucji państwowych na emigracji. A to tym szczególniej, że akt zjednoczenia przewiduje, iż budżet państwowy zostanie nieproduktywnie obciążony, gdyż członkowie nowej proponowanej Rady mają prawo w granicach budżetu do częściowego lub całkowitego zwrotu wydatków, poniesionych z tytułu pełnionych czynności. Takiego przepisu nie znały ani dekret paryski z 9 grudnia 1939 r. o powołaniu Rady Narodowej, ani też dekret z dnia 9 grudnia 1953 r. o Radzie Rzeczypospolitej. W tym ostatnim jest przeprowadzona zasada, że członkowie Rady pełnią bezpłatnie swoje czynności, związane z posiedzeniami Rady i Komisji. Do zwrotu wydatków w granicach budżetu państwowego mogą być uprawnieni jedynie członkowie Rady za czynności zlecone przez Radę lub przez Prezydium Rady. Sformułowanie tej sprawy w Akcie Zjednoczenia prowadzi bezpośrednio do wyznaczenia dla członków Rady stałego uposażenia, gdyż projekt preliminarza budżetowego uchwala Rada, a wnosi go Rząd stworzony na podstawie konsultacji stronnictw politycznych zasiadających w Radzie i który musi posiadać zaufanie Rady. Członkowie Zarządów Skarbu Narodowego na wszystkich szczeblach jak też dziesiętnicy pełnią swoje obowiązki bezpłatnie.

Z tekstu aktu zjednoczenia wynika, że płatnicy Skarbu Narodowego będą w przeważającej mierze pokrywali uposażenie czy też wydatki członków

---

Materiały zamieszczane w tym dziale nie odzwierciadlają poglądów Zespołu „Kultury" na daną sprawę czy zagadnienie. Publikując te materiały Redaktor kieruje się wyłącznie chęcią udostępnienia czytelnikom źródłowych dokumentów, posiadających pewne znaczenie dla Historii Emigracji.

Rady Jedności Narodowej, natomiast sami będą pozbawieni prawa wyboru — w drodze wyborów powszechnych — członków tejże Rady, a więc współodpowiedzialności za rządy i kontrolę wydatków państwowych. Nie wyobrażamy sobie aby w tych warunkach akcja Skarbu Narodowego mogła liczyć na utrzymanie jej w dotychczasowych rozmiarach a nawet gotowa doznać całkowitego zawieszenia.

Prowadzenie agend państwowych na emigracji sprowadza się do dobrej polityki zagranicznej, to jest do stworzenia warunków pozytywnych dla osiągnięcia zamierzonych celów, szukania porozumień i wspólnej akcji z reprezentantami narodów, znajdujących się w analogicznej do naszej sytuacji i aktywnej współpracy z emigracją, celem utrzymania jej w stanie pogotowia narodowego.

W zakresie powyższych zagadnień, czynny udział emigracji jest niezbędny, czego zresztą nie trzeba bliżej udawadniać. Emigracja jest prawdziwą ludnością R.P. na obczyźnie. Ma prawo do głosu i współdziałania w walce o Niepodległość, Wolność i Całość Rzeczypospolitej. Inaczej zostałby zaprzepaszczony najważniejszy atut w tej walce, którą obecnie prowadzimy.

P. A. T.

OŚWIADCZENIE W SPRAWIE POWIERNIKÓW

Londyn (PAT). — Prezes Rady Ministrów oświadcza co następuje:

Warunki, w których pracuje Rząd Polski na wygnaniu od roku 1945, zmusiły go do korzystania z instytucji powierników.

Rząd Polski, po cofnięciu mu uznania przez byłych sojuszników, postanowił działać nadal i sferą swego działania objąć terytoria także tych państw, które nie uznają go za rząd.

W tych ostatnich wypadkach, Rząd Polski zmuszony był, zachowując sobie moralne prawo występowania wobec obywateli polskich w charakterze rządu, jednocześnie zwracać się do osób, które mu się wydawały być godnymi zaufania i prosić je, aby wobec władz tych państw, które nas nie uznały, występowały w charakterze właścicieli majątku będącego de facto majątkiem Rzeczypospolitej.

Niestety, w dziedzinie tych powierników spotkał Rząd Polski i ogół obywateli polskich niejeden zawód.

Podpułkownik Kamieński, być może kierowany dobrymi chęciami, odmówił posłuszeństwa Rządowi w dziedzinie administracji pieniędzmi mu powierzonymi i przez swą złą gospodarkę zaprzepaścił około półtora miliona dolarów.

Minister Skarbu, Jan Kwapiński, ustępując z Rządu w czerwcu 1947 roku zabrał z sobą kasę Państwa i nie oddał jej dotychczas.

Przy tworzeniu Skarbu Narodowego, instytucji powołanej przez dekret Prezydenta R.P. i, należy to przypomnieć, instytucji zawzięcie zwalczanej przez stronnictwa, które na utrzymanie swe czerpały pieniądze z dotacji obcego wywiadu, stworzono również powiernika, którego nazwano „Danina Polska".

„Danina Polska" była powiernikiem Skarbu Narodowego i na jej czele stał generał Władysław Anders, do którego miano powszechne zaufanie w dziedzinie pieniężnej.

Obecnie jednak, po dekrecie Prezydenta R.P. o reorganizacji Skarbu Narodowego, generał Anders i inni członkowie „Daniny Polskiej", którzy

uprzednio przeciwstawili się wykonywaniu przez Skarb Narodowy tych zadań, dla których był powołany, przenieśli majątek Skarbu Narodowego do popieranych przez siebie organizacji partyjnych.

Skoro generał Anders przestał uznawać Prezydenta i Państwo Polskie na wygnaniu, to można było się przynajmniej tego po nim spodziewać, że dysponując majątkiem Skarbu Narodowego w charakterze powiernika, zapyta się przynajmniej ogół dobrowolnych podatników Państwa Polskiego, czy zgadzają się na nowe przeznaczenie pieniędzy, które się w jego rękach znalazły.

Ale generał Anders nie miał tych skrupułów. Dom na 42, Emperor's Gate, zakupiony wyłącznie ze składek Skarbu Narodowego, został przez niego przekazany na użytkowanie instytucjom partyjnym, które popiera i zaludniony obwinionymi w sprawie Bergu, w charakterze urzędników.

Jednocześnie instytucje rządowe i Skarb Narodowy zostały z tego domu usunięte, bo wykorzystano w stosunku do nich prawo, które „Daninie Polskiej" przysługuje jako formalnemu właścicielowi domu wobec formalnych lokatorów.

W wezwaniach, które przez solicitora do Rządu Polskiego przesłano, Rząd Polski został nazwany „niezarejestrowanym zrzeszeniem podającym się za Rząd Polski na wygnaniu". (Unincorporated body, purporting to be the „Polish Government in exile"). Bierut nie potrafiłby inaczej napisać.

To postępowanie generała Andersa wzbudziło duże oburzenie wśród płatników Skarbu Narodowego i odezwały się głosy, że należy szukać sprawiedliwości na drodze sądowej. W tym sensie zapadła też jednomyślna uchwała Tymczasowej Głównej Komisji Skarbu Narodowego w dniu 26 września br.

Działając w charakterze Prezesa Rady Ministrów przeciwstawiłem się tym tendencjom, a to z następujących względów.

Wytoczona przed sądem sprawa pomiędzy Skarbem Narodowym a powiernikami musiałaby z natury rzeczy zahaczyć o dekrety Prezydenta Rzeczypospolitej. Sędzia decydujący w tej sprawie mimowoli musiałby wystąpić w charakterze polskiego trybunału konstytucyjnego. Byłaby to rola nie do przyjęcia ani dla nas, ani, jak sądzę, dla tego sędziego.

Poza tym uważam, że ze względu na godność narodową nie moglibyśmy dawać widowiska w którym występowałby Prezydent R.P., Rząd i Skarb Narodowy, skarżący w sprawach pieniężnych byłego inspektora sił zbrojnych i zwycięzcę spod Monte Cassino.

Całą odpowiedzialność za wstrzymanie się od drogi sądowej biorę na siebie.

Wskutek tego stanowiska biura rządowe, biura Głównej Komisji Wyborczej i biura Skarbu Narodowego zostały w dniu 6 października na żądanie „Daniny Polskiej" ewakuowane z pomieszczeń przy domu na Emperor's Gate zakupionego — raz jeszcze to stwierdzam — ze składek dobrowolnego podatnika polskiego, który w ciągu lat ofiarnie i patriotycznie przekazywał swe grosze na utrzymanie Państwa Polskiego na wygnaniu.

T. R. J. N.

W komunikacie agencji, używającej bezprawnie nazwy P.A.T., z 6 października br., zamieszczone jest oświadczenie p. St. Mackiewicza zawierające szereg fałszywych stwierdzeń, wymierzonych przeciwko Daninie

Polskiej Ltd., Głównej Komisji Skarbu Narodowego i jej prezesowi gen. W. Andersowi.

Fałsze te Główna Komisja Skarbu Narodowego niniejszym prostuje :

1) „Danina Polska Ltd." jest spółką zarejestrowaną według prawa angielskiego w dniu 1 marca 1950 r. w Rejestrze za Nr 478902.

Spółka ta administrowana jest kolegialnie przez Zarząd złożony z ośmiu osób a mianowicie :

gen. W. Anders, prez. J. Baliński-Jundziłł, gen. T. Bór-Komorowski, ks. prał. W. Cieński, prez. J. Kuncewicz, gen. R. Odzierzyński, gen. Z. Podhorski, prez. S. Soboniewski.

Skład Zarządu „Daniny Polskiej Ltd." a także przepisy prawa angielskiego (The Compagnies Act 1948), któremu spółka podlega, dają pełną gwarancję, że majątek „Daniny Polskiej Ltd." nie może być użyty na żadne inne cele poza tymi, które ustalone są w statucie spółki, zgłoszonym w biurze Rejestracji Spółek.

Przedstawianie więc gen. Andersa i Zarządu „Daniny Polskiej Ltd." jako powierników, jest bezpodstawne i nieodpowiedzialne.

2) Nieruchomość „Daniny Polskiej Ltd." przy 42/43, Emperor's Gate, S.W.7., nie została „przekazana na użytkowanie instytucjom partyjnym", lecz w dalszym ciągu mieści biura Głównej Komisj i Delegatury Skarbu Narodowego na Wielką Brytanię oraz Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego.

Poza tym nadal zajmują lokale w tym domu : Stronnictwo Ludowe Wolność, Liga Niepodległości Polski i Sądy Obywatelskie.

3) Przez podporządkowanie się Radzie Trzech, jako swemu organowi zwierzchniemu, Główna Komisja Skarbu Narodowego nie przestaje uznawać Państwa Polskiego, lecz krokiem tym ratuje ciągłość pracy państwowej.

4) Decyzja uznania Rady Trzech nie była indywidualnym postanowieniem prezesa Głównej Komisji Skarbu Narodowego gen. Andersa, lecz była powzięta na zasadach demokratycznych przez 15 członków wraz z gen. Sosnkowskim, a więc znakomitą większością w stosunku do 8 członków Głównej Komisji, którzy na posiedzenie nie przybyli.

Decyzję tę powzięto w obliczu groźby całkowitego załamania się Skarbu Narodowego wobec konfliktu wewnętrzno-politycznego powstałego po powołaniu gabinetu p. S. Mackiewicza, gabinetu o charakterze wybitnie przeciwzjednoczeniowym.

Płatnicy Skarbu Narodowego zareagowali na ten stan rzeczy wstrzymaniem się od dalszych wypłat, a wiele Terytorialnych Komisji Skarbu Narodowego zastrzegło się przeciwko wypłatom na użytek rządu p. S. Mackiewicza.

Wypłaty ze Skarbu Narodowego czynione są zgodnie z obowiązującym budżetem na utrzymanie placówek dyplomatycznych oraz na zaspakajanie potrzeb kulturalno-oświatowych w myśl uchwały Głównej Komisji Skarbu Narodowego z dnia 29 czerwca 1954 r.

Prezydium Głównej Komisji Skarbu Narodowego.

Londyn, 11 października 1954 r.

Archiwum polityczne

Oświadczenie

Zespół „Kultury" płacił regularnie składki na Skarb Narodowy, od chwili jego powstania. Obecnie wpłaty przerywamy. Naszym zdaniem idea Skarbu Narodowego wiąże się funkcjonalnie ze sprawą wyborów co podkreślaliśmy w dziesiątkach artykułów na przestrzeni ostatnich lat. Ponadto obecnie doszło do rozbicia Skarbu Narodowego na dwie konkurencyjne instytucje. Uważamy więc, że zarówno ośrodek rządowy jak i TRJN nie mają prawa dysponowania funduszami Skarbu Narodowego ponieważ odmawiają rzeszom płatników elementarnego prawa kontroli.

Instytucja finansowa, która swoim płatnikom odmawia prawa współdecyzji i kontroli w odniesieniu do polityki finansowanej z ich pieniędzy jest urągowiskiem po tej stronie „żelaznej kurtyny".

Nie możemy się zgodzić na niekontrolowaną gospodarkę ani nominatów, ani też delegatów stronnictw, wyznaczanych przez prezesów, urzędujących 16-ty rok z „mandatu krajowego". W tych warunkach uważamy, że jest obowiązkiem każdego logicznie myślącego emigranta wstrzymać się z płaceniem jakichkolwiek opłat na Skarb Narodowy. Wpłaty należy podjąć dopiero wówczas gdy Skarb Narodowy zostanie przeorganizowany i oparty na zasadach demokratycznych, gwarantujących kontrolę władzom, wyłonionym poprzez płatników na drodze wyborów. Każda inicjatywa czy akcja zmierzająca w tym kierunku liczyć może na nasze pełne poparcie.

Ponieważ wypowiedzi jakie ukazały się ostatnio na łamach naszego miesięcznika dały powód do licznych komentarzy, które często w fałszywym świetle przedstawiają poglądy „Kultury", uważamy za potrzebne sprecyzowanie kilku punktów. Naszym zdaniem :

1) *Nie posiadamy na emigracji warunków, by nadal kontynuować ustrój państwowy w oparciu o Konstytucję z 1935 roku, tym więcej że Konstytucja ta stale jest obchodzona, dowolnie interpretowana czy komentowana.*

2) *Zamiast uciekać się do wątpliwych pod względem prawnym i moralnym prób podtrzymania fikcji legalizmu należy dążyć do przywrócenia w naszym życiu publicznym* praworządności. *Przez praworządność rozumiemy oparcie wszystkich instytucji emigracyjnych na zasadach demokratycznych. Uważamy, że po 15-tu latach pobytu na obczyźnie nikt nie może reprezentować emigracji inaczej niż w oparciu o wolę większości, wyrażoną w wyborach. Tego rodzaju reorganizacja emigracji nie jest bynajmniej rezygnacją z celów politycznych, dla których pozostajemy poza granicami okupowanego kraju. Wręcz przeciwnie : jest to jedyna droga zdynamizowania mas emigracyjnych, które pod wpływem rozczarowań i zniechęcenia jałowymi sporami coraz bardziej są bierne i przekształcają się w emigrację zarobkową.*

3) *Jeżeli piszemy, że może się zdarzyć, iż pozostaniemy na emigracji jeszcze przez lat wiele to robimy to nie przez defetyzm, ale by przestrzec przed ciągłym dojutrkowaniem i polityką pobożnych życzeń, które nam już tyle nieobliczalnych szkód przyniosły w latach powojennych.*

ZESPÓŁ „KULTURY"

Intelektualiści a Ameryka

Gdzie leżą źródła europejskiego anty-amerykanizmu?

Jeżeli sytuację uprościmy do prymitywnego schematu — to po jednej stronie będziemy mieli dającą Amerykę a po drugiej biorącą Europę. W pośrodku między dawcą a odbiorcą stoi warstwa ludzi, którzy piszą, mówią przez radio, redagują dzienniki i periodyki, wykładają w szkołach i uniwersytetach. Ta cienka warstwa ludzi mówi w imieniu milionów i tworzy ów klimat intelektualny, który określamy ogólnikowym mianem opinii publicznej.

Wydaje mi się, że Amerykanie nie zdają sobie dokładnie sprawy z roli jaką odgrywają intelektualiści (w najszerszym tego słowa znaczeniu) w reżyserowaniu opinii publicznej w krajach europejskich. Nie rozumieją również, że Europy nie można ani zjednoczyć, ani przebudować, ani... pogrzebać bez czynnego poparcia tej warstwy.

W ,,The New Leader'' z sierpnia br. ukazał się artykuł Eric Hoffera w którym autor proponuje wielką mobilizację intelektualistów amerykańskich. Ci utalentowani Amerykanie mieliby za zadanie wykazać intelektualistom europejskim, że... polityka amerykańska jest szerokim gościńcem wiodącym do jasnej przyszłości.

Sprawa niestety nie jest tak prosta jak sądzi p. Hoffer.

Warstwą określaną mianem inteligencji już tylokrotnie pogrzebano, że łatwo jest popełnić kapitalny błąd w wyznaczeniu jej właściwej pozycji na socjologiczno-politycznej mapie Europy. Ów błąd popełnić jest tym łatwiej, że na ogół intelektualiści w Europie nie przemieniają się w menadżerów, a ich pozycja finansowa jest zazwyczaj słaba i niepewna. Człowiek, który by rozpatrywał układ europejski według wskaźnika dochodowego nie zdoła wypośrodkować realnej pozycji intelektualistów na scenie Zachodu.

Nie ma potrzeby przypominać, że intelektualiści i inteligencja są twórcami wszystkich postępowych i rewolucyjnych ruchów i każdy realizator reform sięgał po program i idee poczęte przy biurku intelektualisty. Chociaż intelektualiści i inteligenci brali czynny udział czy to w Komunie paryskiej, czy w październikowej rewolucji rosyjskiej a ostatnio w wojnie domowej w Hiszpanii — w końcowej fazie bywali zawsze spychani na margines przez polityków, wodzów i biurokracje. I w tym sensie według amerykańskiej teorii powodzenia — intelektualiści europejscy nigdy nie byli ,,sukcesem''.

Ponieważ inteligencja była zawsze rozdrobniona i niezorganizowana, z owoców jej intelektualnego wysiłku w dziedzinie polityki, ekonomii czy techniki — korzystali menadżerowie, po-

litycy, businessmeni. Typowy inteligent europejski żył i umierał w przeświadczeniu, że jest źle wynagradzany i że nikt za nim nie stoi. Ilekroć pod wpływem tego ,,kompleksu niedowartości'' wiązał się z ruchem rewolucyjnym, czy tylko opozycyjnym — ów ruch w okresie walki proklamował sojusz z inteligentem, lecz na drugi dzień po zwycięstwie inteligent lądował na ulicy. Władza, stanowiska i wszelkie dywidendy zwycięstwa dostawały się politykom, szefom partyjnym tzw. ,,ludziom czynu'', których — jak słusznie zauważa Koestler — cechuje zazwyczaj żelazna wola i drewniana głowa.

Trzeba obiektywnie stwierdzić, że komunizm pierwszy w nowoczesnej historii podszedł do zagadnienia inteligencji z pewnym określonym programem. Z politycznego punktu widzenia Sowiety górują nad Ameryką w rozpoznaniu problemu. Komuniści zdali sobie bowiem sprawę z dwóch rzeczy : po pierwsze, że bez inteligencji nie można dynamizować mas, formować opinii — innymi słowy prowadzić aktywnej polityki i po drugie, że likwidacja opozycji jest możliwa jedynie na drodze rozwiązania problemu inteligencji.

Weźmy dla przykładu sytuację w Polsce. Inteligencja w przedwojennym tego słowa znaczeniu jest w likwidacji. Jej miejsce zajmuje nowa warstwa społeczna ,,menadżerów kultury''. Pisarz, poeta czy malarz jest pierwszy raz w dziejach Europy nie tylko dobrze zapłacony, ale jego statut został zrównany w sensie finansowym, społecznym i politycznym ze statutem członków klasy rządzącej.

Socjologicznie operacja powyższa zmierza do wywołania w intelektualiście ,,we-feeling'' — poczucie wspólnoty interesów z reżymem. Literat traci swój inteligencki kompleks nie dowartości i uzyskuje pełną świadomość ważności swojej misji. Wzamian wyrzeka się bardzo istotnego atrybutu intelektualnego, a mianowicie prawa do opozycji.

Na marginesie należy podkreślić, że prawo do opozycji nie jest identyczne z pojęciem wolności. Wierzący pisarz katolicki nie uważa, że jest w mniejszym stopniu wolny niż pisarz liberalny. Pisarz w Polsce, jak długo jest przekonanym komunistą, nie odczuwa braku wolności. Nie istnieje wolność tylko dla tych, którzy nie są dostatecznie dobrymi komunistami. Bo w systemach zamkniętych, jak katolicyzm czy komunizm, prawo do opozycji nie przysługuje nikomu.

Nie jest moim zadaniem w ramach niniejszego szkicu konfrontować ,,kulturalnych menadżerów'' z ich artystyczną produkcją. Interesuje mnie natomiast inny problem, a mianowicie : dlaczego intelektualiści z krajów za ,,żelazną kurtyną'' nie uciekają na Zachód ?

Co roku odbywają się kongresy, zjazdy PEN-clubów itp. Uciekają jednak ludzie prości — marynarze, robotnicy, sportowcy, podoficerowie. Znacznie więcej pisarzy z Zachodu wróciło do komunistycznej Polski — niż opuściło Kraj i wybrało wolność. Na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat wybrał wolność tyl-

ko jeden polski pisarz a mianowicie Czesław Miłosz. Na setki a może i tysiące zbiegów zza ,,żelaznej kurtyny'' — jeżeli chodzi o Polskę — uciekło na Zachód tylko trzech intelektualistów : Miłosz, Korowicz, Panufnik.

Czym należy to tłumaczyć ?

Myślę, że odgrywają tu rolę trzy czynniki :

1. Nowy statut intelektualisty w Polsce komunistycznej.

2. Lęk przed zerwaniem kontaktu z rzeszą czytelniczą. Jeżeli chodzi o pisarzy ten punkt odgrywa decydującą rolę.

3. Brak pozytywnego oddźwięku dla polityki i postawy Stanów Zjednoczonych.

Studiując wypowiedzi zbiegów musi się dojść do wniosku, że Zachód nie przyciąga. To tylko Wschód odpycha. Ludzie nie dążą ku Zachodowi — natomiast pewne jednostki uciekają przed Wschodem. To wszystko.

Posługujemy się często niebezpiecznym uproszczeniem i przyjmujemy za pewnik, że każdy anty-komunista jest automatycznie pro-amerykański. To nie jest prawdą. Nie jest prawdą szczególniej w odniesieniu do intelektualistów.

Na podstawie różnych obiektywnych danych można przyjąć, że większość intelektualistów starszego i średniego pokolenia w Polsce nie przyjęła ,,nowej wiary''. Wszyscy jednak kolaborują.

Choć w pierwszej chwili może się to wydać twierdzeniem paradoksalnym — odpowiednikiem kolaboracji po tej stronie ,,żelaznej kurtyny'' jest neutralizm. Każdy neutralista jest potencjalnym kolaborantem. Gdyby w zachodniej Europie powstała sytuacja jaką od lat dziesięciu obserwujemy w wschodniej Europie — wszyscy neutraliści podjęliby współpracę z reżymami komunistycznymi.

Neutralizm rozpatrywany w ramach ściśle europejskiej perspektywy — nie jest bynajmniej pozbawiony logiki. Koncepcja ta opiera się na dwóch założeniach : po pierwsze, że Europa nie może już być wyzwalana i po drugie, że negocjowana kapitulacja jest zawsze korzystniejsza niż ,,unconditional surrender''.

Neutraliści sądzą, że spacyfikowane Niemcy, sparaliżowane NATO, ewakuacja Amerykanów z kontynentu — pozwoliłyby Europie wynegocjować w ramach pokojowej kapitulacji statut większej Finlandii.

Łatwo jest przeprowadzić druzgocącą krytykę neutralizmu — natomiast znacznie trudniej jest odpowiedzieć na pytanie : jeżeli nie neutralizm, to co ?

Jakie są istotne różnice pomiędzy poglądem amerykańskim a poglądem europejskich neutralistów ?

Jeżeli wypowiedzi tak jednych jak i drugich odtłuścimy z frazeologii i dyplomatycznego ,,salad-dressing'' — to przekonamy się, że różnice są znacznie mniejsze niż się przypuszcza.

Czy Amerykanie zamierzają bronić Europy zachodniej do upadłego ? Czy posiadają na kontynencie dostateczną ilość wojsk, sprzętu i zaopatrzenia ? Nie. Amerykanie nie zamierzają bronić Europy zachodniej do upadłego. Armią, organizacją, sprzętem

jakim dysponują na kontynencie mogą tylko prowadzić akcję opóźniającą.

Innymi słowy należy stwierdzić, że dyskusja nie dotyczy *obrony* Europy. Dyskusja dotyczy tylko zagadnienia czy należy prowadzić walki opóźniające, czy też lepiej z nich zrezygnować. Tak jak gwarancja brytyjska udzielona Polsce nie chroniła nas przed okupacją a przekreślała możliwość podjęcia negocjacji w ostatniej minucie — tak — według opinii neutralistów — obecność baz i wojsk amerykańskich na kontynencie nie stanowi 100 procentowej obrony, może natomiast sprowokować atak i uniemożliwić negocjacje w ostatniej chwili.

Gdy piszę te słowa uwaga polityków europejskich skupiona jest na udziale 12 dywizji niemieckich w systemie zbiorowej obrony. O przyszłych wschodnio-niemieckich dywizjach nikt nie myśli a tylko te dywizje stanowią prawdziwy problem Europy.

Jeżeli wybuchnie wojna, Niemcy od pierwszego dnia będą grali na dwie karty. Będą mieli dwa garnitury polityków, dwie armie, dwa dowództwa. Ów dualizm niemiecki kryje w sobie wprost nieobliczalne ryzyko.

W razie niespodziewanego ataku armie sojusznicze będą zmuszone — być może — wycofać się z terytorium federalnej republiki już w pierwszych dniach. Wówczas zjednoczenie Niemiec ,,made in Moscow'' stanie się faktem dokonanym. Zachód będzie miał 12 niemieckich dywizji — Sowiety naród 80-milionowy i całość terytorium. Dalszy ciąg łatwo jest sobie dośpiewać. Odbędą się ,,wybory'', powstanie rząd, a zaprzyjaźniony Związek Sowiecki przystąpi do odbudowy ,,ludowej'' armii niemieckiej. Niemieccy Rokossowscy są już dawno wyznaczeni.

W Niemczech nigdy nie brakowało zwolenników ścisłej współpracy z Rosją. Nie brakuje ich i dziś i oczywiście nie zbraknie ich wówczas gdy nadejdzie... historyczna chwila.

Sowiecka ocena, że kluczowym zagadnieniem Europy jest zjednoczenie Niemiec jest 100% słuszna. Tylko ten, kto zjednoczy Niemcy będzie rządził Europą i zdoła ją obronić.

Jeżeli Sowietom powiedzie się zjednoczyć Niemcy na drodze pokojowej — agresji (militarnej) w Europie w ogóle nie będzie, gdyż okaże się zbyteczna.

Zdumiewająca jest postawa polskich emigracyjnych polityków w odniesieniu do tych spraw. Wszyscy są oczywiście zwolennikami polityki ,,liberation''. Sądzą jednak, że polityka wyzwolenia powinna... ominąć Niemcy, które muszą pozostać rozbrojone i podzielone bo leży to w interesie bezpieczeństwa ziem nad Odrą i Nysą. Pod tym względem pogląd naszych polityków emigracyjnych pokrywa się całkowicie z poglądem tych francuskich i angielskich polityków, którzy są zagorzałymi przeciwnikami ,,liberation''. Jest oczywiste (choć nie dla wszystkich!) że ten typ polityki doprowadzony do swego logicznego finału wiedzie prosto to stwierdzenia, że naruszenie obecnego stanu rzeczy (a więc i podjęcie polityki ,,liberation'') nie leży w naszym interesie, gdyż może przynieść zjednoczenie i suwerenność Niemiec,

co z kolei może zagrozić ziemiom nad Odrą i Nysą. Ci reprezentanci naszej polityki zagranicznej, którzy wygłaszają tego typu poglądy powołują się na zgodność w tej sprawie z opinią Kraju — w gruncie rzeczy są tylko w zgodzie (na tym odcinku) z tezami propagandy sowieckiej.

Pozycja Sowietów w Europie jest niepomiernie korzystniejsza niż Stanów Zjednoczonych. Wskutek tego Rosja w swojej polityce niemieckiej może stosować wiele wariantów zależnie od chwilowej koniunktury. Stany Zjednoczone obserwują niekończące się dyskusje na temat Niemiec i ich udziału w takiej czy innej organizacji obronnej i cierpliwie czekają aż zainteresowane strony wreszcie uzgodnią między sobą punkty sporne.

Amerykańska polityka niemiecka mieści się w ramach ,,containment''. Akceptuje podział Niemiec — podobnie jak akceptuje podział Korei czy Indochin.

Koncepcja ,,containment'', jak każdy system, posiada pewne ograniczenia. Operując tabliczką mnożenia nie można obliczyć odległości między ziemią a księżycem. Chcąc rozwiązać ten problem trzeba sięgnąć do rachunku trygonometrycznego. Nie oznacza to jednak, że tabliczka mnożenia jest systemem błędnym.

W ramach polityki ,,containment'' można zrealizować szereg postulatów — nie można jednak ani zjednoczyć Niemiec, ani obronić Europy. Można natomiast włączyć 12 zachodnioniemieckich dywizji w mniej lub więcej luźny system obronny i w razie agresji bronić Europy zachodniej przez pewien czas. Na to jednak by podjąć realny program obrony zachodniej Europy trzeba by porzucić politykę ,,containment''.

Neutralizm europejski, choć jest anty-amerykański, jest rodzonym bratem polityki ,,containment''. Zarówno neutraliści jak i zwolennicy polityki ,,hamowania'' są za ko-egzystencją z Sowietami. Zwolennikami ko-egzystencji są nie tylko panowie Bevan i Attlee, lecz również i sekretarz stanu F. Dulles. Różnice dotyczą stopnia a nie istoty rzeczy.



Widziana z Europy Ameryka jest cywilizacją businessmenów, techników i biurokratów. O ile Sowiety kokietują europejskich intelektualistów — o tyle Ameryka ich nie dostrzega. Stany Zjednoczone na scenie europejskiej reprezentują przemysłowcy, zawodowi wojskowi i dyplomaci, eksperci ekonomiczni, propagandyści, dziennikarze i artyści filmowi obojga płci. Dzięki temu inteligent europejski urabia sobie przekonanie — być może mylne — że intelektualiści w Ameryce o ile nie są rządowymi ekspertami — są poza nawiasem.

Publicyści amerykańscy piętnujący amerykanofobię pewnego odłamu intelektualistów europejskich zapominają, że cała teoria przywództwa amerykańskiego jest wytworem europejskim. Nawet tu, w Anglii, był czas kiedy czołowy polityczny tygodnik londyński ,,The Observer'' wysuwał w artykułach wstępnych

idee federacji atlantyckiej w której Stany Zjednoczone grałyby dominującą rolę. Podobne koncepcje proklamował w swych essejach Bertrand Russell. Literatura pasująca Stany Zjednoczone na przywódcę wolnego świata liczy w Europie setki pozycji.

Kardynalną wadą filozofii ,,containment'' z punktu widzenia intelektualnego jest fakt, że nikt w nią nie wierzy. Osobiście jestem przekonany, że nie wierzy w nią również i jej twórca ambasador G. Kennan. Nikt jednak nie odważy się krzyknąć, że ,,król jest nagi'', bo wówczas trzeba by przestawić o 180 stopni pion duchowy Zachodu. Psychologicznie filozofia ,,containment'' jest formą ketmanu à rebours.

Projekty federacji atlantyckiej czy inne plany przywódczej polityki amerykańskiej zrodzone w Europie, w Stanach Zjednoczonych nie wzbudziły najmniejszego oddźwięku. Ci spośród intelektualistów europejskich, którzy są bardziej amerykańscy niż Amerykanie nie są popularni w Stanach Zjednoczonych. Toteż jedną z przyczyn anty-amerykanizmu intelektualistów jest poczucie zawodu. Gdyby istniało jakieś nieoficjalne zgrupowanie osób, które by podjęło na terenie Europy współpracę z pro-amerykańskimi intelektualistami ów kapitał sympatii mógłby być zachowany i rozbudowany. Intelektualistów europejskich można by zjednać tylko za cenę włączenia ich w proces formowania się nowego poglądu na rolę Stanów Zjednoczonych w świecie.

Inicjatywy kulturalne podejmowane przez różne instytucje amerykańskie nie zawsze są szczęśliwie pomyślane. Periodyki typu ,,Perspectives'', czy ,,Diogenes'' są na ogół martwe i dla każdego czytelnika jest oczywiste, że utrzymują się na powierzchni wyłącznie dzięki pasom ratunkowym subwencji. Nikt tych pism nie cytuje, nikt z nimi nie polemizuje. Są całkowicie oderwane od czytelnika dla którego są rzekomo przeznaczone.

Jest rzeczą zdumiewającą, że Amerykanie nie uważają za celowe wydawać w Europie choćby jednego periodyku europejsko-amerykańskiego na którego łamach dyskutowaliby z sobą intelektualiści z obu stron Atlantyku.

Sowiety poprzez swoich zwolenników jawnych i ukrytych biorą czynny udział w wszystkich dyskusjach europejskich i wywierają formatywny wpływ na ewolucję poglądów. Nie tylko zwalczają politykę amerykańską, nie tylko paraliżują inicjatywy idące po linii ogólnych interesów amerykańskich, lecz drogą subtelnych i przemyślanych pociągnięć taktycznych wytwarzają klimat anty-amerykański, któremu ulegają ludzie z komunizmem nie mający nic wspólnego. W sumie poprzez tzw. ,,akcję pokojową'', ,,akcję antywodorową'' i poprzez dziesiątki kampanii propagandowo-intelektualnych podejmowanych zawsze w imię ludzkości i pokoju — powiodło im się do pewnego stopnia pro-amerykańskość sprowadzić do wspólnego mianownika z reakcyjnością. Jest rzeczą charakterystyczną dla taktyki komunistycznej, że intelektualnego anty-amerykanizmu nie wiąże się z filo-sowietyzmem. Przeciwnie kładzie się nacisk by anty-amerykańskiej modzie poddawały się jednostki, które z komunizmem

nie mają nic wspólnego, a więc biskupi, liberalni pisarze i politycy, profesorowie wyższych uczelni itp. Sowiety wychodzą bowiem z logicznego założenia, że ich sprzymierzeńcem jest każdy amerykanofob — bez względu na to czy Marksa uwielbia czy nim gardzi.

W obecnym konflikcie światowym nie decyduje ani „aid" ani „trade" lecz wpływ. Punktem wyjścia każdej trzeźwo i realnie planowanej wojny psychologicznej musi być jasne rozpoznanie kogo należy zjednać? Zjednać trzeba w pierwszym rzędzie tych, którzy formują opinię publiczną.

W ubiegłym roku w kilku artykułach ogłoszonych na łamach „Kultury" i „Ostatnich Wiadomości" starałem się zobrazować wpływ masowej kultury amerykańskiej na klasę robotniczą europejskiego Zachodu. Wykazałem, że np. w Anglii anty-amerykanizm jest najsilniejszy na szczycie drabiny społecznej i maleje z każdym szczeblem w dół. Wśród robotników w ogóle nie istnieje. Choć brak amerykanofobii wśród robotników jest rzeczą wielkiej wagi to jednak z politycznego punktu widzenia antyamerykańskie nastawienie jednego wybitnego publicysty jest stokroć ważniejsze niż filo-amerykanizm pół miliona robotników.

Na terenie Europy teatrem operacyjnym Nr 1 „zimnej wojny" są mózgi intelektualistów. Ponieważ Amerykanie tego nie rozumieją antyamerykanizm w Europie zachodniej jest dysproporcjonalny w stosunku do uczuć i nastrojów większości. To znaczy, że polityczny wydźwięk i natężenie anty-amerykanizmu nie stoi w realnej proporcji do rzeczywistych nastrojów mas. Innymi słowy nieumiejętność pozyskania intelektualistów powoduje, że wszystkie inne akcje amerykańskie nie przynoszą zamierzonych rezultatów czego najlepszym dowodem jest fakt, że antyamerykanizm kwitnie w krajach, które otrzymały największą pomoc ze Stanów Zjednoczonych.

Pro-amerykanizm musi się stać synonimem pewnej koncepcji przebudowy świata. Europejczycy zdają sobie bowiem sprawę, że kraje kontynentu (łącznie z Anglią) nie mają możliwości prowadzenia suwerennej polityki we własnym imieniu. Stany Zjednoczone stały się bowiem tak potężne, że w stosunku do nich nikt (poza Rosją) nie może być prawdziwie suwerenny. Rząd amerykański może każdej chwili podjąć decyzję, której konsekwencje zaciążą na losach całego świata. W rezultacie nasza europejska suwerenność staje się coraz bardziej teoretyczna ale na horyzoncie nie widać koncepcji, która miałaby ją zastąpić. Europa skarlała nie wobec Rosji, od której jest odcięta „żelazną kurtyną", lecz w obliczu Stanów Zjednoczonych.

Jednym z głównych źródeł anty-amerykanizmu w Europie jest poczucie owej dysproporcji pomiędzy potencjalnym wymiarem decyzji amerykańskich a europejskimi możliwościami wpływu na owe decyzje. W porównaniu z tym co Amerykanie są władni zadecydować — waga naszego głosu jest piórkiem na wietrze. To jest sytuacja której nie da się długo utrzymać. Neutralizm jest (samobójczą) próbą wyjścia z tej sytuacji.

Gdy się dysponuje potęgą w skali amerykańskiej można prowadzić politykę albo w oparciu o schemat rosyjski tworząc system państw satelickich — albo w oparciu o koncepcje ponadpaństwowego federalizmu. Innymi słowy można rządzić albo jako dyktator, albo jako konstytucyjny „pierwszy między równymi". Stany Zjednoczone nie mogą zdecydować się ani na jedno ani na drugie i usiłują (z wątpliwymi wynikami) prowadzić politykę mocarstwową w ramach międzynarodowego systemu, który rozsadziły własnym ogromem. I dlatego pro-amerykanizm nie jest dziś jeszcze koncepcją tylko aktem wiary.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika australijska

W bieżącym roku głośno było w prasie światowej o Australii : odkrycia złóż uranu i nafty, wizyta królowej i wreszcie sprawa Petrowych.

Wypadki te w małym jedynie stopniu zazębiły się o życie Polonii. Aczkolwiek panuje w niej „prosperity" i pełne zatrudnienie, jednak powodem tego nie są nowe kopalnie, a jedynie wysokie ceny wełny na rynkach światowych. Kilku Polaków co prawda brało udział w poszukiwaniach rud uranu, nawet opisywali na łamach tutejszej prasy polskiej swe przygody w dżunglach i na pustyniach, nie dało się jednak stwierdzić, aby Polacy byli zatrudnieni w kopalnictwie tego politycznie delikatnego minerału.

Podczas wizyty królowej w jednym bodaj mieście przedstawiciele Polonii zostali zaproszeni na królewski bal. Na Tasmanii pewien oficer polski otrzymał wysokie odznaczenie z rąk królowej za zasługi w czasie ubiegłej wojny.

Jedynie w związku ze sprawą Petrowa, sowieckiego dyplomaty-enkawudzisty, który wybrał nie tyle wolność, co bezpieczeństwo, było tu głośno o imigrantach zza żelaznej kurtyny. Oni to bowiem tworzyli ów tłum na lotnisku sydneyskim domagający się uwolnienia Petrowej i świadczący, że wołała o pomoc. Był to tłum złożony z Rosjan, Czechów z transparentami, spośród Polaków były jedynie nieliczne jednostki, które nie odegrały większej roli.

Tym niemniej w owym czasie, a był to okres przedwyborczy, owa demonstracja była potraktowana jako pierwsze wkroczenie Nowo-Australijczyków do polityki australijskiej. Partie polityczne liczą się z tym, że blisko półmilionowa masa nie brytyjskich imigrantów może z czasem stać się języczkiem u wagi w wyborach, więc zaczynają się zabiegi o ich względy. Tymczasem najbardziej ważką grupą narodowościową są Polacy, bowiem stanowią największy rezerwuar potencjonalnych wyborców w najbliższej przyszłości. (W roku 1952 obywatelstwo australijskie otrzymało 351 Polaków, w roku 1953 — 503, a w bieżącym roku zapewne znacznie więcej) pomimo, że liczebnie zostali już zdystansowani przez Włochów. Jest to jednak emigracja młodsza, która nie tak prędko otrzyma uprawnienia wyborcze.

W Australii istnieje Partia Pracy, obecnie w opozycji i rządzący blok partyj liberalnej i wiejskiej. Z grubsza można by określić, że polska emigracja polityczna ciąży ku liberałom, a ci którzy są raczej wychodźtwem zarobkowym — ku partii pracy. Bowiem ponad 90 procent Polaków to najemni pracownicy, których interesów ekonomicznych broni partia pracy. Atrakcyjność jej zmniejszają : nieco dwuznaczne ustosunkowanie się do komunizmu, ustępliwość względem bloku sowieckiego w polityce zagranicznej, oraz ,,obrona nieróbstwa" to jest zwalczanie systemów płac akordowych.

Rząd liberalny potrafi oświadczyć, że poprze USA w przekazaniu sprawy Katynia do Narodów Zjednoczonych, pomstować na komunistów i socjalistów itd. a imigrant zza kurtyny chętnie nastawia uszu na takie hasła. Na ogół masy Polonii są jednak dotychczas bierne. Ważne jest, że już się rozpoczęły zabiegi o ich względy wyrażające się takimi faktami, że np. zastępca przewodniczącego Partii Pracy zebrał tysiąc funtów na Dom Dziecka Polskiego w Melbourne, że obie partie mają sekcje nowo-australijskie itp. W dziedzinie stopniowego równouprawnienia imigrantów należy wymienić : skrócenie do dwóch lat pobytu okresu upoważniającego do składania podań o otrzymanie obywatelstwa, oraz ogłoszenie, że okres trzymiesięcznego przeszkolenia wojskowego dla młodzieży australijskiej obowiązuje również nienaturalizowanych imigrantów.



Australijskie statystyki podają ilość osób urodzonych w Polsce na 70 tysięcy, natomiast ilość zarejestrowanych cudzoziemców (dorosłych) narodowości polskiej na 51.032. Polaków jest o 10 tysięcy więcej niż Polek. Jednak pomimo tego odsetek zawartych małżeństw z Australijkami w stosunku do małżeństw z rodaczkami jest u Polaków najniższy spośród grup imigranckich.

Ciekawe i rewelacyjne dane przynosi ankieta tutejszego ,,Tygodnika Katolickiego". Oto w stanie Nowej Południowej Walii (Sydney) grupującym co najmniej 1/3 część australijskiej Polonii, ponad 60% małżeństw polskich ma już własny dach nad głową, przeciętny fundusz rodziny, już po odliczeniu długów, wynosi od półtora do dwóch tysięcy funtów australijskich. Przeciętna wysokość kont bankowych polskich rodzin wynosi około 450 funtów. Dane te są naturalnie tylko orientacyjne, lecz wydaje się, że zbliżone do prawdy, gdyż inną drogą przeprowadzona statystyka w stanie Queensland również wykazała, że przeciętnie na 3 polskie małżeństwa 2 posiadają własne domy. Natomiast wyniki ankiety ,,Tygodnika" podające, że 33 % ojców rodzin i 43 % żonatych a bezdzietnych posiada wykształcenie średnie lub wyższe (7 i 10), wskazują raczej że głównie inteligencja wzięła udział w ankiecie, a nie, że mamy tu liczne tysiące byłych maturzystów. Ta poprawka może doprowadzić do wniosku, że ilość domów jest jeszcze większa, gdyż obserwacja wskazuje, że Polacy bez średniego wykształcenia, umieją budować domy nie gorzej, a oszczędzać umieją lepiej. Przeciętne zarobki tygodniowe Polaków wynosiły 14 funtów, około 30 % matek i większość kobiet bezdzietnych pracowała zarobkowo wnosząc 6-9 funtów tygodniowo. Do tej kalkulacji nie jest naturalnie włączona własna praca przy budowie domu, uprawie ogródka, hodowli drobiu itp.

Dorobek samotnych mężczyzn przedstawia się niepokaźnie w Sydney, zaledwie 820 funtów oszczędności i 5% buduje lub posiada domy, zaś

wspaniale na prowincji : dorobek 1.790 funtów, 47% buduje domy własne lub na spółkę. Konta bankowe — około 600 funtów. Zarobki samotnych na prowincji są najwyższe — przeciętnie £A. 15/15, bowiem obejmuje to robotników zatrudnionych w przemyśle metalurgicznym, oraz przy budowie zapór wodnych.

Opierając się na danych wymienionej ankiety można wyciągnąć wniosek, że dorobek polski w dziedzinie gospodarczej za przeciętny okres pobytu w Australii — cztery lata — wypada imponująco. Przyjmując, że warunki w całej Australii są podobne jak w N. Południowej Walii, można z grubsza oszacować fundusz Polonii australijskiej na 30 milionów funtów (około 70 milionów dolarów). Na co składa się około 7 milionów funtów w bankach, około 8 tysięcy domów, obciążonych około 4 milionami funtów długu, kilkaset drobnych gospodarstw, bliżej nieokreśloną ilość samochodów, mała ilość przedsiębiorstw handlowych i rzemieślniczych, oraz kilka Domów Polskich, przeważnie w zarządzie zakonów, prowadzących szkoły.

Jak widać z powyższego prawie cały kilkoletni wysiłek finansowy uchodźców-tułaczy został skierowany na zdobycie własnego dachu nad głową.

Samotny emigrant zarabia, aby zapewnić sobie dobrobyt i spokojną starość, a mało dba o to, co będzie po jego śmierci. W wypadku zgonu emigranta nie posiadającego krewnych i nie pozostawiającego testamentu, mienie jego przechodzi na rzecz państwa. (Na marginesie refleksja nieco cyniczna : wiadomo że Polacy nie umieją żyć, a umieją umierać dla ojczyzny, więc skoro gromadzenie funduszy społecznych w oparciu o żywych polskich emigrantów idzie tak opornie, może zacząć je budować długofalowo w oparciu o spadki po samotnych polskich ,,latarnikach".) Od tych ponurych rozważań o wymierającej bezpotomnie emigracji przejdźmy dla kontrastu do tych najmłodszych — przyszłości narodu... australijskiego. Istnieje tu już około 30 polskich szkółek sobotnich z 500 uczniami. Najliczniejsze są dzieci 6-8-letnie, pierwsze pokolenie powojenne. Te chodzą posłusznie do polskich szkółek i nauczyciele nie mają z nimi wielkiego kłopotu, ale nieco starsze, które już kilka lat były w szkołach australijskich, nie chcą się uczyć polskiego. Są to już bowiem przeważnie dzieci australijskie. Dlaczego stało się to tak szybko ? Jedni twierdzą, że kultura australijska jest tak atrakcyjna, inni, że polscy rodzice wiecznie zaharowani i skąpi (wszystko pakują w domy) są tak nie atrakcyjni...

Na zjeździe Rady Polonii delegat ,,Grona Młodych" z Melbourne skarżył się, że jego pokolenie w okresie wojny i tułaczki nie miało możności ,,nałykać się" polskiej kultury i odczuwa wobec Australijczyków kompleks niższości nie mając im co przeciwstawić. Na skutek tego apelu młodzieży powstały w Sydney ,,Kursy wiedzy o Polsce", dwa wykłady tygodniowo w ciągu 6 miesięcy. Odczyty prowadzone przez kilkunastu wykładowców są na wysokim poziomie i tak ciekawe, że ściąga tam coraz więcej słuchaczy starszych roczników, a młodzieży wciąż ubywa. Może brak czasu, a może te sprawy mało obchodzą przyszłość narodu... australijskiego ?

Skupisko w Sydney jest badaj najruchliwsze w dziedzinie kulturalnej. Tu powstał dobry zespół amatorski mający w swym programie : ,,Lato w Nohant" Iwaszkiewicza, ,,Lekkomyślną Siostrę" Perzyńskiego, ,,Wesele" (II akt) Wyspiańskiego i ,,Przepióreczkę" Żeromskiego i który jeździ nawet na gościnne występy do Melbourne i Canberry. Tu, w lokalu biblioteki

Związku Polskiego liczącej parę tysięcy tomów i zaledwie kilkudziesięciu abonentów, była czynna wystawa sześciu malarzy polskich i tu wreszcie red. R. Krygier zamienił skromne stanowisko sekretarza Syndykatu Dziennikarzy Polskich w Australii na generalnego sekretarza Australijskiego Komitetu Wolności Kultury, grupującego przedstawicieli australijskiej elity umysłowej.

Na uniwersytecie w Canberra pierwszy doktorat filozofii uzyskał astronom narodowości polskiej. (Poza tym mistrzostwo piłki nożnej australijskiej stolicy zdobyła polska drużyna ,,Napad"). Na wystawie obrazów w Adelaide święcą triumfy dwaj lwowiacy bracia Dutkiewiczowie, wyróżnieni w recenzji prasy londyńskiej. Energia społeczna i możliwości artystyczne wyładowują się także w urządzaniu trzech dorocznych akademij w 10 większych polskich skupiskach.

Na ogół ,,polska wiara" zagrożona jest najbardziej nie przez nieskoordynowane wystąpienia warcholskich ,,kacerzy" ale przez indyferentyzm dla spraw polskich, ogarniający nie tylko szerokie emigracyjne masy, ale wdzierający się również do ,,Grenady" dotychczas społecznie aktywnych weteranów.

E. ŻAGIELL

Niemiecki sztab generalny

LEGENDA I FAKTY

W jednym z ostatnich numerów doskonale redagowanego ,,Commentary'' ukazał się artykuł prof. S. F. Blooma polemizujący z tezami wysuniętymi przez John W. Wheeler-Bennetta, w jego świeżo wydanym studium ,,The Nemesis of Power : The German Army in Politics — 1918-1945''.

Prof. Bloom jest z pochodzenia kontynentalnym Europejczykiem i może dlatego jego interpretacja jest znacznie wnikliwsza i bliższa sedna problemu niż koncepcje Wheeler-Bennetta.

Historyk brytyjski sądzi, że utworzenie pruskiego sztabu generalnego było tak epokowym wydarzeniem w dziejach wojskowości, że można je przyrównać jedynie do przełomu spowodowanego pojawieniem się wojsk pancernych i lotnictwa. Wheeler-Bennett przyznaje rację von Schlieffenowi, który utrzymywał, że Napoleon zrewolucjonizował wprawdzie sztukę wojenną, ale nie miał dobrego sztabu generalnego co w konsekwencji stało się przyczyną klęski cesarza.

Bloom słusznie podkreśla, że trudności zarówno Napoleona jak i niemieckiego sztabu generalnego były w pierwszym rzędzie natury politycznej. Niemiecki sztab w roku 1941 w Rosji był politycznie równie bezradny jak Napoleon w roku 1812.

Z jakich zwycięskich laurów wyrósł mit niemieckiego sztabu generalnego ? Tłustych lat zwycięskich nie było wiele. A więc uwieńczone triumfem kampanie : przeciw Danii z pomocą Austrii w roku 1864, przeciw Austrii w roku 1866 — oraz przeciw Francji w roku 1870. Na tym lista zwycięstw się kończy. Z kolei nastąpiły dwie wojny światowe zakończone bezprzykładną klęską.

Jak powszechnie wiadomo, powyżej wyliczone pruskie zwycięstwa w XIX wieku — są w pierwszym rzędzie wynikiem polityki Bismarcka, a nie genialnej strategii pruskich generałów. Dzięki jego polityce sztab generalny nie musiał prowadzić wojen na dwa fronty.

Okazuje się, że jest znacznie łatwiej stworzyć dobry sztab generalny niż dobrą politykę zagraniczną. I w tym sensie Bismarck był daleko większym i cenniejszym ,,wynalazkiem'' niż pruski sztab generalny.

Trudno również nie przyznać racji prof. Bloomowi, że zawody cywilne dostarczyły znacznie wybitniejszych strategów niż wszystkie sztaby generalne razem wzięte. W porównaniu z Lincolnem, Clemenceau, Trockim czy Churchillem — von Schlieffen, Ludendorff czy von Rundstedt są prowincjonalnymi figurami.

Oficerowie niemieccy do samego końca udawali zarówno przed sobą jak i przed innymi, że są specjalistami bez ściśle określonej odpowiedzialności, zarówno w odniesieniu do polityki wewnętrznej jak zagranicznej. W ten sposób całkowicie zdradzili wojenną filozofię Clausewitza.

Dla Clausewitza wojna nie była ani sztuką, ani wiedzą, lecz po prostu instrumentem polityki. Wojna oderwana od myśli politycznej staje się makabrycznym nonsensem. Kardynalnym błędem generałów niemieckich była wiara, że sukcesy wojskowe rozwiążą automatycznie problemy polityczne. Ów pogląd stanowił dokładną odwrotność doktryny Clausewitza.

Prof. Bloom ślepotę polityczną niemieckiego sztabu generalnego wywodzi z jego genezy. Sztab powstał w początkach XIX wieku w ramach pruskiego ministerstwa wojny. W warunkach normalnego rozwoju demokracji ministerstwo wojny zostałoby z czasem poddane kontroli naczelnych władz cywilnych. Stało się jednak inaczej. Pruskie ministerstwo wojny było właściwie urzędem ściśle administracyjnym, a szef sztabu generalnego jako najwyższy wojskowy doradca króla nie podlegał ministrowi. Konstytucja z roku 1871 nie zmieniła tego stanu rzeczy. Szef sztabu generalnego był mianowany przez cesarza — miał do niego bezpośredni dostęp ponad głowami ministrów i kanclerza i za swą działalność odpowiadał tylko przed monarchą.

Mimo, że w roku 1918 Niemcy przekształciły się w republikę, armia zatrzymała swą nadrzędną pozycję. Wszystkie wysiłki parlamentu w okresie weimarskim zmierzające do poddania armii kontroli Reichstagu — spełzły na niczym.

Przywódcy armii wywierali decydujący wpływ na politykę niemiecką, równocześnie jednak uważali, że są ponad polityką zarówno wewnętrzną jak i zagraniczną i że wskutek tego nie ponoszą odpowiedzialności ani za jedną ani za drugą. Czyż nie jest rzeczą charakterystyczną, że Niemcy, ów najbardziej militarystyczny naród świata — nigdy nie mieli wojskowego dyktatora a nawet wojskowego kandydata na dyktatora. Hitler był podoficerem rezerwy i narzucił swą władzę temu najbardziej ekskluzywnemu klubowi zawodowych wojskowych jakim był niemiecki sztab generalny.

Clausewitz w swym dziele pt. ,,O wojnie'' pisze m. in.: ,,Nie istnieją czysto wojskowe oceny (sytuacji). Prowadzenie wojny w jej zasadniczym zarysie jest polityką, która w danym

okresie posługuje się mieczem zamiast piórem. Choć narzędzie jest inne — prawidła polityki pozostają te same".

W dwóch zdaniach nie można by pełniej określić czego sztab niemiecki *nie* robił. Generałowie niemieccy zbudowali skomplikowaną maszynę niszczycielską i wyszkolili kadry zawodowych kierowców do obsługi tej maszyny. Jeżeli chodzi o politykę to wydawało im się, że jest ona ubocznym produktem raidów kolumn pancernych.

„DRUGIE POKOLENIE"

Terrence Prittie zamieścił na łamach „The Manchester Guardian" serię interesujących korespondencji z Niemiec Zachodnich poświęconych głównie młodzieży akademickiej. Jest rzeczą charakterystyczną, że najuboższą warstwą w obecnej epoce niemieckiej „prosperity" są studenci. Na uniwersytety i wyższe szkoły techniczne uczęszcza 120.000 studentów. Innymi słowy Federalna Republika liczy o 10 tysięcy studentów więcej niż Trzecia Rzesza w roku 1939. Niemal 30 tysięcy to wysiedleńcy i uciekinierzy. Około 10 tysięcy powróciło do Niemiec z niewoli. Tylko 39 tysięcy (na 120 tysięcy) otrzymuje pewną pomoc od rodziny.

Stypendia wypłacane są przez rządy krajowe. Owe stypendia wahają się od 100 DM miesięcznie do 150 DM rocznie. Żadne z owych stypendiów nie pokrywa całości kosztów utrzymania, które zależnie od miejscowych warunków wynoszą od 120 do 180 DM miesięcznie.

Tylko 12 % studentów dysponuje kwotą 150 DM miesięcznie (na co składa się zarówno stypendium jak i pomoc rodziny). Pozostałe 88 % musi pracować i zarabiać by móc się uczyć.

Bieda, a w pierwszym rzędzie fatalne warunki mieszkaniowe powodują, że zdrowotność studentów pozostawia bardzo wiele do życzenia. Badania przeprowadzone na jednym z większych uniwersytetów wykazały, że niemal połowa studentów (dokładnie 47 %) cierpi na choroby i schorzenia nerwowe.

Angielskiego obserwatora uderzył zupełny brak zainteresowania sportem. 90 % studentów nie uprawia żadnych sportów.

A jak wygląda profil polityczny współczesnego studenta niemieckiego?

T. Prittie przytacza omawiane w poprzednich numerach „Kultury" ankiety młodzieżowe i podkreśla, że młodzi ludzie odrzucają ideę „walki za ojczyznę", „nacjonalizmu", „armii narodowej" itp. Jedyną żywą ideą jest idea europejska.

Osobiście nie podzielam zachwytów nad owym „internacjonalizmem" niemieckiej młodzieży. Na skutek klęski i innych przyczyn młode pokolenie utraciło wiarę w tradycyjną hierarchię wartości i zawisło w ideologicznej próżni. Wydaje się nie ulegać wątpliwości, że pokolenie to można by zjednać dla idei europejskiej, gdyby program zjednoczenia Europy był realną polityką.

Jeżeli jednak idea federacji europejskiej zostanie pogrzebana — młode pokolenie niemieckie utraci po raz drugi w życiu wiarę w hierarchię politycznych celów i wartości. Bo jeżeli *nie* nacjonalistyczne Niemcy i *nie* sfederalizowana Europa — to co?...

Wszelka re-demokratyzacja Niemiec winna się zacząć od drugiego pokolenia. O obliczu Niemiec Jutra — odbudowanych i uzbrojonych — nie będzie decydował Dr Adenauer lecz owo 150-markowe pokolenie.

Wydaje się, że byłoby rzeczą celową i na dłuższą metę w 100 procentach opłacalną gdyby Anglicy, Fracuzi i Amerykanie zorganizowali dla młodzieży niemieckiej akcję stypendialną celem umożliwienia jej studiów na uniwersytetach angielskich, francuskich i amerykańskich. Akcja tego typu jeżeli miałaby przynieść w przyszłości rezultaty polityczne musiałaby być podjęta na poważną skalę. Wizy udzielane na okres studiów nie upoważniałyby do naturalizacji a stypendysta musiałby podpisać zobowiązanie, że po uzyskaniu dyplomu wróci do Niemiec.

Cała teoria i praktyka o tzw. re-demokratyzacji, wychowaniu itp. ma wyłącznie sens w odniesieniu do ludzi, którzy nie ukończyli jeszcze 30. roku życia. W odniesieniu do pozostałej reszty można tylko mówić o propagandzie, nudzie, makulaturze i przysłowiowym grochu o ścianę.

KOLEDŻE EUROPEJSKIE

Wrześniowy numer doskonałego ,,Europa Archiv'' zamieścił obszerny artykuł prof. dr E. Menzela o tzw. koledżach europejskich.

Istnieją w tej chwili koledże europejskie w Bruges (1949-1950), Saarbrücken (1951), Nancy (1950) i Turyn (1952). W bieżącym roku akademickim analogiczny koledż powstaje w Hamburgu.

Z powyższych instytutów tylko Bruges przewiduje ustawowo trzy miejsca (na 40) dla studentów-emigrantów z Europy środkowo-wschodniej. Również tylko w spisie wykładowców Bruges figuruje jedno samotne polskie nazwisko (prof. O. Halecki).

Między poszczególnymi koledżami istnieją poważne różnice. Bruges, Saarbrücken i Turyn przyjmują tylko młodych ludzi z dyplomem uniwersyteckim — Nancy z ukończoną szkołą średnią (matura).

Koledże obliczone są na niewielką ilość studentów. W Bruges obowiązuje klucz narodowościowy: Kraje Benelux — 5 miejsc, Niemcy Zachodnie — 5 miejsc, Francja, W. Brytania, Włochy, Państwa Skandynawskie — po 5 miejsc, Europa Wschodnia — 3 miejsca, Szwecja — 2 miejsca, Grecja, Irlandia, Austria, Hiszpania, Turcja — po 1 miejscu.

Jest rzeczą znamienną, że nie zarezerwowano choćby kurtuazyjniego jednego miejsca dla studenta jugosłowiańskiego.

Jaki jest cel tych uczelni?

Przeglądając spisy wykładów dojść się musi do wniosku, że jedynym celem, który przyświeca tym instytucjom — jest dążenie do wyrobienia w umysłowości studentów poczucia kulturalnego europejskiego kosmopolityzmu. Nacisk położony jest na elementy które łączą — z wyraźną tendencją do pomijania wszystkich zagadnień, które dzielą.

Prof. Menzel pisze w cytowanym artykule, że w jednym z koledżów — którego dyskretnie nie wymienia — studenci odmówili dyskutowania problemów Europejskiej Wspólnoty Obronnej — uważając, że jest to temat zbyt sporny...

Mamy Bergsonów, Mannów, Croce, Claudelów, Eliotów i Cezannów — lecz cóż stąd? Wiadomo, że owa więź kulturalna — choć skądinąd bezcenna — jednak nie wystarcza do zrealizowania jedności europejskiej. Cóż z tego, że Francuz i Niemiec siedząc na jednej ławie słuchają wykładu pt. ,,Tomasz Mann na tle literatury współczesnej Europy'', jeżeli nie mogą znaleźć wspólnego języka na temat Saary.

Koledże europejskie nie wypełnią swojej roli jeżeli — primo nie położą głównego nacisku na problemy sporne — secundo jeżeli nie wpoją w swych wychowanków przekonania, że każdy problem europejski ma trzy aspekty : 1. Pogląd strony w sporze — A. 2. Pogląd strony w sporze — B. oraz — 3. Kompromisowy aspekt europejski.

Koledże winny kształcić studentów w myśleniu kategoriami kompromisu europejskiego z odrzuceniem tez (przeważnie propagandowych) wysuwanych przez strony bezpośrednio zainteresowane w danej sprawie. Kulturalno-intelektualny kosmopolityzm europejski nie prowadzi do niczego.

Druga uwaga dotyczy perspektywy. Jak wynika ze spisu wykładów, który przytacza prof. Menzel — każdy wykładowca uważa za punkt honoru umieścić słowo ,,Europa'' w tytule swojej prelekcji. Wszystko dotyczy Europy i tylko Europy. A więc ,,Syndykalizm europejski'', ,,Nacjonalizmy europejskie'', ,,Partie polityczne w Europie'', ,,Polityczne instytucje europejskie'', ,,Problemy walutowe Europy'' itd., itd.

Na próżno w spisach wykładowców szuka się nazw : Związek Sowiecki, komunizm, Stany Zjednoczone.

Owa super-europejskość dyskretnie i taktownie oderwana zarówno od Sowietów jak i od Stanów Zjednoczonych jest bardzo charakterystyczna i z gruntu fałszywa.

Będzie rzeczą interesującą śledzić czy nowo powstały koledż europejski w Hamburgu ograniczy się również do szerzenia europejskiego intelektualnego kosmopolityzmu — czy też podejmie w swym programie próby interpretacji spornych problemów w które — jak wiemy — polityka niemiecka obfituje.

Koledże europejskie pogodziły się całkowicie z przepołowieniem Europy i los 100 milionów Europejczyków po tamtej stronie ,,żelaznej kurtyny'' nie należy do przewidzianego programu. W sumie — nie chodzi o przygotowanie kadr przyszłych organi-

zatorów europejskiego związku federacyjnego, lecz o wyprodukowanie nowego pokolenia kosmopolitycznych europejskich neutralistów i zwolenników Europy zawieszonej — niczym trumna Mahometa — pomiędzy sowiecką ziemią a amerykańskim niebem.

LONDYŃCZYK

O pewnej, ostatniej próbie i o zastrzelonym Bujnickim

„SPROSTOWANIE FORMALNE"

Czesław Miłosz napisał doskonałą rzecz o Teodorze Bujnickim. Portret Bujnickiego z najlepszych tego rodzaju, i „jak żywy". Natomiast od rozdziału „Wojna" i dalej, tło historyczne dowolnie wyinterpretowane przez autora. Miejscami nawet sprzeczne z prawdą. A wypadki ówczesne zasługują moim zdaniem nie tylko na „trochę zdumienia", ale, powiedziałbym, i trochę ciekawości, zwłaszcza dla kogoś kto się interesuje historią ziem własnych lub zgoła Europy Wschodniej.

Jesienią 1939 roku Wilno znalazło się po raz drugi w obrębie państwa litewskiego. Wprawdzie na czas znowu bardzo krótki. Po ośmiu miesiącach, 15 czerwca 1940 roku, wkroczyli bolszewicy i państwo to się skończyło, jak wiemy. Ale przed tym wkroczeniem, w ciągu tych ośmiu miesięcy, co się działo?!

Miłosz skwitował ów okres w kilkunastu zdaniach. A między innymi napisał:

„...neutralna Litwa pęczniała od uchodźców, a wiele nienawiści między Litwinami i Polakami szło w niepamięć".

Niestety, było zupełnie inaczej: nienawiść między Litwinami i Polakami zamiast iść w niepamięć, rosła. Wzmogła się jeszcze pod okupacją bolszewicką, a pod niemiecką doszła do punktu kulminacyjnego.

„...W Wilnie zaczęła wychodzić „Gazeta Codzienna", organ poświęcony krzewieniu hasła: „my tutejsi" to znaczy z programem niejako polskiego kantonu Litwy"...

„Gazetę Codzienną" wydawałem ja, jako jej wydawca i redaktor naczelny. Ani celem, ani programem jej nie było „krze-

Materiały drukowane w tym dziale zamieszczane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

wienie hasła polskiego kantonu'' w ramach istniejącej Republiki Litewskiej.

,,...Paradoksalny jest sam ten ostatni podryg przymierza między obywatelami powiększonej Litwy, tuż pod nożem gilotyny''...

Znowu : niestety ! Nie było żadnego podrygu przymierza. Natomiast rozwierała się coraz większa przepaść pomiędzy dążeniami poszczególnych narodowości powiększonej Litwy, istotnie pod nożem gilotyny sowieckiej.

,,...Pisząc do ,,Gazety Codziennej'' Bujnicki''...

Bujnicki nie tylko ,,pisywał'' do ,,Gazety Codziennej'. Był jednym z głównych jej stałych współpracowników i moim zastępcą, czyli niejako wiceredaktorem. Tyle ,,sprostowanie formalne''.

Tak, Bujnicki był nawet moim przyjacielem osobistym w tym czasie i przyjaźń ta skończyła się równie tragicznie, jak większość spraw tamtego kraju, o którym na uroczystych akademiach emigracyjnych deklamuje się wierszyki, że jest to rzekomo kraj ,,gdzie nawet posiana nienawiść wyrasta miłością !''

Mhm, akurat... U nas, proszę państwa obchodowiczów, na jednokonnych koleinach, czy na szerokich traktach wysadzanych brzozami przez nieboszczkę Katarzynę II, nawet do rodzonego konia nie mówiło się inaczej jak odsyłając go do cholery, lub wilkowi na pożarcie ! A już jeżeli do ludzi, to bywało, wstyd czasem powtórzyć.

HISTORIA

Historia jest bardzo długa i bardzo zawiła. Chodzi o to, że ongiś, dawno, było państwo nie tyle bogate, co wielkie i, jak na mój gust piękne, pod nazwą Wielkie Księstwo Litewskie. I oto raptem wszyscy wyrzekli się po nim sukcesji. Podręczniki historii pouczają nas, że rozbioru Rzeczypospolitej Obojga Narodów dokonały Prusy, Rosja i Austria. Co do Księstwa Litewskiego, to tragizm jego sytuacji polegał na tym, że niezależnie od administracyjnego podziału narzuconego z zewnątrz przez imperium rosyjskie, dokonywał się rozbiór wewnętrzny, niejako w drugiej płaszczyźnie, a właściwymi rozbiorcami stali się Polacy, Litwini i Białorusini. Sukcesor do całości się nie zgłosił. Po prostu nie było takiego. Każdy chciał tylko urwać dla siebie kawałek. Gdyby się pogodzili ze sobą jak Prusy, Rosja i Austria, byłby może spokój. Niestety pogodzić się nie chcieli. Stąd wynikł spór narastający w walkę otwartą o języki, o kulturę, o tradycję, o interpretację historii, o religię. Bój prowadzony był też i na pięści, na pałki po kościołach i cerkwiach świętych, na noże, na hołoble, na pistolety, aż w końcu, podczas ostatniej

wojny na donosy po urzędach Gestapo, czy NKWD. Nienawiść, według wszelkich praw natury, rodziła nienawiść.

Istniał też punkt szczytowy tych wzajemnych pretensji : terytorium, na którym ze szczególną namiętnością krzyżowały się wyciągnięte pięści, mianowicie obszar Wilna, niegdyś stolica całości. Objaw zrozumiały. Kto parceluje majątek, chciałby zawsze wykroić sobie resztówkę właśnie z dworem. W ten sposób na mapach białoruskich Wilno znalazło się na zachodnim krańcu roszczeń, na litewskich na wschodnim, a na polskich na północnym krańcu.

Wina strony polskiej jest tu może z ciężaru gatunkowego największa. Abstrahuję już od aktów formalnych, jak te zapadłe na sejmach w dniu 3 maja 1791 w Warszawie i 20 lutego 1922 w Wilnie, a likwidujące istnienie Wielkiego Księstwa Litewskiego. W dobie porozbiorowej strona polska była pierwotnie i praktycznie jedyną stroną, która mogła podjąć myśl o odrodzeniu suwerennego Księstwa i jego państwowo-kulturalno-gospodarczej niezależności. Gdyż sukcesorowie po spuściznę całości ziem Wielkiego Księstwa mogli się byli przez dłuższy czas znaleźć wyłącznie w szeregach jego faktycznych właścicieli, to znaczy szlachty, później inteligencji. Tymczasem ci ewentualni sukcesorowie zostali bez reszty spolonizowani nie tylko kulturalnie, ale przede wszystkim politycznie. W ten sposób w dobie rodzących się (wcale nie : ,,odradzających się'' !) ciasnych nacjonalizmów białoruskiego i litewskiego, prawni sukcesorowie nie tylko nie przeciwstawili tym separatystyczno-rozbiorczym programom (w stosunku do własnego państwa, czyli Wielkiego Księstwa), własnego programu szerokiej wspólnoty państwowo-kulturalnej, ale wręcz przeciwnie : wystąpili z programem trzeciego nacjonalizmu — polskiego. Względnie polskiego patriotyzmu państwowego. W rezultacie znaleźli się we własnym kraju w sytuacji drastycznej, rzeczników innego państwa, a stąd do potraktowania ich jako obcych agentów przez absolutnie przytłaczającą większość mieszkańców, był już tylko krok jeden. Powieść ,,Nadberezyńcy'' Czarnyszewicza, może służyć za charakterystyczną ilustrację ówczesnego układu sił. Jeżeli usuniemy z niej łezkę patriotyczną i wyraźną tendencję autora, staniemy w obliczu małej garstki ludzi, zagubionej w masie olbrzymiego kraju o innej mowie i innej religii. I ta garsteczka chce narzucić swój język, swoją religię, swoją administrację, swoją dominację pod każdym względem i swoje państwo. (Czarnyszewicz odbronzowiony mógłby pod pewnym względem służyć za lekturę antypolskiej propagandy białoruskiej.)

Istnieje jeszcze wina, że się tak wyrażę, pośrednia, mimowolna, strony polskiej. Oto bowiem rodzące się nacjonalizmy dawnych wspólników Rzeczypospolitej, ukraiński, litewski, białoruski, wzór do swego ,,odrodzenia'' narodowego zapożyczyły ślepo zarówno z programu, metod i haseł polskiego nacjonalizmu drugiej połowy XIX wieku. Przy tym, jak to się często zdarza, upodobali sobie jego aspekty najbardziej skrajne i paterny naj-

bardziej szowinistyczne. Do pewnego stopnia mieli więc słuszność endecy zarzucając federalistom różnego autoramentu: „Zwalczacie program endecji polskiej, a nie dostrzegacie jeszcze „gorszych endeków" wśród Litwinów i Białorusinów!" Tak, i w Litwie i na Białejrusi wyrodzili się szowiniści czasem wielokrotnie przerastający swoich mistrzów.

LUDWIK ABRAMOWICZ

W ostatecznym rezultacie, na całej przestrzeni od Połągi do Dniepru pozostał tylko jeden człowiek, Ludwik Abramowicz,, redaktor i wydawca „Przeglądu Wileńskiego", który zgłosił pretensję do sukcesji po Wielkim Księstwie Litewskim. Świadomie pomijam tu bardzo liczne koncepcje rozwiązania tzw. Idei Jagiellońskiej w ramach różnorakich polskich programów federalistycznych. Miały one bowiem tę jedną wspólną cechę, że w mniejszym lub większym stopniu (a do nich należy zaliczyć również próby Piłsudskiego), wychodziły z założenia polskiej racji stanu, polskiego interesu państwowego jako nadrzędnego, a Litwie i Białejrusi udzielały jedynie (nieraz, trzeba to przyznać, nawet bardzo dużych) korzyści i przywilejów, ale drugiego, nie suwerennego stopnia. Nie było więc mowy o powtórzeniu unii równego z równym, mimo częstego powtarzania tych słów. Poza tym z wielu tych koncepcji wyłaziła nieszczerość, chwyt, taktyka polityczna, maskowana konspiracja, jak w wypadku P.O.W. i wreszcie frazeologia („za naszą i waszą!"), która zamiast pociągnąć Litwinów i Białorusinów rozbudzała ich nieufność. Złamanie traktatu Suwalskiego i Żeligowskiada były największym błędem, który zaciążył na losach tej części Europy Wschodniej. A stworzona przez Piłsudskiego Litwa Środkowa, której wszyscy reprezentanci przy słowie „Litwa" dowcipnie przymykali jedno oko, była niewątpliwie szopką wysoce szkodliwą. W ten sposób doszło do tego, że „ideę Jagiellońską" potraktowali nacjonaliści litewscy jako formę najgorszej zdrady, a Piłsudskiego za wroga Nr 1. Słowo „unia" stało się słowem niebezpiecznym na terenie Kowna i kto go propagował mógł wylądować łacno w „Saugumie", okrutnej dla Polaków litewskiej policji politycznej. Ci z Litwinów, którzy chcieli jeszcze rozmawiać, powiadali w końcu: „Dajcie nam pogadać z rzetelnymi endekami, bo tych „gente Lithuanus natione Polonus" mamy już po dziurki od nosa!"

Pozostał na placu wileńskim sam tylko Ludwik Abramowicz, tym się różniący od federalistów polskich, że swoją koncepcję polityczną wywodził nie z polskiej, a z wielko-litewskiej racji stanu. Jego pismo mało było czytane, a później często konfiskowane. Tym niemniej „Przegląd Wileński" był świetnie i redagowany i pisany. Lekceważono go w ostatnich latach jedynie ze względu na „nierealność" programu.

Realny w latach trzydziestych on oczywiście nie był. Osobiście przypuszczam jednak, że człowiek, który by np. w maju roku 1914 przepowiadał, że za cztery lata wszystkie banknoty cesarstwa rosyjskiego będą warte śmiecia, uważany byłby za jeszcze większego wariata. Czasem trudno jest zrozumieć dlaczego pokolenie, które przeszło, jak powiadają Rosjanie: ,,ogoń, wodu i miednyje truby'' — niezliczonych przeobrażeń i przewrotów, wykazuje tyle lekceważenia dla każdej koncepcji, którą uważa za ,,nierealną'' na dzień dzisiejszy. I odwrotnie, ci sami często ludzie uśmiechem pobłażania kwitują zazwyczaj wszystko co ,,stare'', co ,,było'' i wykazują dziwnie niespożytą wiarę w ,,Nowe''; w możliwość odszukania, lub też zstąpienia z niebios tego ,,Nowego'' niby Mesjasza. Osobiście w taką nieodzowność nie wierzę. Wydaje się raczej, że ludzkość drepcze wciąż na miejscu, tyle, że forma dreptania przeistacza się czasem w latanie odrzutowcem. Reformy społeczne są niewątpliwie tylko konsekwencją zwiększającej się ilości mieszkańców globu, niczym więcej. Wszystko poza tym nie tylko się obraca, ale i przewraca do góry nogami w starych ramach. A ,,nowe'' są tylko nazwy, szyldy, definicje, w których poszukiwaniu specjalizuje się tzw. młodzież, czyli ludzie nie dorośli jeszcze do pełnego rozwoju umysłowego, a z natury rozmiłowani w oryginalnych formach zewnętrznych, czy to będą krawaty, czy hasła. Ten pęd za oryginalnością lekceważy ,,stare'' nie za ich treść, a za zużytą, a więc nie oryginalną formę. Jestem głęboko przekonany, że gdyby ktoś dziś wynalazł treść państwową, jaką rządziła się staruszka Austria, uznany byłby za geniusza. Wyłączna jej wada tkwi jedynie w tym, że — ona już była.

LEBEN UND LEBEN LASSEN

Ludwik Abramowicz umarł w przede dniu drugiej wojny światowej. Podjąłem próbę kontynuacji jego ideologii, zdając sobie całkowicie sprawę, że podejmuję ją niejako ,,prywatnie'', bez należnego (jak to się mówi) autorytetu, bez (jak to się mówi) poparcia szerszych warstw społeczeństwa, bez pieniędzy, prawie bez towarzyszy broni. Jedyny Bujnicki wydawał mi się wtedy zwolennikiem szczerym. Myślę jednak, że zarówno w życiu jednostki jak i zbiorowisk ludzkich, ważny jest nie tyle cel idealny, gdyż ideałów nigdy się nie osiąga, a idealny kierunek w jakim się dąży. Jesienią roku 1939, założyłem pismo pt. ,,Gazeta Codzienna'', w Wilnie.

Wówczas jeszcze nie mówiono o bardziej szerokim i bardziej idealnym programie, mianowicie Zjednoczeniu całej Europy. Na razie stało się tylko wszystkim jasne, że w pewnym zakątku Europy Wschodniej, bez niepodległej Polski nie może istnieć ani niepodległa Litwa, ani niepodległa Białoruś. Ba, nawet niepodległe Państwa Bałtyckie. Mieliśmy tu do czynienia z objawem po prostu organicznego powiązania. Jedyną zatem receptą na

przyszłość zdawał się powrót do starej idei wzajemnego wsparcia i wspólnoty interesów. Zgłaszając swe prawa do sukcesji po Wielkim Księstwie Litewskim (a każdy człowiek ma prawo to uczynić w stosunku do własnej ojczyzny) w Wilnie, jego stolicy, wydało mi się zarówno jedynie logicznym wyzyskaniem doświadczeń z fatalnych błędów popełnionych w latach 1918-1922, jak przede wszystkim jedynie uczciwym rozwiązaniem, podjęcie tego programu nie w reprezentacji interesów Polski, a właśnie w interesie Litwy. Ściślej mówiąc, wszystkich ziem i wszystkich ludzi zamieszkujących tereny byłego Wielkiego Księstwa. Takie miało być założenie ideowe, czy też idealne, ,,Gazety Codziennej''. Mówię ,,miało'', a nie ,,było'', gdyż, jak to zobaczymy poniżej, władze Republiki Litewskiej do głoszenia tych ideałów nie dopuściły.

Jadąc sankami pytam raz dorożkarza : jak się teraz żyje? Pomyślał chwilkę :

— Hm, jak tu panu powiedzieć... Ot, przykładem : Przy bolszewikach żyć by można, a życia nie ma. A przy Litwinach życia jest, tylko żyć nie można. — I dodał, po zacięciu konia batem : — Ech, sami by żyli i ludziom by żyć dali ! To nie, nie dajo !

Istotnie władze litewskie wydały rozporządzenie ,aby wszyscy dorożkarze w ciągu kilku tygodni nauczyli się języka litewskiego, w przeciwnym razie pozbawieni zostaną prawa jazdy ! I po tym, gadaj tu z takim o W. Księstwie... To dorożkarskie : żyć i dać żyć... miało być programem polityki wewnętrznej reprezentowanym przez ,,Gazetę Codzienną''. Zresztą przyznam, że nie znam lepszej ewangelii wewnętrznego życia politycznego jak ,,Leben und leben lassen''. Na razie chodziło więc o to, by każdy mógł mówić i pisać w swoim języku i by nikt nie rzucał kamieniem w okna budynku tylko dlatego, że jest kościołem katolickim, cerkwią prawosławną, synagogą żydowską, meczetem muzułmańskim, czy kenessą karaimską.

Tymczasem w szeregu dziedzinach życia powszedniego wydane zostały zarządzenia, jakich by skuteczniejszych nie wymyślił prowokator, gdyby mu chodziło o rozpętanie nastrojów antylitewskich. Trzy-czwarte mieszkańców Wilna (stolicy !) uznane zostało za ,,obcokrajowców'' z ograniczonymi prawami. Policja była z reguły brutalna. ,,Mokykla'', ,,Kirpykla'' itp. zamieniły szyldy : szkoły, czy fryzjera. Mój Czarny-Bór nazywał się już po kilku dniach : Juodšiliai. Kto mógł w tym trudnym języku rozeznać się w jakimkolwiek drogowskazie na skrzyżowaniu, odczytać rozporządzenie ! 90% ludności nie było w stanie napisać podania do władz. We wrześniu 1939 ,ludność i rząd Republiki Litewskiej odniosły się z rycerską kurtuazją do wszystkich Polaków uciekających przed inwazją sowiecką. Tym większą niespodziankę sprawił nagły zwrot, po wkroczeniu Litwinów do Wilna. Naturalnie ludność polska odpowiedziała odruchem szczerej złości.

A o zmierzchu gwiazda pięcioramienna sowieckiej bazy na lotnisku w Porubanku czerwoną łuną świeciła nad miastem...
W tym czasie zaczynają krążyć pierwsze prosowieckie anegdoty, tak liczne później w okresie okupacji niemieckiej. Jak i tamte nie miały one nic wspólnego z prawdą, ale wśród ludności polskiej cieszyły się dużym popytem. Na przykład: ,,Policjanci litewscy pobili człowieka. Poszedł on ze skargą na bazę sowiecką. Bolszewicy siedli natychmiast do auta, przyjechali do komisariatu i, o ttttak pobili, ale ttttak pobili Litwinów!...'' Opowiadało się to przez zaciśnięte nienawiścią wargi, a jednocześnie delektując się rewanżem, w którym bolszewik odgrywał rzekomo rolę Anioła Stróża.

,,ANTYPAŃSTWOWA''... NA DWA FRONTY

,,Gazeta Codzienna'' była równie bezsilna jak ,,Kurier Wileński''. Cenzura okazała się drakońska i bezsensowna jednocześnie. Wykreślano takie rzeczy jak np. Bujnickiemu wierszyk o wiośnie, gdyż slogan: ,,byle do wiosny'' szef prasy, niejaki p. Kemeżys, uważał za buntowniczy. Nie wolno było sprostować błędu korektorskiego z poprzedniego numeru, bo już posiadł placet cenzury. Zalecono jak najmniej używać słowa ,,śmietana'', gdyż mogło oznaczać kpiny z prezydenta Smetony. To tylko drobne przykłady. Poza tym ustawa prasowa nie dopuszczała białych plam po cenzurze, a jednocześnie przewidywała tzw. ,,privalymas'', obowiązek drukowania nadsyłanych, urzędowych notatek lub całych artykułów. Artykuł mógł zawierać tezy wręcz sprzeczne z kierunkiem pisma. Mógł być też podpisany jakimś inicjałem, którego nie wolno było zmienić, ani usunąć. Miejsce było również wskazywane z góry. Teoretycznie więc mógł to być np. wstępny artykuł, podpisany np. inicjałami naczelnego publicysty danego organu i zaprzeczać, lub wyśmiewać jego własną linię polityczną(!). Wprawdzie ten ostatni stopień szykany nie był nigdy zastosowany względem obydwuch pism polskich w Wilnie, tym niemniej w takich warunkach cenzuralnych o żadnym normalnym prowadzeniu pisma, ani tym bardziej rozwijania własnej koncepcji ideologicznej nie mogło być mowy. Naturalnie przeciętny czytelnik nie był o tym poinformowany, a raczej z reguły brał ,,privalymas'' za istotny wyraz poglądu redakcji.
Niebawem ,,Gazeta Codzienna'' stała się szczególnym obiektem prześladowań ze strony urzędu prasowego, przy jednoczesnej ostrej nagonce ze strony tego odłamu społeczeństwa polskiego, który trafnie scharakteryzował Miłosz, jako skupiający się wokół hasła: ,,nie oddamy ani guzika''. Obydwa te, przeciwstawne sobie czynniki, okazały się w praktyce równie zacięte, co — tępe. Nie używam tych określeń w przystępie wylewu żółci. Cytuję raczej jako rodzaj ciekawostki pouczającej, a zarazem charakterystyczny przykład do jakiego absurdu doprowadzić może rak ciasnego nacjonalizmu toczący pewną zbiorowość

ludzką: pogodzenie, zjednoczenie, odrodzenie własnej ojczyzny, może być uważane za pół- lub całą zdradę i to jednocześnie przez wszystkich, wrogich sobie nawzajem, mieszkańców tej ojczyzny! To trochę, co z przejawów sentymentu do W. Księstwa Litewskiego przepuściła cenzura, zwęszono po stronie polskiej jako tendencje „ugodowe" względem Litwy. Natomiast władze tej Litwy oświadczyły mi co następuje:

— Musi pan w gruncie rzeczy być wdzięczny cenzurze. Bo gdyby publicznie pisał pan to co mówi, już powinien by pan siedzieć w więzieniu za robotę antypaństwową.

— Dlaczego antypaństwową? — pytam.

— Dlatego, że dążeniem pana jest obalenie ustroju istniejącej Republiki Litewskiej. A właściwie, w ogóle jej unicestwienie drogą włączenia jako prowincji do jakiegoś zupełnie obcego tworu państwowego. Niezależnie od tego, czy chce go pan nazywać W. Księstwem Litewskim, Ruskim, czy Chińskim! Litwa jest tylko jedna, ta mianowicie, która jest. I przeciwko tej Litwie pan konspiruje.

W tym czasie „Vilniaus Balsas" wystąpił z artykułem, że w koszach redakcyjnych „Gazety Codziennej" ukrywane są te „granaty, którymi zamierza się rozsadzić Litwę!" Muszę jednak przyznać szczerze, że o ile strona litewska wiedziała przynajmniej czego chce, tzn. przekreślenia raz na zawsze wszelkich roszczeń do sukcesji po W. Księstwie („ażeby się nie roztopić w morzu słowiańskim") i zasklepienia w kraju mówiącym wyłącznie po litewsku, o tyle przeciętna opinia polska tonęła w kompletnej ignorancji, pomawiając Litwę o fantastyczne aspiracje do Grodna, do Białegostoku, do Brześcia, czyli podsuwając jej dążenia, przed którymi ta właśnie najbardziej się wzdragała i broniła. Nieporozumienia nie można było ani omówić, ani wyjaśnić publicznie w istniejących warunkach cenzuralnych. Przechodnie opluwali nawzajem własne, historyczne godła, przezywając z jednej strony Orła Białego: „gęsią", a z drugiej Pogoń Litewską: „kobyłką".

Tymczasem o zmierzchu, gwiazda bolszewicka z sowieckiej bazy czerwoną łuną świeciła nad miastem...

LIKWIDACJA ZŁUDZEŃ

Nie będę wymieniał tu z nazwisk tych wielu Litwinów o dużej kulturze, z którymi się zetknąłem. Powstał Klub Dyskusyjny, do którego należało sporo osób spośród świata politycznego i literackiego polsko-litewskiego. Z wielu ludźmi można było prywatnie i spokojnie rozmawiać na temat stosunków polsko-litewskich. Ale na temat Wielkiej Litwy — z nikim.

Ludowcy byli słabi. De facto istniały tylko dwie partie: rządząca Tautininków i opozycja Krikszczionów (Narodowcy i Chrześcijańska Demokracja). Różnice ideologiczne były dla zewnętrznego obserwatora równie trudne do rozsupłania co np.

pomiędzy antysemickim OZONem i Endecją. Pochodziły raczej z zadawnionych waśni personalnych. Po prostu nie lubili się wzajem. Obydwa stronnictwa były skrajnie nacjonalistyczne. Tego rodzaju ,,Litwa'', w której ludzie urodzeni nie tylko w Pińsku, czy Mińsku, ale w Oszmianie, Wilejce, Lidzie, czy Smorgoniach uznawani być mieli za ,,obcokrajowców'' w Wilnie (!) wydawała mi się jakąś mieszaniną absurdu i karykatury. Tymczasem do dyskusji na te tematy cenzura nie dopuszczała, nie tylko ze wspomnianych wyżej względów zasadniczych, ale uznając ją ponadto za przejaw agresji i niebezpiecznych ,,pretensji terytorialnych w stosunku do Związku Sowieckiego'', którego granica rozpoczynała się w odległości kilkudziesięciu kilometrów na wschód od Wilna i pod którego władzą znajdowały się wszystkie ziemie Litwy historycznej.

W ten sposób ,,Gazeta Codzienna'' zepchnięta została ze swych politycznych aspiracji do ograniczonej roli rzecznika i obrońcy praw ludności polskiej i po paru miesiącach różniła się od ,,Kuriera Wileńskiego'' tylko ,,antysanacyjnym'' stosunkiem do przeszłości.

Jako przyczynek dziś już historyczny, chciałbym wymienić listę zarówno stałych współpracowników ,,Gazety Codziennej'', jak i piszących do niej dorywczo. Cytuję w kolejności jak przychodzą na pamięć:

Prof. Zygmunt Jundziłł, Ludwik Chomiński, prof. Jan Otrębski, prof. Mieczysław Limanowski, prof. konserwatorium Michał Józefowicz, Franciszek Hryniewicz, dr Odyniec, Bolesław Skirmuntt, Michał K. Pawlikowski, Barbara Toporska, Konstanty Szychowski, prof. Michał Romer, kowieński korespondent ryskiego ,,Siegodnia'' i nasz, Boris Orieczkin, Fryderyk Łęski, Władysław Łepkowski, Kazimierz Luboński, Bohdan Mackiewicz, Władysław Abramowicz, Euzebiusz Łopaciński, Wacław Studnicki, Piotr Kownacki, Kazimierz Hałaburda, adw. Szyszkowski, Jakub Kowarski, Leszek Bortkiewicz, Światopełk Karpiński, Janusz Minkiewicz, Romuald Węckowicz, prof. Hurynowiczówna; z dziennikarzy warszawskich Liński, Kaffel i jeszcze kilku, których nie pamiętam. Błysnął raz nawet W. A. Zbyszewski piórem z Londynu. Wreszcie Czesław Miłosz i wtedy równie świetny, którego jeden z artykułów sprowadził nam na dobitkę pogróżki rozbitków Oeneru. No i — Teodor Bujnicki, zastępca naczelnego redaktora.

Ta lista, jeżeli nawet wyłączyć z niej dziennikarzy ściśle zawodowych, wskazuje na zespół raczej przypadkowy. Ale, jak się rzekło, w warunkach cenzuralnych, które zepchnęły ,,Gazetę Codzienną'' do sytuacji prowincjonalnego pisma polskiego, owa przypadkowość była konsekwentnym rezultatem tych warunków. Byliśmy bardziej skrępowani niż np. Białorusini lub Żydzi. Nie wolno nam było nawet cytować niektórych artykułów z kowieńskiej ,,Idisze Sztimme'', czy białoruskiej ,,Krynicy''. Nakład ,,Gazety Codziennej'' wynosił do 12 tysięcy, co na warunki wileńskie było dużo. Ale od początku, zdani całkowicie na samo-

wystarczalność, stanęliśmy w obliczu załamania materialnego wskutek nieprzewidzianych kosztów drukarni. Składało się zasadniczo cztery stronice pisma. Cenzura jednak wykreślała niejednokrotnie jedną, dwie, a czasem nawet wszystkie cztery. Podrywało to normalną kalkulację finansową. Z początkiem roku 1940, kazałem wyrzucić, już po cenzurze, inicjały pod artykułem urzędowym, ażeby osłabić jego wrażenie rzekomo artykułu redakcyjnego. Wlepiono za to potężną karę pieniężną. Wtedy od ostatecznej katastrofy uratował nas Michał hr. Tyszkiewicz, udzielając pismu kilkakrotnej subwencji finansowej.

„DOREK"

Takie to były one czasy, w których obracał się, naszkicowany przez Miłosza, Teodor Bujnicki, popularny Dorek, okrągły cały, uśmiechnięty, do serca przyłożyć. Mały, ruchliwy, przyjacielski i zabawny jednocześnie. Sądząc z przymiotów zewnętrznych, można by westchnąć nad jego losem, że wydawał się nie być stworzonym do tych surowych czasów, które nastały...

A między innymi zdarzył się taki wypadek: na przedmieściu Łosiówka zamordowany zostaje w sposób skrytobójczy policjant litewski. Po dwóch dniach studenci i litewska młodzież bojówkarska, powracając z pogrzebu ofiary, według ścisłych wzorów polskich antysemitników, rozpoczęła w mieście pogrom. Tylko, że tym razem bito nie Żydów a Polaków. Nazajutrz urząd prasowy zażądał od pism polskich, aby w sposób kategoryczny potępiły zabójstwo policjanta. Odpowiedziałem, że zgodzę się na potępienie faktu skrytobójstwa tylko pod warunkiem, jeżeli wolno będzie potępić fakt pogromu Polaków. Szesnaście godzin później decyzją Rady Ministrów (należało to do jej kompetencji) pozbawiony zostałem prawa wydawania jakichkolwiek druków na terenie Republiki Litewskiej. Większość stałych współpracowników ustępowała razem ze mną. Byłem rozczulony, gdy nawet Żyd, Jakub Kowarski, zwany przez Bujnickiego „Kubusiem", dorywczo pracujący na tłumaczeniach prasy żydowskiej, chciał przez solidarność koleżeńską ustąpić, pozbawiając się zarobków. A „Dorek"?

Bujnicki nie zjawił się przez dwa dni następne, ażeby trzeciego, już po naszym ustąpieniu, zameldować się w zupełnie zmienionej, tym razem „ugodowej" redakcji. No, cóż poradzić... Nie piszę artykułu by wylewać swe personalne żale! Być może zresztą: żona, dzieci...

Ale chronologia dalszych wypadków była następująca: pogrom, odebranie mi „Gazety" i przejście Bujnickiego na ugodowość odbyło się w końcu maja 1940 roku. Trzy tygodnie później, 15 czerwca wkroczyła Armia Czerwona. Bolszewicy przeistoczyli „Kurier Wileński" w „Gazetę Ludową", a „Gazecie Codziennej" wyznaczyli komunistycznego redaktora w osobie niejakiego Marcińczyka (nb. starego agenta sowieckiego,

który przed wojną kamuflował się w polskim harcerstwie i za pieniądze M.S.Z. rozjeżdżał po zagranicy !). I Bujnicki jest już przy Marcińczyku, taki sam : pyzaty, wesoły, uśmiechnięty. Jest tak długo, aż po wcieleniu Litwy do Związku Radzieckiego, obydwa pisma zostają w sierpniu 1940 roku połączone w jedną ,,Prawdę Wileńską''. Oczywiście z czołowym jej poetą — Teodorem Bujnickim...

W zestawieniu tych dat tkwi może pewna doza cierpkości i czytelnik posądzać może, że pod wpływem osobistego żalu do Bujnickiego, podejmuję tu polemikę z Miłoszem, skłaniając się ku poglądom tamtych, którzy Bujnickiego zastrzelili później ,,za zdradę spraw polskich''. Ech, doprawdy, nie. Raczej przeciwnie, chciałbym przedstawić sprawę możliwie beznamiętnie, a w jej aspekcie dosłownym. Otóż z relacji Miłosza nie wynika pewna rzecz bardzo zasadnicza. Ta mianowicie, że Bujnicki w ostatecznej fazie, sprzeniewierzył się mniej Polsce, niż Litwie... I ta strona komplikacji wymaga specjalnych komentarzy.

LINIA MAGINOTA, CZY LINIA MANNERHEIMA

Zacznę jeszcze raz od ,,litewskich czasów'' z zimy roku 1940. Kneblowany przez cenzurę w głoszeniu swego programu politycznego, najdłużej i najuparciej broniłem jednej z jego pozycji : pozycji antysowieckiej. I Bujnicki najbardziej mi w tym właśnie pomagał. Była wojna z Finlandią. Ile pierwsze niepowodzenia sowieckie obudziły w nas nadziei, trudno wyrazić w kilku zdaniach ! Małoż to razy jedną zapałką wzniecało się pożar pod niebiosa. Głosiłem wówczas to samo, co głosić gotów byłbym i dziś. Że mianowicie pierwszą linią obronną naszego kraju nie jest linia Maginota, a linia Mannerheima. Nie potrzebuję chyba dodawać, że większość Polaków się ze mną nie zgadzała. Sądziłem natomiast, że w tym wypadku przynajmniej nie napotkam większych trudności ze strony litewskiej. ,,Lietuvos Žinios'', ,,XX Amzius'', a nawet urzędowy organ ,,Lietuvos Aidas'', na czas wojny fińskiej podniosły nieco głowy przygniecione kolosem sowieckim i zajęły stanowisko niedwuznacznie pro-fińskie.

Z początku jakoś szło. O zwycięstwach Finlandii dawaliśmy wołowymi literami przez całą szerokość stronicy. Przydomek ,,bohaterski'' został przyklejony do wszystkiego co fińskie. Komunikaty fińskie szły kamiennym drukiem na pierwszym miejscu, a sowieckie albo wcale, albo gdzieś petitem. Niedługo. Wkrótce dano nam do zrozumienia, że co wolno prasie litewskiej to nie nam... Pan Kemežys najpierw zabronił krzyczących tytułów. Później zbyt krzyczących artykułów. Po czym zakazał kamiennego druku dla komunikatów fińskich. Następnie nakazał pierwsze miejsce dla komunikatów sowieckich. Wreszcie tępił czerwonym ołówkiem wszystkich naszych ,,bohaterów''. Skonfiskowano też na poczcie naszą depeszę gratulacyjną do posła Finlandii w Rydze, wysłaną z okazji dużego sukcesu militarne-

go. Bogiem, a prawdą trudno w tym wypadku bardzo winić rząd kowieński. Sytuacja Litwy była nie do pozazdroszczenia. Ostatnim wysiłkiem broniła swej pozornej niezawisłości gdzie tylko mogła i wymagać, aby jeszcze nadstawiała łba za tolerowanie ,,polskiej białogwardziejszczyny'' było w warunkach baz sowieckich w kraju, żądaniem istotnie, być może, przesadnym.

W takim stanie rzeczy trzeba było wiele pomysłowości, aby cenzurę jakoś podejść, obejść, i linię antysowiecką utrzymać. Bujnicki się tym bawił. Bujnicki siedział nad biurkiem i długo myślał, to machając w palcach, to postukując po zębach obsadką,aż raptem (widzę to jeszcze dziś) zwężały się jego małe oczka w uśmiechu : znaczy, że wymyślił jakąbądź nową złośliwość — antysowiecką. Czasem był to dowcipny wierszyk, czasem mapka, jakiś dyskretny sloganik.

Dnia 12 marca 1940 roku była u nas w redakcji żałoba po przegranej wojnie fińskiej. A 15 czerwca 1940 roku ,,Dorek'' był już po tamtej stronie barykady.

Pewnie, że Bujnicki nie pasował na plakat uliczny przedstawiający ,,zdrajcę narodu''. Miał na to za śmiejące się oczy i dołeczki w twarzy. Miłosz przytacza jeszcze argument, że kochał kraj rodzinny. No dobrze, jeżeli tak bardzo kochał pejzaż tej Litwy, dlaczego nie poszedł z piłą do lasu, na torfiaste łąki z łopatą, czy na jakąś inną pracę fizyczną jak wielu z nas, która by go niechybnie bardziej zbliżyła z tym pejzażem, niż pisywanie poematów w dusznej, i de facto i de jure, redakcji bolszewickiego organu ? Pamiętam jak raz, dając koniom wypoczynek na skraju lasu, leżałem ze swymi furmańskimi kolegami, wyciągnięty na mchu, gdy jeden odezwał się do sąsiada :

— Słysz, jak drzewa już po jesiennemu szumią. Kościa, a?

— Nu — przytaknął Kościa, zapatrzony w las.

Pewnie, że nie była to poezja rymowana, a jednak nią była. Czego jej brakowało w formie, nadrabiała zapachem grzybów i borówkowych liści. I pamiętam jeszcze, jak rozgarniając brudnym paznokciem źdźbła mchu, uśmiechałem się w duszy, choć były to najcięższe czasy sowieckiego, przymusowego obywatelstwa. Większość ludzi woli naturalnie siedzieć w fotelu, niż leżeć na najmiększym nawet mchu. Pochodzi to z ich, rzekomo darowanej im przez Pana Boga, wolnej woli. Bujnicki wybrał fotel przed biurkiem bolszewickiej gazety.

O CZYM SIĘ W OGÓLE NIE MÓWI

Miłosz popełnia zasadniczy błąd historyczny, przytaczając jakby na okoliczność łagodzącą, te strofki Bujnickiego, w których pisał on niegdyś : ,,Litwo, ojczyzno... Litwo... Litwo...'' Jest to raczej okoliczność nie odciążająca Bujnickiego, a obciążająca jego przejście do obozu sowieckiego. Za czasów bolszewickich słyszało się bowiem często następujące dialogi : ,,A ten X. lub Y. czy to człowiek aby pewny ?'' — ,,Taaak ! To przecież Lit-

win". W istocie złożyło się w ten sposób, że nie jakaś jedna warstwa społeczna, ale dosłownie cała Litwa była wrogiem bolszewików, straszną, mściwą, kułacką wrogością. Zaszedł bowiem podczas ostatniej wojny ciekawy paradoks historyczny na terenie wschodniej Europy. Od Petsamo po Morze Czarne, wszystko co było demokratyczne z pochodzenia, a więc narody chłopskie jak Białorusini, Ukraińcy, oraz te państwa które zdobyły sobie niezależność niejako ,,rękami czarnymi od pługa", Finlandia, Estonia, Łotwa, Litwa : uznały za wroga Nr 1 — Związek Sowiecki. W jednolitym łańcuchu, jedynie ,,szlachecka" Polska i ,,kapitalistyczne" Czechy, za wroga Nr 1 uznały Trzecią Rzeszę a z Sowietami zawarły przymierze.

Nie jest zatem prawdą, co lubi zarzucać propaganda sowiecka Polsce, że dokonała ona rzekomo antysowieckiego wyłomu w przeciwniemieckim froncie sojuszników. Było właśnie odwrotnie : Polska dokonała istotnie wyłomu w solidarnym froncie, ale Europy Wschodniej, i — na korzyść Sowietów. Słowa ,,wyłom" używam tu może w sposób niezgrabny. Wydawać się bowiem może, iż przesądzam z góry kąt widzenia i słuszność stanowiska jednej ze stron. W tej chwili jednak nie chodzi mi o to, kto miał słuszność, a kto jej nie miał, tylko o ustalenie pewnego dziejowego stanu faktycznego. O słuszności nie można też sądzić na podstawie rezultatów końcowych. Obydwie strony przegrały. Jedna dlatego, że przegrali Niemcy, druga dlatego że wygrały Sowiety. Ale ten stan faktyczny jaki był, jest dziś rzeczą drażliwą. Nie mówi się o nim wcale, albo go przekręca, a co najmniej naciąga dla użytku polityki bieżącej. Odcinek wojenny na naszych ziemiach jest krótki i dramatyczny. Po wojnie jednak nikt nie jest zainteresowany w przekazaniu całej prawdy historycznej, tej mianowicie, że tzw. ,,bratnie narody" wspólnoty państwowej dawnej Rzeczypospolitej, znalazły się nie po tej samej, a po przeciwnej stronie barykady. Wszystkie nieszczęścia obydwuch okupacji nie zbliżyły ich do ,,Korony",a odwrotnie : pogłębiły jeszcze przepaść. Dowódca A.K. gen. Rowecki ściśle formułował w swej ocenie sytuacyjnej przesłanej do Londynu w roku 1942, stwierdzając :

A. Wróg: 1) Niemcy, 2) Litwini, 3) Białorusini, 4) Ukraińcy.
B. Sojusznicy: 1) Alianci Zachodni, 2) Sowiety.

Bo taki był schemat podziału istotnie.

Dalsze komentarze i odchylenia interpretacyjne nie zmieniają tu właściwie stanu faktycznego. Jego zasadniczych ram, w jakie był ujęty.

A przypomnieć nikomu teraz nie jest przyjemnie. Ani Polakom, którym ten szczegół psuje trochę obraz legendy ,,Jagiellońskiej", ani Litwinom i Białorusinom, ze względów, których nie potrzebuję chyba przytaczać, tak dalece po roku 1945 obowiązywała cały świat polityczna legitymacja — antyniemiecka. (Czytałem niedawno w jednym z pism białoruskich, że Białorusini bili Niemców pod Monte Cassino... Kto ich tam nie bił !

Polacy, Anglicy, Amerykanie, Francuzi, nawet Włosi, a teraz jeszcze — Białorusini!) Zapewne więc nieprzyjemnie jest i Miłoszowi, który ilekroć pisze o Litwie, czyni to w najpiękniejszej prozie, świadczącej o głębokim do tego kraju sentymencie.

PRYWATNA TAJEMNICA TEODORA BUJNICKIEGO

W tym przedstawieniu rzeczy czytelnik mógłby słusznie dostrzec pewną niekonsekwencję. Wypadałoby bowiem, żeby Bujnicki zastrzelony został nie z polskiego, ale raczej z litewskiego sądu kapturowego. Niewątpliwie, tak by wypadało. Tamte czasy obfitowały jednak w mnogość różnorakich powikłań szczególnych. Po pierwsze orientacje prosowieckie zahaczały się w społeczeństwie polskim z antysowieckimi w przedziwny chaos, zanim w roku 1944 nie obmyślono urzędowej formuły: ,,Sojusznik naszych sojuszników''. Po drugie, po Katyniu, specjalnie na terenie podziemia wileńskiego, doszło do lokalnego revirement politycznego, które po raz pierwszy w tej wojnie omal nie doprowadziło do porozumienia polsko-litewskiego, zanim instrukcje z Warszawy nie przywróciły konwencjonalnego biegu wypadków. Te sprawy zresztą również objęte są zakazem wydanym przez urzędową legendę, więc wymagałyby znacznie szerszych komentarzy. Po trzecie wreszcie, wydaje się, że Bujnicki padł pośrednio ofiarą swojej decyzji, której tajemnicy nie znam. Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w roku 1941, ani nie uciekł do Moskwy, jak wielu, ani też nie przeskoczył do polskiego podziemia, jak wielu. Dwoma nogami wprost z ,,Prawdy Wileńskiej'' jak np. Konstanty Szychowski; jak polityczny kolporter prasy sowieckiej były oenerowiec Dziarmaga, który w podziemiu sprawował później ważną funkcję; jak jeden z filarów tej ,,Prawdy'' niejaki Wroński, który objął w podziemiu sekretariat tajnej ,,Niepodległości'' i nawet ferował wyroki i rozdawał ,,patenty na patriotyzm'' ze swego nowego stanowiska. (Później się powoływali na Piłsudskiego, że to niby wysiedli ,,z czerwonego tramwaju na przystanku ,,Niepodległość''.)

Bujnicki, po którym tego raczej można było oczekiwać niż od innych, Bujnicki, który przeskakiwał kolejno z antysowieckiego ,,krajowca'', do prolitewskiego ,,ugodowca'', a stąd do sowieckiego pisarza — nie wysiadł. Może odczuł nagle jakąś zgagę; jednym słowem nie wiem dlaczego. Nie rozmawialiśmy ze sobą już od dawna, a zresztą podczas okupacji niemieckiej mieszkałem na wsi i miałem tylko luźną styczność z Wilnem. Zdaje się, że czekano na niego przez czas pewien. A on, nagle: Nie. Gdyby zechciał, jak inni w roku 1941, ocknąć się dobrym patriotą'', byłby sobie żywy zapewne i uśmiechnięty po dawnemu, prawdopodobnie dziś w tzw. ,,reżymowym'' Związku Literatów.

ZAKOŃCZENIE

Znam relację o śmierci Bujnickiego już od dawna. Wydaje mi się posiadać wszelkie cechy autentyczności. Choć słyszałem też, że Bujnicki umarł na tyfus, czy na ślepą kiszkę. Ostatecznej prawdy nie dojdzie się zapewne nigdy. Zbyt dużo legend zastępuje dziś wiele prawd. A o ile kiedyś wolno było wątpić nawet w prawdę, o tyle aktualnie za sceptycyzm okazany pewnym legendom, można grubo oberwać, i to nie po jednej, a po obu stronach Żelaznej Kurtyny. Ta, o zabójstwie Bujnickiego otrzymała już patent autentyczności, z jednej strony dla wykazania ,,tężyzny moralnej'', z drugiej dla uczczenia ofiary ,,rodzimej reakcji''. Tak więc, z braku konkretnych danych, które by ją obalały, nie mam powodu jej zaprzeczać.

Pozostaje tylko pytanie: po co, ściśle biorąc, Bujnicki został zastrzelony? W drugiej połowie roku 1944, moc ludzi nadawałoby się do zastrzelenia w Wilnie. Chociażby marszałek Czerniakowski i wszystkie armie jego ,,3-go białoruskiego frontu''. Tymczasem przeciwnie, wiemy, że im pomagało się przecie w zdobywaniu Wilna, a później przyjmowało zaproszenie na wspólny bankiet. Oficjalna wersja stwierdza, że: ,,Sielanka trwała nie długo'', bo potem przywódcy A.K. zostali aresztowani. Tym samym jednak potwierdza się fakt, że taka sielanka — była. Nie wydaje się tedy, aby sylwetka bezbronnego Bujnickiego powodowała w niej większą dysharmonię niż uzbrojonych bolszewików. Naturalnie Bujnickiego zastrzelić było nieskończenie łatwiej. Ale czyżby to był jedyny powód? Nie sądzę, nie sądzę. Przyczyny należy szukać w chaosie niekonsekwencji tamtych czasów, rozplątać który byłyby w stanie jedynie wszechstronne, żmudne dociekania obiektywne, ale nigdy jednostronna, subiektywna wersja na użytek popularyzatorski.

Leży gdzieś zakopany, na ziemiach b. Wielkiego Księstwa Litewskiego i nie ja Bujnickiego będę żałował. Tylko kraju tamtego mi szkoda. Olbrzymi, rodzinny kraj. Płaski pod duhą chmurnego nieba, lesisty, wietrzny.

Józef MACKIEWICZ

Architektura wczoraj i dziś

I

Na współczesną architekturę polską patrzę oczami emigranta. Łączą mnie z nią nieuchwytne nici sentymentu, a dzieli bardzo realnych 9.000 kilometrów w linii powietrznej. Pomostem i jedynym środkiem poznania są wydawnictwa, które od czasu do czasu dochodzą mnie z Kraju. Z drugiej strony oddalenie daje możność wyrobienia sobie w różnych sprawach sądu bardziej obiektywnego od poglądu tych kolegów, którzy biorą czynny udział w życiu zawodowym Kraju i mimo woli nasiąkają miejscowymi doktrynami i przesądami.

Wydawnictwa, którymi dysponuję — jak popularna *Stolica* lub bardziej fachowy album pod redakcją Garlińskiego pt. *Architektura polska* 1950-1951 — zawierają niewiele dobrego materiału ilustracyjnego, który by dawał pojęcie o nowych, już zbudowanych, gmachach i dzielnicach. Roi się za to w tych wydawnictwach od zdjęć propagandowych, przedstawiających rozkopane ulice i robotników przy pracy. Dla porównania ze *Stolicą* warto tu wspomnieć o innym piśmie, które wychodziło przez pewien czas w Niemczech (przed ostatnią wojną), a spełniało podobną nieco rolę jak *Stolica*. Mam na myśli *Neu Frankfurt,* który był technicznym i fotograficznym reportażem z ciekawego eksperymentu urbanistycznego — budowy nowego mieszkaniowego miasta-satelity w odległości kilkunastu kilometrów od historycznego Frankfurtu nad Menem. W *Neu Frankfurt* podawano konkretne osiągnięcia i w ten sposób najskuteczniej propagowano swoją sprawę. Pismo to znane było wśród architektów-urbanistów i mieszkaniowców całego świata. O nowej Warszawie nie wie nikt prawie po tej stronie żelaznej kurtyny, z wyjątkiem garstki Polaków, specjalnie interesujących się odbudową Kraju. Album pt. *Architektura Polska* 1950-1951 zawiera bogaty materiał graficzny, pozwalający nieźle się zorientować w tendencjach projektowania architektonicznego, panujących obecnie w

Kraju. *Architektura* wreszcie to pismo kontynuujące tradycje wydawanego przed ostatnią wojną miesięcznika *Architektura i Budownictwo*, z tym, że obecnie posiada ona odmienną okładkę i większy format. Zawartość jednak jest bardzo podobną. Jak przed wojną głównym tematem są konkursy architektoniczne, co nie daje pojęcia o pracach już wykonanych. Dobrze skonstruowanych reportaży fotograficznych, ukazujących poza głównymi elewacjami budynków także ciekawsze ich fragmenty, wnętrza itp. reportaży, jakie z reguły przynoszą pisma architektoniczne na Zachodzie, w polskich wydawnictwach nie ma zupełnie.

Obiektywizm nakazuje stwierdzić, że większość niedomagań polskiej publicystyki architektonicznej nie jest zjawiskiem nowym. Nie mieliśmy nigdy wydawnictw z tego zakresu, które stałyby na poziomie zachodnio-europejskim. Nie mieliśmy ich, niestety, w ciągu 20-lecia naszej niepodległości, kiedy budowaliśmy nie tylko dużo, ale i dobrze, i kiedy mieliśmy czym pochwalić się przed zagranicą. Jedyne przedwojenne polskie pismo architektoniczne, które mogło być określone jako periodyk, gdyż ukazywało się w mniej więcej równych odstępach czasu *Architektura i Budownictwo* służyć mogło jedynie konsumpcji wewnętrznej(*). Do tej roli sprowadzała je nie tylko strona językowa (tłumaczeń ani streszczeń w językach obcych nie było), lecz przede wszystkim tematyka — konkursy architektoniczne, które wypełniały lwią część wydawnictwa, a które nie mogły zainteresować cudzoziemca.

Nie ulega wątpliwości, że jedną z ważnych przeszkód w rozwinięciu u nas publicystyki architektonicznej na poziomie zachodnio-europejskim, czy amerykańskim były nasze skromne zasoby finansowe i to w dużej mierze było przyczyną, że nie stała się ona rzecznikiem naszej propagandy zagranicą. Przykro jest jednak stwierdzić, że nawet tam, gdzie mogliśmy i powinniśmy byli pokazać światu nasze osiągnięcia, to jest w różnych międzynarodowych publikacjach w rodzaju *The Architect's Yearbook, Modern Flats* itp. Polska albo nie jest reprezentowana wcale, albo przedstawiona jest w sposób nieudolny, który nie przynosi nam zaszczytu. W rezultacie o polskiej architekturze prawie nic dziś na zachodzie nie wiadomo, i ani jeden polski architekt nie osiągnął międzynarodowego rozgłosu mimo, że było i jest wśród nich wiele ludzi o wybitnych zdolnościach. Pod tym względem jesteśmy w gorszym położeniu od niektórych mniejszych narodów Europy środkowej i wschodniej, że wspomnę choćby Finlandię, która dzisiaj posiada dwie gwiazdy międzynarodowe pierwszej wielkości w osobach architektów Eljel Saarinen i Aalto Alvar.

(*) W powyższym okresie ukazało się również parę zeszytów pisma *Architekt* wydanych w Krakowie a ponadto Towarzystwo Reformy Mieszkaniowej wydawało swój organ, który jednak posiadał bardzo skromną szatę zewnętrzną i nie dawał prawie żadnych ilustracji architektonicznych.

2.

Nie mam zamiaru pisać tu historii nowoczesnej architektury polskiej, chociaż temat ten byłby pociągający. Sądzę jednak, że są inni, bardziej do tego powołani i dysponujący większym zasobem czasu i niezbędnego materiału. W tym miejscu pragnę jedynie dla porównania z chwilą dzisiejszą przypomnieć te czasy, kiedy architektura u nas nie była powołana do spełniania ,,ideologicznych zadań'', narzucanych przez państwo, ani też nie potrzebowała stosować się do wytycznych zjazdów partyjnych — kiedy rozwijała się w atmosferze wolnego współzawodnictwa i zupełnej swobody i dzięki temu osiągała doskonałe wyniki.

Rozpowszechniony u nas system konkursów dawał każdemu architektowi pole do wykazania swoich możliwości i w dalszej konsekwencji dostęp do największych zadań budowlanych. O ileż byliśmy bardziej demokratyczni na tym polu od ,,wzoru demokracji'' za jaki uważa się Anglia i jej imperium, gdzie skomercjalizowana architektura staje się ekskluzywną domeną nielicznych klik i ustosunkowanych jednostek !

Entuzjazm, z jakim po pierwszej wojnie światowej przystępowaliśmy do organizowania odzyskanego państwa, wyładował się między innymi w budownictwie. On też ułatwiał pokonywanie rozlicznych trudności, które występowały na każdym kroku. Przemysł budowlany — nawet ten skromny, który przed 1914 rokiem istniał na ziemiach polskich — był częściowo zniszczony, nasze zasoby finansowe katastrofalnie małe, a nasz personel techniczny na wszystkich szczeblach bardzo niewystarczający. Na szczeblu najwyższym, to jest projektodawczym, mieliśmy ludzi bardzo różnorodnych pod względem wykształcenia, doświadczenia technicznego i ustosunkowania się do architektury jako sztuki. Takie zbiorowiska spotyka się chyba jedynie w krajach kolonialnych, gdzie zbierają się imigranci z całego świata.

Byli więc między nimi absolwenci politechniki lwowskiej, jedynej przed pierwszą wojną światową wyższej polskiej uczelni technicznej, politechnik niemieckich i austriackich, wyższych uczelni francuskich, belgijskich i innych krajów zachodnich; byli absolwenci niemieckich szkół technicznych o poziomie trudnym nieraz do określenia i austriackich szkół przemysłowych — z tytułem inżyniera ,,nabytym na podstawie praktyki'' — którzy byli architektami i przedsiębiorcami jednocześnie; byli wreszcie rosyjscy ,,akademicy'', inżynierowie budowlani oraz technolodzy o wykształceniu technicznym ,,uniwersalnym'', a więc obejmującym również architekturę. Wielu spomiędzy tych ludzi było architektami z nazwy tylko i przypadku. Ale byli i inni — ci z prawdziwego zdarzenia, z których część dała się już poznać w Polsce pracami swoimi przed pierwszą wojną światową.

Spomiędzy tych ostatnich wyszło pierwsze grono profesorów architektury Politechniki Warszawskiej. Oni kładli podwaliny pod rozwój sztuki architektonicznej w Polsce dwudziestole-

cia międzywojennego, i im — wszystkim już dzisiaj nieżyjącym — pragnę poświęcić tutaj słów parę.

Zacznę od Rudolfa Świerczyńskiego jako tego z profesorów, przy którym młodzi adepci architektury stawiali pierwsze kroki w projektowaniu i który miał największy chyba wpływ na ich rozwój oraz kierunek ich myślenia architektonicznego. Nieraz zastanawiałem się nad tym czemu Świerczyński wpływ ten zawdzięczał, brak mu bowiem było wielu cech, które ,,robią'' profesora. Przede wszystkim nie był dobrym wykładowcą. Wykłady jego ograniczały się do kilku na początku roku akademickiego, których nikt nie brał zbyt poważnie. Jego korekta, prowadzona półsłówkami i mocno zaprawiona ironią i sarkazmem na pozór nie dawała studentowi wielu pozytywnych wskazówek jak projektować. Może decydowała więc jego duża kultura architektoniczna, dzięki czemu te właśnie nieliczne wskazówki były bardzo istotne — oraz fakt, że ,,maglował'' on studenta tak długo, aż ten wydobył z siebie maksimum swoich możliwości i doprowadził swoją pracę do właściwego poziomu.

Świerczyński był głównie odpowiedzialny za wprowadzenie na Politechnikę warszawską nowego kierunku w projektowaniu, opartego o przenikające z Zachodu prądy, które wkrótce odrodzić miały cały świat sztuki i architektury. Studentów, którzy przedstawiali mu projekty w stylach historycznych zbywał takimi uwagami jak : ,,Do tego żeby kopiować z podręczników i katalogów odlewów gipsowych nie potrzeba studiować na politechnice'', lub : ,,Od architekta z akademickim wykształceniem wymaga się pracy twórczej, a nie bezmyślnego naśladownictwa'', itp. Uwagi te trafiały w sedno sprawy i efekt swój odnosiły.

Jako architekt Świerczyński był doskonałym planistą, natomiast — moim zdaniem — słabszym w plastycznym kształtowaniu swoich budynków. Jego analityczne nastawienie dawało doskonałe wyniki w rozwiązywaniu rzutów poziomych, które odznaczały się logiką i funkcjonalnością — zdawało się jednak hamować jego wyobraźnię.

W rezultacie kształt zewnętrzny jego architektury — zawsze poprawny — robi często wrażenie wymęczonego i pozbawionego świeżości i polotu. Można to obserwować w takich budynkach, jak Bank Gospodarstwa Krajowego w Alejach Jerozolimskich i Ministerstwo Komunikacji na ulicy Topolowej w Warszawie.

Profesor Jankowski, który prowadził dział projektowania miejskiego, był w swoich metodach pedagogicznych przeciwieństwem Świerczyńskiego. Wysoki, o typie ascetycznym, był on uosobieniem łagodności. Radził studentowi dobrotliwie i pomagał mu gdy widział, że ten boryka się z trudnościami. Jako architekt należał on do najbardziej czynnych na terenie Warszawy przed pierwszą wojną światową. Według jego projektu wybudowany został w tym okresie dom handlowy Braci Jabłkowskich, jeden z najwybitniejszych obiektów architektonicznych

naszej stolicy okresu eklektycznego, Bank Komunalny na placu Napoleona i liczne bloki mieszkalne.

Poza tymi dwoma do grona profesorów architektury należeli m. in.: Czesław Przybylski wybitny architekt, którego najbardziej znanymi dziełami są Teatr Polski, Teatr Komedia i Ministerstwo Wojny w Warszawie oraz teatr w Kaliszu; Tadeusz Tołwiński pierwszy polski teoretyk budowy miast i autor znanej książki *Urbanistyka,* wreszcie prof. Lalewicz i prof. Oskar Sosnowski, kierownik Zakładu Architektury Polskiej.

Wspomniana wyżej książka Tołwińskiego jest, o ile mi wiadomo, jedyną drukowaną pracą naukową, jaką grono warszawskich profesorów architektury mogło się poszczycić. Ta ich abstynencja od pióra wyglądała dość dziwnie gdy ją porównać z aktywnością, jaką np. wykazywali na tym polu profesorowie niemieccy. Była ona wręcz niezrozumiała jeśli chodzi o Zakład Architektury Polskiej prof. Sosnowskiego. Instytucja ta w ciągu dwudziestu lat swojego istnienia zinwentaryzowała — głównie dzięki pracy studentów — większość naszych zabytków architektury. Olbrzymi materiał różnego rodzaju rysunków, planów i fotografii spoczywał w archiwum Zakładu, niedostępny dla nikogo z wyjątkiem garstki współpracowników prof. Sosnowskiego. Przez cały czas swojego istnienia Zakład Architektury Polskiej nie opublikował nic z tego materiału. O ile wiem Zakład ten w dalszym ciągu istnieje i jak dawniej nic nie publikuje.

Jeden z największych naszych architektów początku obecnego stulecia, Adolf Szyszko Bohusz, był profesorem Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, działał więc poza Warszawą. Linia jego twórczości biegła po dziwnej krzywiźnie. W swoim wczesnym okresie lwowskim sprzed pierwszej wojny światowej był on najbardziej chyba postępowym architektem na tamtejszym terenie. W okresie 20-lecia międzywojennego, kiedy nowe kierunki funkcjonalizmu przenikać zaczęły do Polski z Zachodu i kiedy olbrzymia większość naszych architektów włączyła się do tego nurtu Szyszko Bohusz pozostał na uboczu. Szedł swoją własną drogą pośrednią. Atmosfera zabytkowego Krakowa, gdzie mieszkał, oraz praca restauratorska na Zamku wawelskim wiązały go coraz bardziej z polską architekturą historyczną. Był jednym z najlepszych znawców tej architektury i w swojej twórczości czerpał obficie z tej skarbnicy. Spuściznę przeszłości interpretował w sposób świeży i oryginalny i był może najbliższym znalezienia nowoczesnego jej wyrazu.

Wśród młodszego pokolenia architektów mieliśmy wielu ludzi o dużych zdolnościach i silnych indywidualnościach artystycznych. Dziś, gdy ogląda się ich prace, reprodukowane w pismach krajowych, przykro jest widzieć jak jeden po drugim poddaje się niwelującej działalności walca totalitarnego urzędowego szablonu.

3

Aby zrozumieć dziwne drogi, jakimi kroczy po ostatniej wojnie architektura w Europie środkowej, a więc także w Polsce, trzeba spojrzeć dalej — tam skąd płyną wytyczne do wszystkiego, co dzieje się na tych terenach. Trzeba zapoznać się z poglądami i na problemy architektury, jakie w chwili obecnej panują w Rosji. Poglądom tym dał niedawno wyraz naczelny architekt Moskwy Wlasow w wywiadzie, udzielonym korespondentowi amerykańskiego pisma *Progressive Architecture* w czasie międzynarodowego kongresu architektonicznego, który odbył się w Warszawie. Oto streszczenie wypowiedzi Wlasowa :

,,Tak zwana architektura nowoczesna była kiedyś dobrze rozwinięta w Rosji. Jednak ta architektura uproszczonych form nikogo nie zachwycała — oprócz samych architektów. W roku 1927 wybudowano według projektu Corbusiera pałac Centrosojuzu. Budynek ten wymaga pięć razy tyle opału, co normalny. Obecna architektura rosyjska jest przystosowana do potrzeb i życzeń ludu. W Związku Sowieckim lud ma decydujący głos, a obecne Sowiety są unią wielu narodów. Architektura konstruktywistyczna nie była aprobowana przez narody sowieckie.

,,Związek Sowiecki buduje nową kulturę opartą na tradycjach różnych narodów wchodzących w skład państwa.''

Wlasow podkreślił następnie głęboki podziw, jaki architekci sowieccy mają dla starożytnej Grecji, a także renesansu włoskiego, sztuki bizantyńskiej oraz gotyku. Z tego studium przeszłości — wnioskuje Wlasow — musi rozwinąć się nowa architektura klasyczna.

W dalszym ciągu wyraził się on z uznaniem o odbudowie Warszawy, o widocznym nawiązaniu do historycznej tradycji miasta oraz o rozmachu z jakim realizowany jest plan zabudowania oraz jego wielkie arterie przelotowe.

Konkludując Wlasow zaznaczył, że wszyscy architekci, malarze i pisarze Związku Sowieckiego uważają za swój pierwszy obowiązek wyrażać w swoich dziełach życzenia ludu.

Na powyższy wywiad odpowiedziało kilku czołowych architektów różnych narodowości, osiadłych obecnie w Stanach Zjednoczonych. Oto streszczenie ich wypowiedzi :

Walter Gropius (Niemiec, jeden z twórców współczesnego funkcjonalizmu w architekturze) wywodził w ten sposób : Podejście Wlasowa do architektury jest tak bardzo odmienne od zachodniego, że dyskusja z jego argumentami staje się zupełnie jałowa. Jeżeli twierdzi on np., że naród w Sowietach decyduje o tym, jaka ma być architektura, to nie wiem co ma on na myśli, skoro mówi o kraju, gdzie wszystko odbywa się na rozkaz z góry... Wlasow powiada również, że architektura w Związku Sowieckim stawia sobie za cel zaspokojenie życzeń i potrzeb ludu. Jest to pusty komunał. Bawiąc w Rosji w roku 1933 i później, mając sposobność zapoznania się z przykładami architektury sowieckiej, nie mogłem stwierdzić, by liczono się tam wiele

z potrzebami ludu. Widziałem wielkie bloki mieszkalne z olbrzymimi kolumnami klasycznymi, odbierającymi światło małym okienkom. Widziałem wielopiętrowe komienice bez windy. Można sobie wyobrazić uczucia kobiety w ciąży, która mieszka na szóstym piętrze takiego domu.

Nowoczesna architektura lat dwudziestych nie mogła zapuścić korzeni w Rosji, gdyż nie miała za sobą przemysłu budowlanego, który by zaopatrywał ją w niezbędne akcesoria i materiały.

Skoro Wlasow rozwodzi się nad podziwem, jaki architekci sowieccy mają dla starożytnej sztuki greckiej, starej sztuki rosyjskiej, gotyku a nawet architektury 18-go i 19-go (!) wieku — to mogę na to odpowiedzieć, że przekonałem się, iż ci, co najbardziej podziwiają architekturę historyczną, z reguły nie imitują jej.

Nie mogę uznać współczesnego budownictwa rosyjskiego za architekturę w pełnym tego słowa znaczeniu. Jest to stosowana archeologia, podejście powierzchowne, nie dające wyrazu głębokim przemianom dnia dzisiejszego.

Frank Lloyd Wright (jeden z najwybitniejszych współczesnych architektów amerykańskich), po rozprawieniu się ze swoimi amerykańskimi kolegami i Corbusierem (co czyni przy każdej zdarzającej się okazji) stwierdza, że Sowiety mają długą drogę do odbycia nim będą mogły w zakresie architektury, metod budowlanych i materiałów osiągnąć dzisiejszy poziom zachodni.

Pietro Belluschi (znany architekt i dziekan wydziału architektury uniwersytetu Massachusetts) po dłuższym wywodzie teoretycznym konkluduje: Jeżeli chodzi o samokrytycyzm (o którym wspomina Wlasow) to my na zachodzie mamy również dosyć powodów do bicia się w piersi z powodu naszych grzechów (w dziedzinie architektury), mamy jednak uzasadnioną nadzieję, że w końcu stworzymy dla siebie fizyczne otoczenie godne wolnych ludzi a nie teatralne kulisy dla kukiełek.

Tyle *Progressive Architecture*. Ta wymiana poglądów, choć bardzo charakterystyczna, daleka jest jednak od wyczerpania problemu. Dotyka ona go raczej dość powierzchownie.

W moim przekonaniu istota sprawy leży w tym, że architektura nie jest jak malarstwo, poezja czy muzyka ,,czystą sztuką''. Ma ona nie tylko dostarczać ,,rozkoszy dla ducha'' oraz ,,karmić zmysł piękna'', innymi słowy działać na stronę psychiczną człowieka, lecz ma do spełnienia bardzo ważne praktyczne zadanie społeczne. Spełnia to zadanie przy pomocy środków, jakich dostarcza jej wiedza techniczna. Toteż te dwa czynniki — społeczny i techniczny — miały od wieków decydujący wpływ na kształtowanie się form architektonicznych. Te czynniki były źródłem cichej walki z anachronizmami 19-go wieku — tych zmagań, które rozpoczęły się w świecie architektonicznym około 50 lat temu, a doszły do najsilniejszego napięcia w trzeciej dekadzie naszego stulecia.

Nowa ideologia, która wówczas powstała, przeorała całkowicie dawne poglądy na cele współczesnego budownictwa, wskazała nowe środki osiągnięcia tych celów i stworzyła nowe kryteria piękna. Architektura, jaką dzisiaj mamy na Zachodzie, nie jest więc jedynie jakimś nowym kierunkiem estetycznym, odpowiednikiem kubizmu, expresjonizmu, dadaizmu czy jednego z wielu izmów, jakie pojawiają się i przechodzą w innych sztukach plastycznych. Jest ona logicznym, acz spóźnionym wynikiem postępu wiedzy i przemian społecznych, jakie miały miejsce w 19-tym stuleciu. Spóźnionym, gdyż w ciągu całego tego stulecia architektura nigdy nie mogła nadążyć za tym postępem. Nie zdobyła się ona na nic więcej jak tylko na stosowanie starych formuł do nowych i dotychczas nie spotykanych zadań. Nie umiała skorzystać z nowych możliwości, jakie dawały jej współczesne zdobycze techniki, nie umiała wyciągnąć wniosków ze wskazań, jakie dawał jej postęp higieny, nie umiała rozwiązać problemów, jakie stawiał przed nią niespotykany przedtym rozwój miast i centrów przemysłowych oraz związanych z tym nowych zagadnień społecznych. Architektura 19-go wieku to mniej lub bardziej udatne odgrzewanie starych kotletów — to stosowanie form zapożyczonych z pałaców 16-go, 17-go i 18-go wieku do nowych wielopiętrowych bloków mieszkaniowych, form gotyku do drapaczy chmur, to maskowanie stalowych konstrukcji wielkich hal dworcowych klasycznymi kolumnadami, to wreszcie pokrywanie kaloryferów centralnego ogrzewania, muszli klozetowych rokokową ornamentyką ,,żeby było ładniej'', itp.

W wyniku długoletnich badań i doświadczeń architektów, inżynierów i naukowców stosujemy obecnie na zachodzie formy budowlane odpowiadające potrzebom współczesnego życia i wzmożonym możliwościom, jakie daje nowoczesna technika. Wprowadzenie tych form odbyło się w drodze walki z wstecznymi tendencjami różnych akademii, stojących na straży skostniałych tradycji i konserwatywnych grup, kurczowo trzymających się bezpiecznej i spokojnej drogi kopiowania ,,uznanych'' wzorów historycznych. Te właśnie konserwatywne grupy doszły obecnie znowu do głosu w Rosji Sowieckiej. To więc co dzieje się dzisiaj na tym odcinku zarówno tam jak i w krajach satelickich nie jest niczym innym jak tylko powrotem do anachronizmów 19-go wieku pod pokrywką nowych haseł ,,realizmu socjalistycznego'' i oznacza wyrzeczenie się zdobyczy o których wyżej mowa. Faktu tego nie zmieni najkunsztowniejsza dialektyka ani powoływanie się na wolę i upodobania ludu.

4

W powojennych dziejach architektury polskiej dają się wyraźnie rozróżnić dwa okresy. W pierwszym, kończącym się na przełomie roku 1949 i 1950, architektura stoi poza wpływem polityki. W tym okresie architekci dysponując względną swobo-

dą projektowania nawiązują do tradycji przedwojennych oraz do linii, po jakiej dzisiaj kroczy architektura na Zachodzie. W drugim wpływ partii i państwa staje się dominujący. Zdarzeniem przełomowym zdaje się być narada architektów-członków P.Z.P.R. w czerwcu 1949, kiedy zostały ustalone wytyczne „do podjęcia walki o przełom w twórczości architektonicznej, o realizację architektury socjalistycznej, do walki przeciw kosmopolityzmowi i formalizmowi i konstruktywizmowi, do walki o nawiązanie do spuścizny architektonicznej polskiej i światowej."

W pierwszym okresie, o którym wyżej mowa odbywa się szereg konkursów na duże gmachy państwowe i półpaństwowe w Warszawie, a więc konkurs na gmach P.K.O. na terenie położonym między ulicami Marszałkowską, Świętokrzyską, Jasną i Moniuszki, na gmach Ministerstwa Przemysłu i centralnych zarządów przemysłowych przy placu Trzech Krzyży, na Bank Polski przy placu Napoleona, na centralny dom handlowy u zbiegu Alej Jerozolimskich i ulicy Brackiej i wiele innych, których wymienianie zajęłoby zbyt wiele miejsca.

Warto tu jednak wspomnieć jeszcze o dwóch konkursach, nie tyle może ze względu na ważność zadania, którego dotyczyły, ile na rezultaty jakie przyniosły. Przedmiotem pierwszego z nich było opracowanie projektu na gmach „Centrali tekstylnej" w Łodzi. Pierwsza nagroda przypadła architektowi J. Krugowi, którego praca posiada niezwykłe walory architektoniczne. Projekt o założeniu asymetrycznym utrzymany jest zdecydowanie w charakterze współczesnej architektury zachodniej, a ujęcie wieżowca zdradza pewne wpływy brazylijskie. Praca ta zwróciła między innymi uwagę architektów angielskich, którzy po wojnie odwiedzili Polskę i w rezultacie projekt znalazł się na łamach organu Królewskiego Instytutu Brytyjskich Architektów *The Architects Journal*. Byłoby bardzo ciekawe ujrzeć ten budynek w stanie realizacji. Niestety jest to jedna z wielu budowli, których fotografii nie udało mi się odkryć w żadnym z pism krajowych, mimo że — sądząc po dacie przystąpienia do projektu — powinien on być już wykończony.

Drugą wyróżniającą się pracą konkursową był projekt gmachu Głównego Urzędu Statystycznego na Mokotowie, opracowany przez arch. Romualda Gutta. Zwraca w nim uwagę bardzo ciekawe ujęcie planu w formie trzyramiennej gwiazdy. Jest to zdaje się najciekawsza praca powojenna nestora naszych architektów i pioniera nowej szkoły projektowania w Polsce — jednego z niewielu jeszcze czynnych, którzy rozpoczęli swą pracę zawodową przed pierwszą wojną światową. Niestety i on poddał się już dzisiaj „linii partyjnej", zapoczątkowanej parę lat temu.

Powyższy plan Gutta przypomniał mi się, gdy zobaczyłem fotografię modelu gmachu Unesco w Paryżu zaprojektowanego przez znanego Marcela Bruera. Według koncepcji bardzo podobnej, choć może bardziej konsekwentnej w ujęciu architektury zewnętrznej.

W pierwszym okresie powojennym, bo w 1948, odbyła się we Wrocławiu znana wystawa Ziem Odzyskanych, połączona z pierwszym ,,Kongresem Pokoju''. Rozłożyła się ona u stóp, a częściowo wewnątrz znanej pruskiej ,,Jahrhundertshalle'', będącej jednym z wybitnych osiągnięć architektury niemieckiej początku naszego stulecia.

Wystawa ta zarówno w swojej szacie architektonicznej, jak i graficznej i dekoracyjnej była kontynuacją naszych przedwojennych tradycji. Na podwórku architektonicznym wyraźnie wiał jeszcze wówczas wiatr zachodni. Ale pogoda zaczyna się zmieniać pod koniec 50-lecia. Znamiennym przykładem tej zmiany był w parę lat po Wrocławiu zaprojektowany polski pawilon na wystawę rolniczą w Moskwie. Projekt ten utrzymany w stylu polskiego renesansu bardziej przypomina ratusz w mieście prowincjonalnym niż budynek wystawowy.

Album *Architektura polska* 1950-1951, opracowany przez B. Garlińskiego ma głównie na celu spopularyzowanie nowego stylu wśród architektów i społeczeństwa polskiego. Przedstawionych tu jest 32 obiektów, których dobór dokonany został na podstawie ,,analizy wyników publicznej krytyki fachowej'', przeprowadzonej w latach 1950-1951. W wydawnictwie znalazły się więc projekty :

1) Wyróżnione w ubiegłym okresie w czasie dyskusji ,,za słuszność poszukiwań metod realizmu socjalistycznego w architekturze''.

2) Wysunięte w wyniku dyskusji jako ,,budzące zastrzeżenia w stosunku do słuszności poszukiwań realizmu socjalistycznego przy zasadniczej ocenie pozytywnej''.

3) Obiekty nagrodzone Państwowymi nagrodami artystycznymi.

Nie wiem jak ,,realizm socjalistyczny'' ma się przejawiać w formach architektonicznych, przegląd powyższych projektów nasuwa jednak dość niespodziewane wnioski. Okazuje się mianowicie, że zasada twórcza, która dzisiaj obowiązuje w Polsce ludowej najlepiej wcieliła się w budownictwie końca 18-go i początku 19-go wieku, kiedy architektura nawracała do form klasycznych, a więc w okresie, kiedy głównymi klientami architektów byli mniej lub więcej despotyczni monarchowie, magnateria, bogate mieszczaństwo i szlachta. Na tej architekturze wzoruje się większość projektów wyróżnionych przez fachowych krytyków za ,,słuszność poszukiwań'' i ona stawiana jest za wzór do naśladowania.

W propagandzie na rzecz nawrotu do ,,spuścizny architektonicznej światowej i narodowej'', jaka odbywa się obecnie w Polsce szafuje się obficie zarzutem internacjonalizmu pod adresem współczesnej architektury Zachodu. Wynikałoby z tego, że zarzut ten nie stosuje się do stylów historycznych. Pomija się więc milczeniem fakt, że renesans, barok, rokoko, empire itd. były równie międzynarodowe, jak współczesny funkcjonalizm (czy jak kto woli konstruktywizm). Prawda, że formy stylów

historycznych ulegały ,,barbaryzacji'' w różnych krajach Europy nabierając barw lokalnych, ale to samo da się już dzisiaj powiedzieć o kierunku współczesnym. Można się o tym przekonać porównując jego formy w takich krajach jak np. Brazylia i Holandia. Te same zasady i doktryny znalazły tam odmienny wyraz z powodu różnic klimatu, stosowania różnych materiałów budowlanych, i różnego temperamentu narodowego. To są czynniki, które stwarzają narodowe formy architektury, powtarzające się natomiast w historii próby tworzenia jej na rozkaz nie odnosiły nigdy skutku.

Przeglądając liczne projekty architektoniczne, opracowane ostatnio w Polsce w stylach historycznych, w większości wypadków trudno dopatrzyć się w nich jakichkolwiek cech narodowych. W wielu z nich natomiast przejawia się wyraźnie wpływ neoklasycyzmu, który w początku naszego stulecia modny był wśród niektórych architektów niemieckich z Ostendorfem na czele. Dobrym przykładem tego kierunku w Polsce jest wybudowany przez Niemców przed pierwszą wojną światową teatr w Poznaniu. W świetle obecnych teorii socrealizmu w budownictwie należałoby uznać budynek ten za wzór do naśladowania dla polskich architektów.

Przyjrzyjmy się teraz bliżej projektom, zawartym w omawianym albumie. Na pierwszym miejscu widnieją fotografie i plany gmachu centralnej siedziby P.Z.P.R. w Warszawie projektu arch. Kłyszewskiego, Mokrzyńskiego i Wierzbickiego. Potężny ten budynek położony jest w samym sercu miasta, bo na narożniku Alei Trzeciego Maja i Nowego Świata, gdzie dawniej mieścił się jeden z departamentów ministerstwa komunikacji. To położenie przemawiało za rozwiązaniem asymetrycznym z podkreśleniem narożnika. Ale tego rodzaju założenia nie zdają się być uznawane obecnie w Polsce. Toteż budynek posiada układ osiowy, choć z punktu widzenia urbanistycznego jest to zupełnie nieuzasadnione. Jednym z powodów zdaje się być fałszywe przekonanie, że symetria jest warunkiem monumentalności. W tym wypadku nie pomogła ona jednak do osiągnięcia tego efektu, gdyż o monumentalności decydują w dużej mierze proporcje, a te — jak słusznie nadmienił sąd konkursowy — nie zostały tu szczęśliwie rozwiązane.

Ujemnie również oceniono sposób potraktowania płaszczyzn budynku, który określono jako suchy i schematyczny. Trudno mi się zgodzić, by sam ten fakt miał stanowić ujemną cechę kompozycji architektonicznej. Czyż nie jest bowiem schematyczną każda kolumnada klasyczna? Różnica między nią a jej nowoczesnymi odpowiednikami polega na tym, że pierwsza otrzymała sankcje historii, wobec czego schematyzm ten się aprobuje; druga zaś operuje formami nowymi i dla wielu jeszcze niezrozumiałymi.

W jednym z najwybitniejszych budynków monumentalnych naszych czasów — ministerstwie oświaty w Rio de Janeiro — znany architekt brazylijski, Oskar Niemeyer, zastosował sche-

matyczny podział na przestrzeni 14-tu pięter. Jego bogatej grze świateł i cieni przeciwstawił gołe bezokienne płaszczyzny ścian, urozmaicone w jednym tylko miejscu grupą rzeźbiarską ,,Prometeusza'' dłuta J. Lipschitza. Umiejętne zastosowanie kontrastów i doskonałe proporcje zadecydowały w dużej mierze o niezwykłym efekcie monumentalności, jaki tu został osiągnięty.

W gmachu P.Z.P.R. architektura o rytmicznym podziale na drobne prostokąty pokrywa wszystkie zewnętrzne ściany i przez to wywołuje wrażenie monotonii. Brak jej skali, a co najważniejsze brak spokojnych gładkich płaszczyzn, które przez kontrast uwydatniałyby jej bogatą plastykę. W tych warunkach również efekty rzeźbiarskie, którymi wzbogacono fasady, nie odnoszą pożądanego efektu, nie mają bowiem spokojnego tła, niezbędnego dla ich uwydatnienia.

Unikanie gładkich płaszczyzn jest wspólną cechą większości fasad reprodukowanych w albumie, w szczególności wszystkich biurowców. Dziwny ten *horror vacui* przypomina podobną tendencję, panującą na początku naszego stulecia, którą Niemcy trafnie określili jako *die Verziehrungswuht* — szał ozdabiania. Oznacza ono wyrzeczenie się jednego z niezbędnych i wysoce efektownych elementów architektury. Dodatnio pod tym względem wyróżnia się projekt gmachu państwowej instytucji o dźwięcznej nazwie ,,Piprohut'' w Gliwicach, projektu arch. J. Kruga, tego samego, który w roku 1948 uzyskał pierwszą nagrodę za projekt gmachu Centrali Tekstylnej w Łodzi. Architekt ten potrafi umiejętnie i z pełnym umiarem traktować zewnętrzne płaszczyzny budynku. Jednak różnica w charakterze tych dwóch projektów jednego autora, wykonanych w odstępie zaledwie dwóch lat, jest uderzająca i najlepiej ilustruje zmianę w doktrynie architektonicznej, jaka nastąpiła w tym czasie.

Budynki widowiskowe zajmują poważne miejsce w programie budowlanym Polski powojennej, toteż obok licznych kin w budowie znajdują się obecnie trzy wielkie gmachy teatralne: Teatr Opery i Baletu (dawny Teatr Wielki) i Teatr Żołnierza w Warszawie oraz teatr w Łodzi. Oba teatry warszawskie utrzymane są ściśle w stylu klasycznym, teatr w Łodzi posiada charakter bardziej nowoczesny.

Architekturę Teatru Opery i Baletu przesądzał fakt, że jest to częściowo rekonstrukcja obiektu zabytkowego. W obecnym ujęciu architekta Bohdana Pniewskiego gmach ten rozszerzony został bardzo znacznie i posiada teraz dwa fronty: jeden dawny — niezmieniony, zwrócony do Placu Teatralnego i drugi od strony obecnego Placu Zwycięstwa (dawnego placu Marszałka Piłsudskiego).

Inny problem przedstawiał pod względem architektonicznym zupełnie nowy Teatr Żołnierza, projektowany przez arch. R. Gutta. Prawda, że postawienie go na dawnym placu ,,za Żelazną Bramą'', a więc na zakończeniu historycznej osi saskiej (biegnącej od Krakowskiego Przedmieścia poprzez dawny plac i ogród Saski) stawia go w zasięgu tradycji historycznych i na-

kłada pewne ograniczenia na swobodę projektowania. Z tego jednak nie wynika, by najwłaściwszym rozwiązaniem było — jak to widać z projektu — kopiowanie wzorów klasycznych.

Jako przykład innego i w moim przekonaniu właściwszego podejścia do podobnego zagadnienia służyć może odbudowa zniszczonej podczas wojny gotyckiej katedry w Coventry w Anglii. Na odbudowę rozpisano konkurs, w wyniku którego wybrany został projekt odbudowy i rozszerzenia świątyni. Praca nagrodzona utrzymana jest w charakterze zmodernizowanego, uproszczonego gotyku. Harmonia form jest utrzymana, widać jednak na nowej części wyraźne piętno 20-go wieku. Jest to ujęcie oryginalne, z którego przebija wysiłek twórczy architekta i unikanie podrabiania antyku.

Spomiędzy wymienionych powyżej projektów na gmachy widowiskowe najbardziej oryginalne i swobodne ujęcie architektoniczne posiada projekt teatru w Łodzi w opracowaniu arch. Rutkowskiego. Wyróżnia się on dobrymi proporcjami brył i umiejętnym stosowaniem kontrastu między bogatą architekturą kolumnową części frontowej, a spokojnymi płaszczyznami tylnego bloku, zawierającego scenę i zascenie. Jest to chyba najlepszy ze znanych mi monumentalnych projektów architektonicznych, utrzymanych w ramach forsowanego obecnie w Kraju, nowego kierunku. Nie ustępuje mu prawie projekt wspomnianego uprzednio ,,Piprohutu'' (arch. J. Kruga).

5

Najwięcej zastrzeżeń w świetle teorii przyjętych na Zachodzie budzą niektóre rozwiązania problemów mieszkaniowych w obecnej Polsce, w szczególności najbardziej rozreklamowana tzw. ,,reprezentacyjna'' Marszałkowska Dzielnica Mieszkaniowa. Już samo określenie ,,reprezentacyjna'' brzmi podejrzanie — i bardzo nie współcześnie. Łączenie pojęcia reprezentacji z mieszkalnictwem, a szczególnie blokami wielomieszkaniowymi kojarzy się z bardzo nieświetną w dziejach architektury i urbanistyki epoką *,,fin de siècle''*, kiedy za wspaniałością fasad mieściły się najczęściej słabo oświetlone i niehigieniczne ,,apartamenty''.

Od tego czasu poglądy na zadania budownictwa mieszkaniowego uległy zasadniczej zmianie i fałszywe małomieszczańskie ambicje przestały decydować o tym jak rozwiązywać tego rodzaju problemy. Na to żeby je zdefiniować nie potrzeba powoływać się na wyklęty dziś w Polsce funkcjonalizm. Wystarczy oprzeć się na zwyczajnej logice i zdrowym rozsądku.

Czegóż więc wymaga od swojego mieszkania współczesny człowiek wielkiego miasta? Nie jest z pewnością największą jego troską, by mieć fasadę domu, w którym mieszka, oblepioną gipsowymi, czy nawet kamiennymi festonami, renesansowymi pilastrami, alegorycznymi rzeźbami itp., szczególnie jeśli dzieje

się to ze szkodą dla potrzeb rzeczowych. Myślę natomiast, że olbrzymia większość zgodzi się ze mną, że znacznie ważniejsze jest, by mieszkanie zaspakajało potrzeby higieny i wygody, by dawało możliwie najlepsze warunki odpoczynku po pracy i zgiełku wielkomiejskim, by wreszcie dawało mieszkańcom możność odetchnięcia świeżym powietrzem i spojrzenia na zieleń trawy i drzew.

Marszałkowska Dzielnica Mieszkaniowa nie spełnia prawie żadnego z tych postulatów. Podporządkowano tu potrzeby mieszkaniowe monumentalnej (!) kompozycji urbanistycznej. Zaprojektowano pałacowe, neo-paladiańskie fasady, które jak kulisy teatralne maskują to, co za nimi się mieści to jest drobne mieszkania robotnicze.

Mieszkania te umieszczono na górnych piętrach, podczas gdy na parterze znajdują się sklepy i kawiarnie. Stworzono więc typowo 19-towieczną kombinację mieszkaniowo-handlową, która z reguły prawie nie daje zadawalających wyników. Wszystko to postawiono przy najruchliwszej arterii przelotowej miasta. Na nowym ,,Placu Konstytucji'', przy którym większość domów zgrupowano, nie przewidziano prawie zupełnie zieleni, natomiast ustawiono pretensjonalne ,,kandelabry'', które swoją bombastyką godnie żdobić by mogły rzymski *Altare Del Popolo*.

Na szczęście nie wszystkie warszawskie bloki i osiedla mieszkaniowe są ,,reprezentacyjne''. Są inne, mniej pretensjonalne, bardziej rzeczowo zaprojektowane i lepiej spełniające swoje zadanie. Między nimi wyróżnia się Osiedle na Kole swoim nowoczesnym ujęciem i ciekawymi nowymi metodami konstrukcyjnymi, jakie tu zastosował architekt Szymon Syrkus, jeden z niewielu, którzy nie poddali się dotąd partyjnej linii w architekturze.

6

Wypada na koniec słów parę poświęcić warunkom, w jakich pracują obecnie architekci w Polsce. Sprawa ta w książce Garlińskiego przedstawiona została w następujący sposób:

,,Powołane pod koniec 1948 roku Państwowe Biura Projektowe przejęły gros zadań projektowanych, eliminując indywidualne prywatne pracownie architektoniczne na rzecz zespołowych współczesnych metod pracy. Z końcem 1949 roku to przeobrażenie charakteru twórczości architektonicznej można było uważać za dokonane, a w związku z tym całokształt opracowań projektowych inwestycji planu sześcioletniego znalazł się w gestii przedsiębiorstw państwowych.''

Tak więc zawód architekta przestał w Polsce istnieć jako wolny. Rozwój ten był nieunikniony w warunkach, w których państwo — w swojej wielopostaciowej formie rozmaitych urzędów i zetatyzowanych przedsiębiorstw — jest jedynym klientem architekta.

Może to budzić różne zastrzeżenia z punktu widzenia swobody projektowania, ale tutaj przypominają mi się słowa znanego architekta amerykańskiego Pietro Belluschi cytowane w innym miejscu tego artykułu : ,,I my na Zachodzie mamy dosyć powodów do tego, by bić się w piersi z powodu naszych grzechów''.

Mamy i to bardzo poważne ! — choć nie można tego generalizować, gdyż sytuacja w różnych krajach Zachodu nie jest jednakowa. Weźmy więc drastyczny przykład krajów imperium brytyjskiego, gdzie wolność zawodu architekta istnieje w swojej najbardziej chyba niepokalanej formie. W tym systemie konkursy są rzadkością. ,,Zdobywanie'' robót pozostawione jest więc zapobiegliwości i zdolnościom handlowym architektów. Gra to bardzo misterna, nie zawsze czysta i co najważniejsza tak absorbująca, że tym, którzy biorą w niej udział, pozostawia bardzo mało czasu na zajmowanie się właściwą architekturą. Tą więc zajmują się asystenci. Wytwarzają się więc w ten sposób dwa typy architektów : businessmana, który załatwia interesy, ,,poluje'' na roboty, podpisuje projekty i inkasuje honoraria — i białego murzyna, który ślęczy przy rysownicy, opracowuje projekty dla swoich pracodawców i stale pozostaje w ukryciu. W tych warunkach o powodzeniu architekta znacznie więcej decyduje spryt handlowy, niż zdolności architektoniczne. Obie więc te ostateczności są dalekie od doskonałości.

Miejmy nadzieję, że w interesie architektury jako sztuki wyłoni się z tych dwóch krańcowości jakiś system pośredni, w którym będzie mogła ona swobodnie się rozwijać, a architekt przestanie być akwizytorem robót. Byliśmy bardzo bliscy tego ideału w Polsce przedwojennej.

Stanisław PIOTROWSKI

"Tant pis, ou, ha, ha!"

Jednym z najdziwniejszych paradoksów komunizmu w jego historycznej ekspresji jest protekcja jaką się cieszy ,,sztuka ludowa'' i ,,folklor'' w krajach, które rzekomo przeszły przez ,,rewolucję''. Jako idea, komunizm jest polityczną formą ,,science-fiction''. Ostatecznym celem miał być przecież przetworzony, inny człowiek, szlachetny aeronauta, wolny i dobry mag elektryczności. Symbolika komunizmu, to rusztowania, zapory, turbiny. Na rusztowaniach krząta się mrowie ludzkie w kombinezonach, zanim przyjdzie złoty wiek i — czy ja wiem? — greckie tuniki z nylonu. Świat falansteru, ,,Szklanych Domów'' Żeromskiego, ,,Białego Domu'' Tuwima, w każdym razie idealnej przeźroczystej wieży bez grzechu pierworodnego. W symbolice komunizmu realnego pejzaż jest zgoła odmienny. Wśród migawek tajnej policji, neoklasycznych kamienic, obozów wychowania politycznego i przymusowej pracy, widzę arenę z tańcami. Bajecznie kolorowy tłum mołojców, dziewczyn jak maliny, kozaków, sokołów i krakowiaków tworzy jak w kalejdoskopie ,,żywe figury''. Powiedzmy że to finał wielkiego filmu pt. ,,Miłość Ojczyzny''; oko aparatu patrzy z wysoka, barwne ludzkie kropki układają się raz to w gwiazdę, raz to w orła czy w reszkę.

Wiemy oczywiście wszyscy co należy do bazy, co do nadbudowy. Folklor, to, jak język i nacjonalizm, praktyczna dla rządzących baza. I, może w pierwszym rzędzie, godziwa rozrywka dla rządzonych. Komunistyczny blok przypomina Bretanię, Tyrol i Alto Adige przez to forsowne krzewienie ludowych tańców, rzeźbienie ludowych laleczek. Zamiast ,,Nowego Ładu'' — nowy ,,Ład''.

Należy z miejsca przyznać, że przynajmniej pod tym względem komunizm natrafił w Polsce na podatny grunt. Od ,,Krakowiaków i Górali'', poprzez Skoczylasa, Stryjeńską, dożynki w Spale i Warchałowskiego, tradycja ,,sztuki ludowej'' w doniczce rozwijała się równolegle z naturalnym dogorywaniem ludowej sztuki. A już specjalnym względem cieszyły się — i to całkiem spontanicznie, szkolnie, harcersko- i wojskowo-ludowe chóry. Gdziekolwiek zbierze się kilkunastu młodych Polaków, tam snadnie rozebrzmi, na głosy: ,,tamwe - soła - koło - myjka - dotańcaprzygryyywa''.

Czytelnik domyślił się z mych wstępnych uwag, że nie jestem zwolennikiem ,,folkloru''. Z paryskiej premiery w Palais de Chaillot wyszedłem pod urokiem ,,Mazowsza''. Na olbrzymiej scenie blisko sto dziewczyn i chłopców, ustawionych

w czterech rzędach na piętrzących się klockach o ludowych motywach. Żadnej dekoracji. Wspaniałe kostiumy. Szczęśliwie uniknięto stylizacji, niemal zawsze okropnej w zastosowaniu do sztuki ludowej. Nie wpadnięto w ,,artystyczną'' pułapkę stryjeńszczyzny, ani w wulgarną pułapkę wiedeńskiej operetki. Stroje są uproszczone, ale autentyczne : mazowieckie wesele zieleni się i czerwieni kurpiowskim pasiakiem, łowicką spódnicą, jak żywy obraz Matisse'a. Już przy pierwszej pieśni sala jest pozyskana. Tyle w tym śpiewie zapału, prostoty, ujmującego humoru, że sama żywotność wykonawców działa jak magnes. Kurtyna zapada, po chwili znów się podnosi : klockowe podium usunięto w głąb, aby zrobić miejsce tancerzom. Każdy taniec jest świetnie rozwiązany kolorystycznie : subtelne odcienie różnych amarantów, malin, czerwieni, śmiałe akordy, które cieszyłyby i Matisse'a i Vuillarda.

Taniec ? Właściwie po prostu świetnie wykonane oberki, olendry, tramblanki, żurawie, powolniaki. Mistrzowskie dożynki. Choreograficznej inwencji nie ma prawie wcale. To nie balet, ale właśnie ,,zespół tańców ludowych''. Pozwala to tancerzom na naiwną może, ale uroczą naturalność. Chłopaki wywijają hołupce, przytupują z ogniem, dziewczyny przeginają kibić, kokieteria ich jest wstydliwa, zarumieniona. Myślę, że to sekret powodzenia ,,Mazowsza''. Widziałem sporo zespołów ,,szkockich'', ,,baskijskich'', ,,hiszpańskich''. Choreograf zawsze paraliżował ten zapał, który jest koniecznym ingredientem europejskiego folkloru. Wymyślne figury, ,,uartystycznienie'' rytmów, które są piękne właśnie na weselu, na odpuście, na sali karczmy, oberży czy gospody — wszelkie zakusy ,,baletowe'' bywają w tej dziedzinie fatalnym fiaskiem. Zespół ,,Mazowsza'' dokonał nielada sztuki : ohydne teatrzysko w brzydkim antystylu lat trzydziestych przemieniło się raptem w karczmę ,,paleszajską'', w odpust pod Trocadéro.

Zaletą chóru jest także zapał wykonawców. Wokalnie ,,Chór Wojska Polskiego'' w Szkocji stał o wiele wyżej. ,,Mazawsze'' operuje mniej subtelnym układem głosów, unika ,,efektów''. Ale grzmi potężnie, basy i soprany śmieją się w zawody, śmieją się oczy, trzęsą warkocze i płowe czupryny. Szkoda, że ludowe melodie są często ,,aranżowane''; wydaje mi się że na tym nie zyskują.

Z tekstami jest większy kłopot. Baza bazą, ale poezja ludowa uznaje dwa główne motywy : miłość i własność prywatną. Daleko tu do agromiast, kołchozów i traktorów. Czyja przepióreczka uciekła w proso ? — Moja ! Ale ,,Mazowsze'' nie forsuje socrealistycznej nuty. Tyle że wybrane piosenki przeważnie zalecają pracowitość i zdrowy rozsądek. No i do uroczej piosenki ,,Cyraneczka nie ptak, dziewczyna nie ludzie'' zakradła się nagle zwrotka o tej dziewczynie,

,,jak na traktooorze
jadzie i oooorze !''

Dodatkiem w najgorszym guście jest ni to slow-fox, ni to tango, ni to Własta, ni to Dana, który sentymentalnie i żenująco rzępoli :

„Ukochaaany kraj —
Umiłowany kraj..."

Program nazywa to „Chanson populaire". W każdym razie trudno za to winić bierutową nadbudowę : pasuje to zbyt dobrze do naszej własnej szlagierowej bazy.

Dziwnym pomysłem było uraczenie francuskich słuchaczy francuskimi tekstami naszych piosenek. Osiągnięto tu niezrównane efekty mimowolnego komizmu, a słuchacze, pełni sympatii dla wykonawców, mieli źródło dodatkowej uciechy. Udało się zwłaszcza tłumaczenie „Trudno, u, cha, cha !' (paroles françaises de Henri Rostworowski) :

„Bon est celui qui travaille
Pour cela t'est un'canaille.
Tant pis, ou ha ha,
Tant pis, ou ha ha !"

Byłbym ciekawy tekstu chińskiego podczas występów „Mazowsza" w Pekinie i Szanghaju.

Na zakończenie, cały zespół zaintonował wspaniałą „Marsyliankę". Od dawna tak jej nie śpiewano we Francji. „Aux Armes, Citoyens !" ogniście wzywały basy Kurpiów i soprany Łowiczanek. Postępowa publiczność stała, może wzruszona, może zażenowana. Śpiew wolności rozbrzmiewał w wielkiej sali, chóralnym nieporozumieniem.

K. A. JELEŃSKI

Koegzystencja i handel

Od początków maja br., gdy na tych łamach pisaliśmy na temat ,,handlować czy nie handlować z krajami komunistycznymi'', zaszły w dziedzinie międzynarodowych stosunków gospodarczych fakty, które znów aktualizują ten temat. Przede wszystkim, z upływem przeszło sześciu miesięcy od szczytowego punktu ówczesnej dyskusji światowej, którym była debata w Izbie Gmin i rozmowy angielsko-amerykańskie, nastąpiło dalsze wyklarowanie się perspektyw handlu Wschód-Zachód; następnie lista towarów, objętych zakazem wywozu do bloku sowieckiego, została zrewidowana, wreszcie ostatnio w Strassburgu sprawę handlu z krajami zza żelaznej kurtyny rozpatrywano z punktu widzenia interesów tych krajów. Równocześnie w związku z bieżącymi wypadkami politycznymi ożywiła się w centrach świata dyskusja na sławetny temat koegzystencji w której czynnikowi gospodarczemu przypisuje się rolę istotną.

W JAKIM STOPNIU I DLACZEGO ZLIBERALIZOWANO HANDEL Z KOMUNISTAMI?

Zakaz eksportowania do bloku sowieckiego szeroko rozumianych dóbr strategicznych wszedł w życie w styczniu 1952. Sankcje odnośnej ustawy amerykańskiej (tzw. Battle Act) brzmiały bardzo surowo, ale w praktyce, wbrew rozpowszechnionym sądom, ustawa nie była wykonywana zbyt rygorystycznie tzn. nie odbierano pomocy amerykańskiej krajom, które przekraczały ustawę. Rząd, a nawet senat USA wykazywały pewien liberalizm w stosunku do aliantów w tej sprawie, przede wszystkim z wyrozumiałością odnosząc się do sprawy handlu Hongkongu z Chinami. Z drugiej strony na niemałą skalę szedł szmugiel towarów zakazanych, uprawiany w różnych formach przez różne firmy, przy czym nierzadko słyszało się twierdzenia, że nawet towary amerykańskie trafiały do Chin, reeksportowane tam przez

Japonię. Mimo takiego wykonywania w praktyce zakazu Battle Actu, wywarł on doniosły wpływ, silnie redukujący zakres handlu wolnego świata z blokiem sowieckim, o czym pisaliśmy w poprzednim artykule.

Niemal od pierwszej chwili wejścia w życie embarga, alianci USA zaczęli walkę o powiększenie zakresu legalnego handlu z blokiem sowieckim, dowodząc że chodzi nie o maksimum, lecz o strategicznie konieczne minimum redukcji odnośnego handlu. Nacisk na rząd amerykański był silny, a i w samej Ameryce krańcowe opinie na rzecz utrzymania zdecydowanego embargo stawały się rzadsze. Prawda, że zachodziły i dalej wypadki tak jaskrawe jak pamiętna interwencja senatora McCarthy'ego przeciwko nieamerykańskim okrętom, wiozącym towary do krajów komunistycznych albo jak ostatnie wezwanie senatora Kerstena do zupełnego zerwania stosunków z blokiem sowieckim itd. Ale faktem jest, że jedynie rozstrzygającą stała się ,,resortowo'' zresztą właściwa opinia Stassena, dyrektora US Foreign Operations Administration. Jego opinia przesuwała sprawę w kierunku liberalizacji embarga. Stopniowo opinia amerykańska zaczęła oswajać się z poglądem, że handel niestrategiczny ,,niekoniecznie'' jest szkodliwy i że ,,wymuszenie przerwania całego handlu Wschód-Zachód byłoby błędną drogą do zapewnienia światu pokoju''. Równało się to uznaniu prawa Europy Zachodniej do nieskrępowanego handlu niestrategicznego oraz pewnemu zrozumieniu dla postulatów europejskich co do potrzeby zrewidowania listy embargo.

Rokowania krajów europejskich z rządem USA w sprawie rewizji embargo były jednak długie i trudne i dopiero w lipcu podczas wizyty brytyjskiego ministra handlu w Waszyngtonie zapadła zasadnicza decyzja, która weszła w życie w sierpniu. Od tego czasu obowiązuje zasada, że nie wolno eksportować do bloku sowieckiego nie ,,w ogóle'' dóbr strategicznych, lecz tylko takich, które by mogły *poważnie* wzmóc jego zdolność do agresji, podczas gdy aksjomatem stała się pożyteczność powiększania handlu niestrategicznego. Pogląd ten, którego wyrazem jest sierpniowa decyzja międzynarodowa co do rozluźnienia restrykcji handlowych, leży w płaszczyźnie niedogmatycznej. Jest zgodny z przewidywaniami, które wyraziliśmy na tych łamach, mówiąc o ,,restrykcjach w świetle zdrowego rozsądku''. Taki też niewątpliwie będzie duch dyskusji genewskich, które mają mieć miejsce na ECE (Europejska Komisja Ekonomiczna ONZ) w październiku.

Mówiąc o redukcji embarga, musimy odróżnić dwie nowe listy zakazów : listę międzynarodową, obowiązującą, od 16 sierpnia 14 państw europejskich i USA oraz listę, którą USA uchwaliły u siebie i dla siebie z ważnością od 26 sierpnia. Lista amerykańska nie pokrywa się stuprocentowo z międzynarodową. Rozluźnienie eksportu ustalone w tych listach, dotyczą państw bloku sowieckiego z wyłączeniem Chin. Nie możemy tu charakteryzować tych list szczegółowo, toteż poprzestaniemy na paru suma-

rycznych tylko danych. Międzynarodowe porozumienie zredukowało ilość rodzajów towarów zakazanych z 250 do 170, zaś ilość zakazów, regulujących maksimum dopuszczalnego eksportu, z 90 do 20, przy czym 60 dalszych pozycji zostało umieszczonych na liście towarów ,,pod obserwacją''. Amerykańska zaś lista redukuje ilość pozycji jakościowych z 297 do 217, przy czym w ramach tych ostatnich mniejsze pozycje strategiczne są dopuszczalne. Jak widzimy z tych danych, liberalizacja handlu z blokiem sowieckim jest istotna. Odtąd wolno eksportować do europejskich krajów komunistycznych np. prawie wszystkie rodzaje lokomotyw, maszyny rolnicze, pewne typy obrabiarki, motory dieslowskie i inne wyposażenie techniczne, dotychczas zakazane. Guma naturalna również może być eksportowana. Eksport miedzi był dotąd absolutnie zakazany, teraz wolno eksportować drut miedziany. Co do niektórych rodzajów okrętów, o które zawsze szła walka i których kraje komunistyczne silnie się domagają, to w ramach dotychczasowych informacji trudno jest wyrobić sobie zdanie, czy je dopuszczono do eksportu. Tak się zakończyła walka Europy z USA o rozszerzenie handlu ze Wschodem. Punkt ciężkości sprawy przesuwa się teraz do wypracowania skutecznych metod kontroli, która by ukróciła szmugiel, jak dotąd, dość poważny.



Dlaczego Stany Zjednoczone — wbrew swej ideologii antykomunistycznej — wyraziły zgodę na rozszerzenie handlu z państwami komunistycznymi? Małą ilustracją może tu być fakt, że opinia publiczna Stanu Minnesota, jak na złość sąsiadującego z okręgiem wyborczym senatora McCarthy'ego, wypowiedziała się ostatnio — 47 % mieszkańców miast i 60 % mieszkańców wsi — za handlem z ZSSR. Jaki cud sprawił tę ewolucję? To nie cud, to — masło. Pęczniejące składy tego towaru, którego nadwyżek nie można sprzedać na rynku wewnętrznym, skłaniają do ,,handlu z wrogiem'', który chce kupić i zapłacić dobrą cenę. Masło — to oczywiście tylko przykład. Ale uogólniając, można powiedzieć, co przyznał zresztą Stassen, że USA potrzebują nowych rynków zbytu. Oto jeden z pewnością nie najważniejszy, czynnik wyraźnej choć nie w pełni jeszcze zarysowanej częściowej reorientacji polityki Stanów Zjednoczonych w sprawie handlu z państwami komunistycznymi. Drugim powodem jest nieunikniona konieczność umożliwienia europejskim aliantom Stanów Zjednoczonych zdobycia i skonsolidowania możliwie największej siły gospodarczej w tym — prawdopodobnie długim — okresie zimnej wojny z blokiem sowieckim. Trzeci powód — chyba najważniejszy — to konieczność utrzymania jedności politycznej wolnego świata, która byłaby wystawiona na szwank, gdyby USA odmawiały swym europejskim partnerom prawa do rozbudowy ich handlu zagranicznego. Czwartym powodem jest fakt, że pomoc gospodarcza USA dla wolnej Europy maleje, to-

też moment obecny, także psychologicznie, jest nieodpowiedni do „robienia trudności" Europejczykom. Zwłaszcza, że Genewa i wypadki związane z CED nauczyły Amerykanów, że metoda nacisku na Europę jest może mniej skuteczna niż im się zdawało. Wreszcie, po piąte, odegrał rolę poważny wzgląd techniczno-organizacyjny w dziedzinie embarga: ograniczenia będą prawdopodobnie trwały długo więc wskazane jest raczej skoncentrowanie się na mniejszej ilości pozycji, a za to zwiększenie natężenia i wydajności kontroli w wykonywaniu zamierzeń. Argumenty te, choć w innym oczywiście ujęciu, wymienił sam Stassen, gdy ostatnio uzasadniał amerykański punkt widzenia w sprawie neo-embarga. Podmurował te argumenty prezydent Eisenhower, oświadczając że totalne embargo coraz głębiej wpychałoby satelitów do bloku sowieckiego. Nie ulega jednak kwestii, że głównym tłem politycznym liberalizacji handlu ze Wschodem jest ocena przez USA sytuacji międzynarodowej w tym sensie, że bezpośrednie prawdopodobieństwo wojny nie wchodzi dziś w rachubę. (W tym samym kierunku przemawia nowa sowiecka polityka gospodarcza ze zwiększonym naciskiem na import dóbr konsumpcyjnych).

Ale jest w tym wszystkim jedna rzecz niezbyt jasna dla wielu ludzi. Jeśli restrykcje mogą być rozluźnione w stosunku do europejskiego bloku sowieckiego, to dlaczego w niezmniejszonym natężeniu zostały utrzymane w stosunku do Chin? Gdzie tu logika? Gdy w treści polityka coś jest nielogiczne, oznacza to, że podskórnie działają jakieś inne momenty np. emocjonalne, wcale niemniej przez to politycznie ważkie, że przeczące logice. Linia podziału między Amerykanami i Anglikami biegnie tu w gruncie rzeczy przez ogromne straty moralne i materialne, które pierwsi ponieśli w starciach z Chinami w Korei, a przedtem — w owym historycznym rozczarowaniu, spowodowanym porażką ich długoletniej polityki w Chinach. Sam Stassen przyznaje zresztą, że teza antychińska nie jest w tym wypadku logiczna, ale pociesza się tym, że cały ciężar aprowidowania Chin w dobra kapitałowe spada w ten sposób na ZSSR. Jest paradoksem, że ta pociecha ze swej strony jednak reprezentuje pewną logikę: z punktu widzenia wyższej polityki USA.

Gallup wykazuje, że aż 47% ludności USA jest dziś za „przyjaznymi stosunkami ZSSR", podczas gdy 40% uważa go za wroga, przy 13% nie mających zdania. Według Gallupa co trzeci Amerykanin uważa dziś, że rządy Czang Kai Szeka były wyrazem nędzy i ciemnoty. Ewolucja opinii publicznej w Ameryce na korzyść Chin komunistycznych jest — w świetle tych danych — wyraźna. Czy w tych warunkach postawa rządu USA wobec Chin — inna niż wobec pozostałych państw komunistycznych — zdoła się trwale utrzymać, przyszłość pokaże.

PERSPEKTYWY HANDLU WSCHÓD-ZACHÓD

Jeżeli chcemy trafnie ocenić perspektywy tego handlu i jego znaczenie dla wolnego świata, to przede wszystkim musimy wyzwolić się od czterech wpływów. Po pierwsze od niewątpliwej sugestywności handlowej ofert sowieckich, po drugie od atmosfery, stwarzanej przez zainteresowane przemysły zachodnio-europejskie, po trzecie od frazeologii lewicowej, która w transakcjach z Sowietami często widzi panaceum na wszystkie bołączki świata, i po czwarte od wszelakich simpletonów, przeważnie reakcyjnego chowu, którzy sądzą, że ponieważ odrzucamy komunizm, jako ideologię, to możemy po prostu przejść do porządku dziennego nad rzeczywistością istnienia 800-milionowego bloku państw komunistycznych. Te cztery czynniki wypaczają trzeźwy sąd o rzeczy.

Sowiety składają państwom zachodnim, zwłaszcza Anglii, oferty nacechowane wielkim rozmachem. Kuszą Wielką Brytanię możliwością dostaw angielskich dla ZSSR za £. 400 milionów w trzyleciu 1955-1957. Praktyczna wartość tej oferty w chwili, gdy została złożona, była jednak równa niespełna połowie po prostu dlatego, że druga połowa dotyczyła dóbr objętych embargo. W artykule moskiewskiego pisma *Nowoje Wremia* p. Nestorow, prezes wszechzwiązkowej izby handlowej, przedstawia sowieckie możliwości w stosunku do Zachodniej Europy jako wprost „niewyczerpane". Sowiecki minister handlu Mikojan głosi poglądy, z których ma wynikać, że rozwój handlu Wschód-Zachód zależy *tylko* od zniesienia embarga. Prawda jest jednak ta, że restrykcje polityczne stanowią nie jedyny, lecz jeden z wielu czynników, utrudniających ten handel, jak to przedstawiliśmy w pierwszym naszym artykule. Sowiety zawsze jednak operowały olbrzymimi cyframi w tej sprawie, niejedne z nich miały wręcz posmak fantazji. To szermowanie olbrzymimi choć złudnymi cyframi ma jednak dla Sowietów znaczenie polityczne, zwłaszcza, gdy są rzucane w okresie bezrobocia w państwach kapitalistycznych.

Przy określaniu perspektyw w długofalowym rozwoju handlu Zachodu z ZSSR i blokiem sowieckim należy wziąć pod uwagę dwie rzeczy kapitalnej wagi : przede wszystkim stosunek rządu sowieckiego do problemu samowystarczalności gospodarstwa ZSSR, a następnie prawdopodobny — na dalszą metę — wpływ industrializacji krajów komunistycznych na ich eksport rolniczy.

Można twierdzić z całkowitą pewnością, że na dalszą metę rząd sowiecki dąży do autarkii. Jako wróg świata kapitalistycznego musi do niej dążyć z oczywistych względów politycznych, czemu nie przeczy fakt, że w pewnych okresach może szukać współpracy handlowej z tymże światem i być jego lepszym czy gorszym kontrahentem. Dążenie do autarkii jest zasadniczym

dążeniem państwa sowieckiego od chwili jego powstania. *The World To-day*, organ Chatham House'u, słusznie pisze: ,,Wydaje się, że Stalin nie lubił handlu Wschód-Zachód... wolał autarkię, gdzie możliwa. Zrobił dwa tylko wielkie wyjątki: ogromne zakupy maszyn dla uruchomienia pierwszego planu pięcioletniego i wielkie dostawy materiałów strategicznych dla Niemiec, w celach appeasementu w roku 1940''. Handel zagraniczny nigdy właściwie nie był dla ZSSR rzeczą doniosłą. Ilustruje tę prawdę fakt, że np. w 1952 cały (włącznie z inter-blokowym) handel zagraniczny ZSSR wynosił zaledwie 1 % jego dochodu społecznego, zaś zakupy ZSSR w tymże roku zagranicą dokonane wynosiły tylko 1 % wewnętrznego obrotu handlowego. Co więcej: wskaźniki handlu zagranicznego, przypadającego na głowę ludności ZSSR, mówią nam, że rola tego handlu na przestrzeni wielu lat maleje. Jeżeli przyjąć, że w roku 1913 wskaźnik był 100, to w roku 1932 spadł do 50, w roku 1937 był już tylko 25 i dopiero w roku 1952 znów doszedł do 50. Tak więc polityczne, na dalszą metę, dążenie ZSSR do autarkii znajduje wsparcie w strukturze jego gospodarstwa, która zasadniczo od możliwości zrealizowania autarkii nie jest daleka. Jest prawdą, że w chwili, gdy ZSSR współdziała w gospodarczej rozbudowie Chin, gdy chce podnieść stopę życiową własnej ludności i gdy finansuje szczególnie wielkie zbrojenia — możliwość autarkii oddala się. Ale również jest prawdą, że strukturalna możliwość autarkii i długofalowe do niej dążenie wybitnie zmniejszają perspektywy handlu Wschód-Zachód na dalszą metę. W tymże kierunku działać też będzie intensywny proces industrializacji państw południowo- i środkowo-wschodniej Europy, gdyż długofalowo powodować on zapewne będzie malenie ich eksportu rolniczego.

W ramach lat najbliższych — właśnie dzięki wymienionym trzem czynnikom, osłabiającym autarkiczne dążenia ZSSR i całego bloku sowieckiego — pewne widoki na rozszerzenie handlu Wschód-Zachód niewątpliwie istnieją. Oczywiście przy założeniu, że nie nastąpi dalszy o tyle silny wzrost handlu inter-blokowego, który by w stopniu istotnym przeciwważył wzrostowi handlu z Zachodem. Z ,,arytmetycznego'' punktu widzenia można powiedzieć, że rok 1953, jako punkt wyjściowy, ,,nadaje się'' do rozszerzenia handlu Wschód-Zachód. W roku tym eksport wolnego świata, jako całości, do europejskiego bloku sowieckiego, jako całości, wynosił bowiem zaledwie 50 % eksportu 1938, zaś import z bloku sowieckiego do wolnego świata zaledwie 38 procent importu 1938. Z cyfr tych nie wynika oczywiście, że powrót do przedwojennego status quo w zakresie handlu jest możliwy czy prawdopodobny.

Miarodajne przewidywania co do dalszego rozwoju handlu Wschód-Zachód są, na ogół biorąc, niezbyt optymistyczne. Niedawno, bo w maju, Stassen stwierdził np., że ZSSR i dziś nie szuka szczególnie wielkiego rozszerzenia swego handlu zagranicznego, ale gdyby nawet ono nastąpiło, co jego zdaniem jest

wątpliwe, to i tak handel z ZSSR byłby poniżej poziomu 1948 i 1952. Biuletyn Europejskiej Komisji Ekonomicznej ONZ z końca lipca stwierdza, że handel Wschód-Zachód jako całość, wciąż wykazuje niezwykle niski poziom, że pewna poprawa zaznacza się tylko w stosunkach z ZSSR, że natomiast w stosunkach z innymi krajami Europy Wschodniej panuje stagnacja aż do pierwszego kwartału 1954 włącznie. Mówiąc o objętości tego handlu w roku 1953, przy podstawie 1950 = 100, biuletyn podaje, że eksport Zachodu do krajów wschodnio-europejskich był 105, zaś import Zachodu z tychże krajów 88. Biuletyn stwierdza co prawda ,,umiarkowaną poprawę klimatu'' w sprawie, o której mowa, przewiduje obroty 1954 dość znacznie ponad poziom 1953, szacuje wzrost eksportu ze Wschodu na Zachód w zakresie 1/4 objętości 1953 itd. ale trudno oprzeć się wrażeniu, że jest to urzędowy optymizm organu ONZ. Bo nawet prezes *Federation of British Industries* (angielskiego Lewiatana), instytucji zainteresowanej w rozwoju handlu, oświadcza, że oceny widoków na rozwój handlu z Chinami, Rosją i krajami Wschodniej Europy są na ogół wielce przesadzane. Także *Times*, sprzyjający stosunkom gospodarczym z państwami wschodnimi, pisze, że nawet ,,zupełny powrót do przedwojennego handlu z Rosją i sowieckim blokiem europejskim nie powiększyłby ponad 2% importu, eksportu i reeksportu Zjednoczonego Królestwa''. Bardzo dobrze ujął sprawę Sir Hartley Shawcross w Izbie Gmin, mówiąc, że *handel z Rosją nie będzie wielkim czynnikiem w rozwiązaniu ekonomicznych trudności Wielkiej Brytanii, jest jednak o tyle ważny, aby starać się o rozwinięcie go w możliwie największym stopniu.* Naszym zdaniem formułę tę można uogólnić: jest ona wyrazem rzeczowo rozumianych interesów gospodarczych całego wolnego świata (o ile towarzyszą jej klauzule bezpieczeństwa, o czym niżej).

KOEGZYSTENCJA I HANDEL

W artykule o handlu zagranicznym *Encyklopedia Sowiecka* stwierdza, że handel z państwami kapitalistycznymi ma na celu zaopatrzenie ZSSR w maszyny i surowce, których chwilowo nie może on sam wyprodukować; zasadniczy stosunek do tego handlu jest sformułowany negatywnie, jego ograniczenie uważane jest za sukces.

Lenin pisał: ,,Istnienie republiki sowieckiej obok państw imperialistycznych przez długi czas jest nie do pomyślenia. W końcu jedna albo druga strona zwycięży. Ale dopóki to nie nastąpi, nieunikniona jest seria najbardziej straszliwych zderzeń pomiędzy republiką sowiecką a krajami burżuazyjnymi''.

Stalin pisał: ,,Nie możemy zapomnieć powiedzenia Lenina, że wiele w dziedzinie naszej rozbudowy zależy od tego, czy zdołamy opóźnić wojnę z krajami kapitalistycznymi, która jest nieunikniona, ale która może być odroczona bądź do chwili, gdy

rewolucja proletariacka dojrzeje w Europie, bądź do momentu, gdy rewolucje kolonialne osiągną punkt szczytowy, bądź wreszcie do czasu, gdy kapitaliści walczyć będą między sobą o podział kolonii. Dlatego utrzymanie pokojowych stosunków z krajami kapitalistycznymi jest dla nas koniecznością. Podstawą naszych stosunków z krajami kapitalistycznymi jest uznawanie koegzystencji obu sprzecznych systemów''.

Z powyższego jest jasne, jak twórcy państwa sowieckiego pojmują koegzystencję i rolę handlu z państwami kapitalistycznymi. Nie ma żadnego powodu do przypuszczenia, że obecny rząd sowiecki porzucił w tej sprawie zasadniczy punkt widzenia Lenina i Stalina, można zatem z całkowitą pewnością przyjąć iż jest to także jego sposób pojmowania istoty rzeczy.

W opinii Zachodu istnieje różnica zdań na terenie ustosunkowania się do sprawy handlu z tego rodzaju specyficznym partnerem. Dwie mylne tezy wybijają się tu na czoło. Jedna z nich brzmi: ,,Nie możemy prowadzić handlu z państwem, które chce nas zniszczyć''; druga brzmi: ,,Jak będziemy handlowali, to nas nie zniszczy''. Zwolennicy ostatniej tezy włączają handel Wschód-Zachód jako główny środek do swej teorii koegzystencji.

Wydaje nam się, że sprawę należy ujmować inaczej. Zachód, w naszym rozumieniu, może i powinien prowadzić handel z blokiem sowieckim, gdyż będzie miał z tego korzyść, a przy pomocy odpowiedniej polityki może uniknąć niebezpieczeństw. Żeby jednak to osiągnąć, Zachód musi pamiętać o trzech rzeczach. Przede wszystkim nie powinien łudzić się, że ta korzyść będzie duża. Z pewnością duża nie będzie, ale jednak będzie miała pewne znaczenie pozytywne dla wielu krajów, dla których nowe rynki zbytu są większą czy mniejszą koniecznością. Zwłaszcza dotyczy to krajów, które cierpią wskutek deficytu dolarowego. Po drugie Zachód powinien konsekwentnie dawać prymat swym wielkim interesom politycznym nad korzyściami gospodarczymi, a więc obstawiać handel z blokiem sowieckim mądrze przemyślanym systemem środków bezpieczeństwa w szerokim tego słowa znaczeniu. Wachlarz tych środków musi być tak wszechstronny jak liczne są niebezpieczeństwa. Chodzi tu nie tylko o skuteczną kontrolę nad wykonywaniem nowej listy embarga, ale i o stałe przystosowywanie jej do zmieniających się okoliczności. Lista embarga musi być czymś wiecznie żywym, czujnym i elastycznym, choć nie powinna wychodzić poza istotne konieczności strategiczne. Dalej ważne jest stworzenie sprawnej organizacji, zabezpieczającej przed infiltracją sowiecką kanałami handlowymi. Ale przede wszystkim i nade wszystko ważne jest urzeczywistnianie możliwie najdalej posuniętej integracji gospodarczej i politycznej wolnego świata. Przy spełnieniu tych postulatów nie wydaje nam się, aby handel z blokiem sowieckim mógł być szkodliwy.

Trzecia rzecz, którą Zachód powinien sobie uświadomić to znaczenie handlu Wschód-Zachód dla tzw. koegzystencji. Na

terenie tego zagadnienia zbyt dużo jest bowiem tego, co Anglicy nazywają *wishful thinking,* a czemu, właśnie w tej sprawie, sami oni ulegają. Słyszy się opinie ludzi skądinąd mądrych, nawet polityków dużej miary, którzy wyrażają przekonanie, że handel jest najlepszym środkiem na pokojową koegzystencję. Naszym zdaniem handel Wschód-Zachód nie ma żadnego, nawet najmniejszego wpływu na utrwalenie pokoju światowego. Wojna, jeżeli ma być, to będzie, i to w terminie ani o jeden dzień późniejszym, niż to będzie wynikało z wielkiej polityki strony, która wojnę rozpocznie. W czerwcu 1941 Hitler zaatakował ZSSR w momencie, gdy korzystał z wielkich dostaw sowieckich i gdy oczywiste było, że współpraca gospodarcza Sowietów i Niemiec była realizowana w skali bardzo wielkiej. Czynnik ten nie odegrał jednak żadnej roli hamującej w stosunku do rządu niemieckiego, kierującego się motywami czysto politycznymi. Koegzystencja, którą wtedy chciał sobie zapewnić Stalin, nie mogła być uratowana przez czynnik gospodarczy. O tym doświadczeniu historycznym warto dziś pamiętać.

Wnioski nasze są proste. Koegzystencja nie jest żadną w ogóle koncepcją polityczną : jest po prostu faktem, dziś rzeczywiście, choć nie wiadomo na jak długo, istniejącym. Handel Wschód-Zachód jest przejawem koegzystencji : nie jest jej podstawą ani gwarantem. Nie trzeba handlowi przypisywać mocy pacyfistycznej, której on nie posiada (*).

Ale trzeba z niego wyciągnąć korzyść, którą on dać może. I trzeba rozumieć niebezpieczeństwa, które ze sobą niesie. I przeciwdziałać tym niebezpieczeństwom, co jest możliwe przy ,,koegzystencji'' praktycznego rozsądku gospodarczego i czujności politycznej.

Stanisław ZARZEWSKI

(*) Komisja Wschodnia Ruchu Europejskiego opracowała ostatnio deklarację polityczną, dotyczącą handlu Wschód-Zachód i, w imieniu narodów niereprezentowanych w Radzie Europy, przedstawiła ją na posiedzeniu Komisji Specjalnej Zgromadzenia Doradczego w Strassburgu. Dobrze ufundowane tezy ekonomiczne tej deklaracji opracowane zostały przez ekonomistę polskiego dra Alfreda Zaubermana. Tezy te wiążą się z problemem oddziaływania handluWschód-Zachód na interesy narodów zza Żelaznej Kurtyny. Doniosłemu temu problemowi poświęcimy jeden z przyszłych przeglądów gospodarczych.

Przegląd kulturalny

W pracowni Turkiewicza

Album z życia Drugiego Korpusu podczas kampanii włoskiej trochę reprodukcji jego grafiki w ,,Życiu'' wystarcza by zainteresować się tym artystą, lecz nie przygotowuje do siły wrażenia jakie robi całokształt jego malarstwa. Płótna Turkiewicza nigdzie niewystawiane, coraz to przemalowywane, jeżeli nie niszczone przez ich autora, znane zaledwie garstce jego przyjaciół, mnożą się w małej pracowni cichego zadrzewionego przedmieścia Londynu.

Turkiewicz ukończył Akademię Warszawską w ostatnich latach przed wojną. Nie ograniczając się do malarstwa stalugowego dawała ona uczniom możność kształcenia się w rzemiosłach artystycznych, przyswajania sobie technik różnego rodzaju tworzywa. Była to próba nawrotu do największych epok sztuki, kiedy malarstwo wiązało się z rękodzielnictwem, uczulając artystę na różne materiały, mnożąc problemy kompozycji, usprawniając rękę i oko w borykaniu się z materiałem różnorodnym i wymagającym za każdym razem innych rozwiązań.

Profesor Tichy uczył go ceramiki, prof. Czajkowski kazał mu komponować posadzki i wysyłał do Zamku Królewskiego by jego uczeń nie komponował oderwanych fantazji, lecz na konkretnym przykładzie, wniknął w problem tworzenia organicznej części, żywej architektonicznej całości. Ale z pracy nad wszelkiego rodzaju sztuką stosowaną studia nad tkactwem ludowym miały wpływ najsilniejszy na rozwój talentu Turkiewicza. Wraz z specjalistką tkactwa ludowego, Lutyńską, badał zapomniane formuły barwników, używanych przez wiejskich tkaczy, przystosowując je do tkactwa współczesnego.

Tkactwo pozostało nadal pasją Turkiewicza-malarza, jego wełniane makaty brały już nagrody w Anglii.

Wypuszczony z obozu w ZSSR jako oficer Drugiego Korpusu już w Turkiestanie staje na czele działu plastycznego w wydziale propagandy Korpusu i na tym stanowisku pozostaje aż do końca. Turkiestan, Persja, Irak, Palestyna, Egipt, Włochy, Tur-

kiewicz wszędzie organizuje wystawy malarzy Polskiej Armii, wszystkie afisze propagandowe robione są pod jego kierownictwem. Turkiewicz, dzięki tej pracy organizacyjnej której oddaje się z upartą i bezkompromisową rzetelnością, nie traci ani na chwilę kontaktu z plastyką. Egipt zaciążył najbardziej na jego malarskim rozwoju; dotychczas w formach syntetycznych Turkiewicza czujemy urzeczenie Egiptem, rzeźbą egipską, hieroglifem egipskim.

Bukiet kwiatów, zawieszony u wejścia do pracowni artysty to jedyne płótno nawiązujące do Bonnarda, który dawniej na kształtowaniu sztuki Turkiewicza zaważył. Ale w dalszym już, powojennym, rozwoju artysta coraz kategoryczniej odchodzi od bonnardowskiego post-impresjonizmu, coraz ascetyczniej zwęża paletę, coraz zwarciej przy tym buduje bryły. Kolorystycznie staje się bogatszy właśnie poprzez świadome zwężanie palety, przez coraz wrażliwsze i subtelniejsze notowanie półtonów. ,,Dwa kolory na palecie powinny wystarczyć — mówi — do osiągnięcia pełnej gry barw''.

Okres powojenny, najbardziej może dla rozwoju Turkiewicza znaczący, wywodzi się prosto z Egiptu; obrazy jego z tego czasu są płaskie, o dużych, delikatnie zgranych płaszczyznach. Postacie półludzi-półzwierząt spowite w tkaniny o tonach spłowiałych różów i żółci; stylizowane rytmicznie arabeski, choć na małych płótnach malowane, robią wrażenie wielkich fryzów.

Dziś ma Turkiewicz ten okres całkowicie poza sobą; jest on wśród współczesnych malarzy polskich może największym malarzem człowieka.

,,Dzieci szkolne'' rozmawiające przy furtce ogrodowej: okrągłe twarzyczki ze szpileczkami bystrych oczu — obraz tak bardzo turkiewiczowski — w stylu przypomina niektóre głowy Tadeusza Makowskiego, tego wciąż jeszcze zapoznanego wielkiego malarza ubiegłego pokolenia. Inne znowu twarze ludzkie przywodzą na myśl Rouaulta. Turkiewicz, jak każdy wrażliwy artysta, naprawdę czerpie pożywkę zewsząd, ale to co w rozwoju tego artysty zdaje mi się i znamienne i szczęśliwe, to to, że droga jego idzie od arabeski kształtów, od kompozycji abstrakcyjnej, czy prawie abstrakcyjnej, ku coraz bardziej konkretnej wizji człowieka.

Obraz płaski Turkiewicza staje się obrazem o trzech wymiarach, artyście narzucają się z powrotem problemy światła, cienia i głębi, powierzchnia jego obrazów mniej lub więcej abstrakcyjna — powraca do natury. Twarz w obrazach artysty zaczyna grać rolę coraz bardziej dominującą, intensywność wyrazu niektórych przywodzi na myśl Daumiera. Np.: ,,Grający w bilard'', ,,Portret młodego człowieka z fajką'' a przede wszystkim ,,Niewidomi''.

Pierwsze wrażenie to blaski trzech par okularów błękitnych, biel laski i diagonalne przecięcie płótna na grupę trzech ślepców i dużą jasną powierzchnię ściany, jednostajnej niby a przecie ca-

łej w delikatnych odcieniach perły. Wzruszenie malarskie wzrasta tutaj i nierozerwanie się splata z wzruszeniem ludzkim.

Malarze dzisiejsi wystawiają wiele, nieraz za wiele. Nie znam malarza o tak poważnym dorobku, którego nieustanne pragnienie by namalować lepiej, posunąć się w pracy dalej, tak pochłania, że swoich obrazów nie chce czy nie umie pokazać, że tkwią one u niego, w wielkim Londynie, jak w puszczy.

Patrzę na jedną z jego martwych : zieleń jabłek, błękit flakonu, czerwień stołu. Ta martwa, która dziś odwrócona do ściany zagraca malutką pracownię artysty, powinna była by wisieć na wielkiej wystawie ,,Le pain et le vin'' u Charpentiera w Paryżu gdzie zawieszono martwe Velasqueza, Chardina, obok martwej Vuillarda, Picassa czy młodego współczesnego malarza, Aizpiri. Wśród płócien młodej generacji malarzy nie było na tej wystawie ani jednej martwej, która by miała siłę wyrazu i malarskość tego płótna Turkiewicza.

Piszę o tym samotnym malarzu z nieśmiałością. Jakże trudno wyrazić słowami to, co dać może malarstwo, ale chcę przełamać *milczenie*, które takie dokonania otacza.

Teresa SKÓRZEWSKA

Biennale poetyckie

Od zewnątrz Biennale wygląda kolorowo. Co dwa lata, na początku września, kiedy plaża bogatych snobów Knokke zaczyna się wyludniać, zjeżdżają tłumnie i szumnie poeci. Kasyno gry, wysłane pąsowymi pluszami i obwieszone kryształami, gości przez cztery dni jak najbardziej demokratyczne towarzystwo.

Tym razem, na zaproszenie organizatorów, to jest zespołu ,,Journal des Poètes'', któremu przewodniczą P. L. Flouquet i Artur Haulot, przybyli delegaci reprezentujący trzydzieści krajów. Razem około dwustu osiemdziesięciu poetów i krytyków. Oprócz poetów europejskich, również Stany Zjednoczone, Kanada, Brazylia, Haiti, Japonia, Marokko, Meksyk, San Salwador, Wenezuela i Senegal przysłały swoich delegatów.

Można by oczywiście zapytać, jaki jest sens w zwoływaniu tworzących samotnie na czterech końcach świata poetów? A jeżeli już przyjechali, dali się sfotografować, czarny Senegalczyk z bladą Irlandką, czy mają sobie jeszcze coś do zakomunikowania?

O ile tego rodzaju spotkania w niczym nie wpływają na jakość poezji, o tyle wiele dobrego wynika z nich dla poetów. Zjeż-

dża do Knokke telewizja, kilka rozgłośni przysyła swoich reporterów montujących specjalne audycje. Prasa codzienna poświęca dużo miejsca kongresowi, i czytelnicy zauważają ze zdziwieniem, że przynajmniej w czasie trwania Biennale opinia publiczna bierze poetów na serio.

Poeci przywożą ze sobą książki. Jak podczas sejmów staropolskich pisarze korzystali z okazji, aby sprzedawać braci szlacheckiej świeżo wytłoczone tomy, tak na Biennale skrzypią pióra poetów dedykujących tomiki czytelnikom, lub przyjaciołom po piórze. Myślę, że są to dwa pozytywne aspekty zjazdu : przypomnienie społeczeństwu o istnieniu poety i braterskie spotkania piszących. A jakość uczestników? zapyta mnie ktoś. Jak na wszystkich zjazdach. Garść pierwszorzędnych poetów i krytyków w asyście mnóstwa mniej lub więcej początkujących kolegów.

Tegorocznym tematem była rola języka w poezji. Toteż nic dziwnego, że obrady miały zasadniczo charakter naukowy. Profesorowie Sorbony, autorytety tej miary co Etienne Souriau, czy Marie-Jeanne Durry, współtwórca francuskiej fonetyki eksperymentalnej André Spire, czy też najprzedniejsi esseiści i krytycy jak Roger Caillois i Georges Mounin, Marcel Lecomte i Fernand Verhesen, nadawali ton dyskusjom, naświetlając *fizyczną* stronę twórczości poetyckiej, tworzywo.

Dyskusje, nie rzadko gorące, świadczyły o tym, jak dalece Biennale była swobodną konfrontacją wyników badań i różnorodnych postaw estetycznych. Spór ogniskował się w zagadnieniu stosunku twórcy do materiału. Jedni uważali, że poeta jest przewodnikiem nieznanych, kipiących na dnie nocy sił, (,,przez ciebie przepływa strumień piękna'') i dlatego, choćby nawet chciał, nie potrafi podzielić się swoim doświadczeniem, będącym tylko w drobnej części pracą świadomą. (,,Poezja automatyczna'' nadrealistów miała być właśnie takim, jak najmniej kontrolowanym wyrzucaniem z siebie poetyckiej lawy.)

Inni znowu sądzą, że skoro mowa jest bezsprzecznym tworem człowieka, który bez ustanku odnawia i wzbogaca jej wygląd i sens — byłoby rzeczą śmieszną, aby słowo miało prowadzić swego twórcę... i na domiar odkrywać mu ,,rzeczy nieznane''. Twierdzą, że poeta może mówić o swoich pracach technicznych i że językowa oprawa cudownego czegoś, czym jest poezja, da się badać naukowo.

Większość referatów rozwijała drugą tezę, Stąd też wywodzi się niedosyt u niektórych poetów i dziennikarzy, podchodzących do poezji nazbyt dogmatycznie; w krytycznym oglądaniu wiersza dopatrywali się podnoszenia świętokradczej ręki na poezję.

Spośród realizacji praktycznych wspomnę o wydaniu przez komitet Biennale II-go tomu Antologii Poezji Półwiecza, obejmującej utwory kilkudziesięciu poetów współczesnych w przekładzie na francuski (poezję polską w tomie tym reprezentuje Leśmian).

Jeden z wieczorów poświęcono uroczystej akademii żałobnej, w czasie której recytowane były wiersze zmarłych ostatnio poetów Eluarda, Tuwima, Salinasa, Thomasa i Sikelianosa.

U.N.E.S.C.O., stwierdziwszy międzynarodowy charakter Zjazdów w Knokke, postanowiło włączyć Biennale Poezji do swego programu, obiecując swe poparcie dalszym tomom Antologii.

Marian PANKOWSKI

Kronika angielska

ILE ZARABIAJĄ POLSCY PISARZE NA EMIGRACJI?

Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie rozpisał interesującą ankietę. Związek nominalnie liczy około 100 członków. Szacunkowo można przyjąć, że 50% stanowią tzw. „martwe dusze". Jeżeli więc przyjmiemy, że rzeczywistych i aktywnych członków Związek liczy około pół setki to należy stwierdzić, że ponad 30% „aktywistów" wzięło udział w ankiecie. To jest procent dosyć wysoki. Wystarczy uzmysłowić sobie, że gdyby powszechna ankieta dotycząca Polonii brytyjskiej miała być uwieńczona podobnym sukcesem 50 tysięcy Polaków musiałoby w niej wziąć czynny udział — co jest więcej niż nieprawdopodobne.

Sądzę, że nie popełnię niedyskrecji jeżeli ujawnię, że w ankiecie nie wzięli udziału pisarze, którzy pracują na kontraktach w instytucjach amerykańskich. To jest szczegół o tyle ważny, że pisarze ci należą niewątpliwie do najlepiej sytuowanych członków Związku.

Zacznijmy naszą analizę od wieku. Najmłodszy uczestnik ankiety ma lat 30. Lecz tylko dwóch respondentów liczy mniej niż 46 lat. Jeżeli zsumujemy wiek respondentów i podzielimy przez cyfrę ogólną uczestników ankiety — to otrzymana przeciętna wieku wyniesie lat 51.

Niewątpliwie grupę najciekawszych wypowiedzi stanowią dane dotyczące pozycji finansowej pisarzy emigracyjnych. Najniższy dochód roczny „zeznany" przez respondenta wynosi £ 250 — z czego £ 50 przypada na dochód z pracy literackiej. Trzeba jednak pospiesznie dodać, że tylko dwóch respondentów przyznało się do dochodu rocznego poniżej £ 300. Najwyższy podany w odpowiedzi ankietowej dochód roczny wynosi £ 1.500 z czego £ 1.000 z pracy literackiej. Sądzę, że nie od rzeczy będzie dodać, że ów czołowy sukces finansowy został osiągnięty poza Europą.

Jeżeli obliczymy średnią to przekonamy się, że przeciętny dochód pisarza w stosunku rocznym wynosi £ 500. Kwotą dochodu rocznego objęte są wpływy z wszystkich źródeł zarobkowych.

Najniższy dochód z pracy literackiej podany w ankiecie wynosi £ 4 rocznie — najwyższy £ 1.000 rocznie. Jak widzimy rozpiętość jest olbrzy-

mia. Średnia dla dochodu z pracy literackiej wynosi £ 230 rocznie na głowę pisarza.

Jeżeli przyjmiemy, że wypowiedzi 33% są na tyle reprezentatywne, że można je uogólnić w stosunku do 50 aktywnych członków Związku — wówczas z przytoczonych danych można wysnuć kilka interesujących wniosków.

Po pierwsze należałoby stwierdzić, że pisarze — na ogół — wykazują podziwu godną zaradność i dzielność w bezprzykładnie nieortodoksyjnych warunkach emigracyjnych. Mit nieporadnego literata, który w zetknięciu z realiami życia zachowuje się jak pijane dziecko we mgle — należy do rekwizytów młodopolskiej przeszłości.

Drugi wniosek, również pocieszający, to stwierdzenie, że jest rzeczą możliwą w warunkach emigracyjnych pisząc wyłącznie po polsku zarobić 270 czy 300 funtów rocznie. Oczywiście pisarz emigracyjny pragnący zarobić z wolnej ręki jako ,,Free Lance" 300 funtów rocznie musi być bardzo obrotny i uprawiać wszystkie działy publicystyki z publicystyką radiową włącznie.

Z powyższych danych należy wnioskować, że chłonność rynku jest ciągle jeszcze duża. Dobrą nowelę, dobry essey, dobry artykuł czy dobre słuchowisko radiowe można spieniężyć bez większych trudności .

To są wszystko wnioski dodatnie.

Ciemną plamą na tym obrazie jest fakt, że przeciętna wieku pisarzy o którym mówimy — wynosi 51 lat. Wśród pisarzy, którzy choćby w połowie piórem zarabiają na życie nie ma młodych. Dlaczego ? Składa się na to wiele przyczyn. Wśród młodych pisarzy znaczny procent stanowią poeci. W poprzednim numerze ,,Kultury" Marian Pankowski omówił sześć nowowydanych tomików poezji.

Młodzi pisarze w większości zdobyli drugi zawód, który jest ich głównym źródłem utrzymania. Zdaję sobie sprawę, że to co powiem poeci poczytają za barbarzyńską herezję — niemniej wydaje mi się, że jest łatwiej na marginesie pracy zawodowej napisać w ciągu roku czy dwóch tuzin znośnych wierszy niż tom prozy literackiej na 300 stron. Twierdzę, że owa zdumiewająca przewaga poezji nad prozą u młodego pokolenia ma podkład socjologiczny. Są poetami bo nie mają warunków by przedzierzgnąć się w prozaików.

Wiemy, że znakomite powieści powstawały niejednokrotnie w bardzo trudnych warunkach i na marginesie pracy zarobkowej z literaturą nie mającej nic wspólnego. Jednak jako regułę należy przyjąć, że powieściopisarstwo jest zajęciem ,,full-time", które do pewnego stopnia łączyć można z zajęciami literackimi czy dziennikarskimi lecz nie z fabryką czy pracą w biurze.

Nikt nie rodzi się zawodowym powieściopisarzem czy publicystą. Ale w normalnych czasach i w normalnych warunkach perspektywy przed młodym pisarzem są całkowicie inne niż na emigracji. A cóż my możemy obiecać młodemu adeptowi polskiej kariery literackiej na obczyźnie ? Posadę w Free Europe a tym, którzy cenią niezależność — niepewne 270 czy 300 funtów rocznie jako szczytowe osiągnięcie i ukoronowanie wieloletniej pracy.

Nie należy się dziwić, że mamy mało młodych pisarzy. Przeciwnie jest rzeczą zdumiewającą, że jednak są i piszą.

CZESKA LITERATURA EMIGRACYJNA

W jakich warunkach i dla kogo piszą czescy pisarze na wygnaniu ? Emigrantów z Czechosłowacji rozrzuconych po pięciu kontynentach jest około 50 tysięcy. Na przestrzeni ostatnich sześciu lat ukazała się tylko garść czeskich książek w nakładach nie przekraczających 500 egzemplarzy. „Sklizeń", który wychodzi od 1953 roku — jest jedynym czeskim periodykiem literackim w wolnym świecie.

Czeska Rada Kulturalna na Obczyźnie (skrót : CCC) zorganizowała w ubiegłym roku konkurs obejmujący dzieła literackie (poezja, powieść, dramat, literatura dla dzieci, przekłady) oraz kompozycje muzyczne. Konkurs tego typu ma być wznawiany corocznie.

Obecnie ogłoszono wyniki pierwszego konkursu C.C.C. z roku 1953. Ogółem przedłożono 69 prac co stanowi cyfrę imponującą. Sąd konkursowy składał się z 24 wybitnych czeskich krytyków i znawców sztuki.

W dziale poezji nie przyznano pierwszej nagrody. Cztery równorzędne drugie nagrody przypadły czeskim poetom z Kanady, z Stanów Zjednoczonych, z Niemiec zachodnich i z Anglii.

W dziale prozy przyznano sześć równorzędnych pierwszych nagród.

Wśród nagrodzonych prac wybija się oryginalne studium Petr Den'a pt. „Z liczydłem o polityce". Den w siedmiu esseyach podejmuje w pewnej mierze myśl, którą Albert Camus zamknął swego „L'Homme Révolté". „Majestat i tyran" naszych czasów rewolucyjne masy w swoim własnym interesie muszą znaleźć miernik i skalę dla swych pragnień i zamierzeń. Albowiem ten, kto chce wszystko wymierzyć musi ufać skali, którą się posługuje. Owa skala, z uwagi na jej uniwersalizm, nie może być wyłącznie polityczna lecz równocześnie metafizyczna i matematyczna. Tylko przyjęcie uniwersalnej skali wartości i uznanie ograniczeń z nią związanych może uratować rewolucję przed nihilizmem. Den wskazuje na przykład fizyki i matematyki, które przeżywają okres twórczej rewolucji. Nauki ścisłe w swym dążeniu do poznania prawdy przyjęły pewną metodę i skalę wartościowania oraz ustaliły zasady i ograniczenia dla doświadczeń. Jeżeli polityki nie oprzemy na analogicznych założeniach rewolucja naszych czasów utonie w nihiliźmie a świat nie ustrzeże się przed katastrofą wojny atomowej.

Niezmiernie interesującą pracą jest również nagrodzona pierwszą nagrodą książka Jana Jestedsky'ego pt. „Dante Wygnaniec". Jest to pierwszy tom obszerniejszego studium o literaturze wygnańczej. Całość ma objąć literackie monografie poetów, którzy dojrzeli na wygnaniu i na emigracji stworzyli swoje arcydzieła. W następnym tomie ukażą się studia o Mickiewiczu i Chateaubriandzie. Jan Jestedsky tłumaczył między innymi Wyspiańskiego na język czeski.

Ciekawa jest również powieść Jaroslava Dreslera nagrodzona drugą nagrodą. Jest to próba ujęcia losu emigrantów politycznych w perspektywie egzystencjalizmu.

Dzieje emigrantów opisuje również powieść Vladimira Stedry'ego pt. „Wieża świadków".

Trudno jest w krótkiej notatce kronikarskiej wymienić wszystkie nagrodzone prace. Niemniej już tych kilka przykładów ilustruje problematy-

kę czeskiej literatury emigracyjnej. Polskiego obserwatora muszą uderzyć dwie cechy charakterystyczne tego piśmiennictwa : brak wspominkarstwa i poczucie wagi przeżywanej epoki. To jest literatura współczesna związana integralnie z myślą Zachodu.

Polska literatura emigracyjna jeszcze nie wyszła poza ,,łagry", powstanie warszawskie i Monte Cassino. Jedynym wyjątkiem, który potwierdza tę regułę — jest Straszewicz.

STEFAN KORBOŃSKI — POLITYK, PISARZ, LAUREAT

Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie nagrodził książkę Stefana Korbońskiego pt. ,,W Imieniu Rzeczypospolitej". W roku ubiegłym tę samą nagrodę jury przyznało Czesławowi Straszewiczowi za powieść pt. ,,Turyści z bocianich gniazd". Obie nagrodzone książki ukazały się jako VI i VII tomy ,,Biblioteki KULTURY".

Autor ,,W Imieniu Rzeczypospolitej" jest jednym z najbardziej dynamicznych polityków polskich na emigracji. Nie bierze wprawdzie (i na szczęście) czynnego udziału w londyńskich przewrotach i kryzysach, jest natomiast bardzo aktywny na scenie międzynarodowej a zwłaszcza w świeżo powołanej do życia ,,małej O.Z.N.", która reprezentuje 100 milionów Europejczyków w krajach ujarzmionych.

Książkę Korbońskiego cechuje rzadka u polityków bezpośredniość i wstręt do ,,bronzu". Instynkt pisarza, który niewątpliwie pulsuje w autorze, odkrył przed nim prawdę, że polityka polska, zwłaszcza w tak dramatycznym okresie — jest do odcyfrowania wyłącznie poprzez ludzką atmosferę. Poza ramami owego warszawskiego klimatu nie można ani ocenić realnej wielkości ani zrozumieć błędów tego okresu.

,,W Imieniu Rzeczypospolitej" jest pozycją, która pozostanie.

LONDYŃCZYK

Książki

Nowości poetyckie

Różnie rozumieją poezję i warsztat swój poeci. Dla jednych jest ona buntem, wielką i jedyną przygodą ich życia. Już sponad pierwszego wiersza patrzą w stronę nieśmiertelności, porzucają drogi stare i szukają nowych. *Żyją* w poezji.

Inni *piszą* poezję. Ich twórczość i życie są naczyniami o nikłych i przypadkowych połączeniach. Autor jest przede wszystkim obywatelem, mężem, członkiem partii, czy wspólnoty religijnej, a *oprócz* tego poetą.

Osobiście wyznaję pierwszą postawę, postawę człowieka skazanego na poezję przez swój wybór — ale trzeba stwierdzić, że jakość utworu nie pozostaje w żadnym związku z tą czy inną zasadą.

Gdyby nie parę aluzji do obecnej sytuacji politycznej, gdyby nie garść wyrażeń nowoczesnych, trudno byłoby nie wziąć *Ziemi Miłości* (1) Zofii Bohdanowiczowej za raptularz wydobyty spośród pożółkłych, dziewiętnastowiecznych papierów kresowej szlachcianki, raptularz, który towarzyszył życiu, nie będąc nim samym.

Mickiewicz i Słowacki patronują tym wierszom, opiewającym, pomimo różnych tytułów, urodę ziemi wileńskiej. Dzięki wyznaniom autorki możemy łatwo zdefiniować jej poetykę, bowiem wiersz ,,Credo'' został tak nazwany nie przez przypadek. ,,Ja ze swym starym nie zerwę sposobem...'' pisze Bohdanowiczowa, niepotrzebnie nazywając inną, szukającą poezję, ,,modnymi utworami'', co jeszcze dobitniej świadczy o wczorajszości wierszy lirniczki litewskiej.

Przy czytaniu *Ziemi Miłości* rzuca się w oczy urocza naiwność tej książki. Jakaś zaściankowość i niewinna prostoduszność unosi się z tych gładkich, prawie bezbłędnie napisanych strof.

---

(1) Londyn, 1954. Nakładem Społeczności Akademickiej Uniwersytetu S. Batorego na obczyźnie.

Sarmacko-żmudzkie wszędzie-dobrze-a-w-domu-najlepiej zostało podniesione do wyżyn religii. ,,Malwa cicha'', czy ,,kwitnący koper'', nie mówiąc już o ,,kwaśnym mleku'', znaczą więcej dla tęskniącej za tamtą ziemią poetki, niż ,,sztuka'', ,,mistrzowie'', ,,niźli Coroty, niźli Rembrandty''... Nie możemy mieć o to do autorki pretensji. Wypełnia uczciwie swój program, pisząc wiersze, jak mówi o tym sama, ,,bliskie każdemu i łatwe i proste''.

Trzeba przyznać Bohdanowiczowej dużą ogładę poetycką. W tomie, liczącym niemal dwieście stron, nie spotykamy odkryć, ale nie ma tam również niczego co by nas raziło. Nic nie uderza. Błędy tego rodzaju jak : ,,gryzący ofiarny dym w rozdęte nozdrza nam wgrzązł'' (str. 111), lub ,,z łąk dalekich/ Szły z nami gwiazdy, żabie skrzeki''. (?) zdarzają się rzadko.

Częściej spotykamy prozaizmy, szczególniej w tych utworach, w których Bohdanowiczowa usiłuje winkrustować tzw. idee w tekst pełen ziół i kwiatów podwileńskich. Oto przykład. ,,I wie, że błyśnie nad światem dzień wszechmiłości i zgody,/ Gdy łzy i modlitwy jednostek przeważą nienawiść narodów;'', albo w wierszu o Matce Boskiej Ostrobramskiej, gdy pisze : ,,I nie odejdzie od ciebie,/ Dopóki cię nie utwierdzi/ W tym zrozumieniu najgłębszym,/ Że misją Jej miłosierdzie''.

Zdarzają się jednak, choć bardzo rzadko, wyrażenia świeże, nie zaczerpnięte spomiędzy gotowych i wytartych zestawień słownych. Zacytuję jedno z ,,Gawędy z Syrokomlą'', gdzie Bohdanowiczowa, chwaląc dary ziemi, pisze : ,,Dzbanek płowy jak pękaty szerszeń,/ Gardło pełne miodu otworzył.'' Kto zna wiejski sprzęt i przyrodę, ten przyzna mi, że porównanie to jest celne i piękne.

Niestety dwa, trzy piękne wyrażenia giną w dużym tomie. Wilnianom sprawią przyjemność te wiersze, ,,proste jak mazurkowe zwrotki''. Francuzi nazywają ten rodzaj *poésie mineure;* mówiąc inaczej jest to wprawdzie poezja, ale jeszcze nie sztuka.



Niedawno w tym miejscu chwaliłem bez najmniejszych zastrzeżeń *Rysy na pustce* Józefa Bujnowskiego. *Lipowy witraż* (2), nie osiąga, niestety, tamtego poziomu. Parę zaledwie strof, rozsianych tu i tam, przypomina zwartość wyrazu, którego obecności w poprzednim tomie winszowałem poecie.

Bujnowski szuka swej mowy i czasem cofa się, porzucając zdobyte pozycje. ,,...Siwy opar'' ...który... ,,pazurem mózgu grzebie glebę.'', ,,Serce''... ,,pada twarzą w podłogę.'' i kilka podobnych, świadczą o tym, że poeci nie powinni ogłaszać wszystkiego co napiszą.

Natrafiamy jednak oczywiście również na fragmenty ,,dobrego Bujnowskiego'', jak ten :

(2) Caucasus Press, Londyn, 1954.

„Więc mówię wstań. I idź. I idziesz w ślad.
Kołysze cię na kłosach wiatr, jak wiatr,
do kolan toczy cię i stóp raz wraz dotyka,
i zgarnia z kłosów pył. I znika.
W przegonach błysły kosy srebrnokose,
zatoczą łuk — i wrócą znowu bose,
pod wiatr. I kładzie się, jak włosy
kłos do mych rąk. I dzwonią srebrne kosy."
(„Rozmowa")



Omawiając niedawno tom wierszy Mariana Czuchnowskiego *Motyl i zakonnica,* nie przypuszczałem, że wkrótce będę musiał powtórzyć co do joty wszystkie zastrzeżenia uczynione wówczas. Nowy bowiem zbiór tegoż autora, *Dama w jedwabnym płaszczu deszczowym* (3), wywodzi się z tej samej maniery opisywania zjawisk i rzeczy językiem wprawdzie jurnym, jędrnym i chrzęszczącym... ale niestety to wszystko.

Poeta zatrzymuje się w połowie drogi, pomiędzy rzeczą a utworem, na etapie pośpiesznych doznań i barwnych wzruszeń — — nie przystępując do tworzenia. Dlatego rzadko natrafiamy na poezję tak udaną jak poniższe przykłady: „A potem nagle ciemno. Szeleszczą mokre arkusze deszczu.", lub gdy widząc wzlot mewy pisze: „Ptak, jak garść srebrnych monet tryska w górę..."

Częściej za to spotykamy ustępy w rodzaju: „kreślą się niepewnie/ W wilgotnej mgle zarysy dachów, linie alej, publiczne klozety/ Wysterczające z trawy, jak bunkry o dymnikach i wentylatorach z ogniotrwałego szkła." (str. 19).

W „Porannej toalecie" (str. 21) czytamy: „...Wstaje z łóżka mleczarska. Krząta się młoda./ Podryguje biustem. Biega zwinnie po pokoju./ A gdy już żwawym do syta natrzęsie się tyłkiem,/ Kształtnym i jędrnym, jak marmurowa waza,/"...

Osobiście cenię wysoko poezję erotyczną, ale nie mogę się pogodzić z formą, jaką jej daje Czuchnowski. Darowałbym już autorowi wszystkie tłuste szwaczki, mleczarki i dojarki, którymi zaludnia swe erotyczne bukoliki. Chodzi jednak o to, aby wzruszenie było przekazywane czytelnikowi środkami artystycznymi, a nie innymi. Tymczasem czytelnik musi delektować się dokładnym opisem wkładania stanika i fig. Gdzie indziej znów spotykamy music-hallową pointę, jak np. w „Ścinaniu grzywki", gdzie studentka „Wpatrzona w lustro, w własną zieleń oczu, lekko westchnie:/ — Czyżby mężczyźni nie mogli brać dziewcząt tylko w sukni albo we śnie?" Jak tu nie wzdychać!...

Szwaczka, parząc kawę, „upaja się krzepkim, jędrnym zapachem mocniejszym od sławy./ Od ciała kochanka. Jego twardych ud. A serce bije żywiej niż podczas oddania". Jeżeli to ma coś wspólnego z literaturą, to chyba medyczną...

(3) Londyn, 1954.

Są i pomyłki językowe. Leszczyna, do rymu z deszczem, stała się pod piórem autora *leszczem,* i jako taka potrząsa orzechami... Leszcz jest rybą. Pływa i nie rodzi orzechów.

Iuvenilia, poprzedzające zbiór, są raczej ciekawym dokumentem; zbyt bowiem widać na nich łatwe i zewnętrzne efekty awangardy. Te : ,,szara matka pluje drożdżami'', albo ,,Okuła mnie milczenia zimna kłódka./ Dławimy się wszyscy./ Malutka, to nic. To nic.'', na pewno nie wzbogacają tomiku.

Nota autorska zawiera wyczerpującą bibliografię utworów napisanych, zagubionych i zamierzonych. Czuchnowski, nie czekając na historyków literatury, sam zajął się podziałem swej twórczości na okresy : ,,młodzieńczy, awangardowo-rewolucyjny i pierwszy zagraniczny, do jesieni 1953.''

O dziesięciu, wspomnianych już wierszach młodzieńczych, pisze, iż ,,ukazują się na podstawie wydania krakowskiego, bez zmian, z wyjątkiem starej pisowni zastąpionej przez nową.''

I są tacy, którzy twierdzą, że Sacha Guitry jest zarozumialcem...

Marian PANKOWSKI

Sto książek i jedna wielka powieść

Subwencjonowane przez tak zwany Fundusz Wschodnio-Europejski, wydawnictwo książek rosyjskich im. Czechowa rozporządza środkami, jakich nie posiada żadna inna emigracja. Sto pozycji wydawniczych, jakie reprezentuje katalog tego wydawnictwa za ostatnie dwa lata wygląda na pozór imponująco. Po bliższym zapoznaniu się jednak z wydanymi utworami czytelnika spotka niewątpliwe rozczarowanie. Zaledwie kilkanaście pozycji można zaliczyć do utworów wartościowych i interesujących.

Ogólnie wydawnictwa im. Czechowa dzielą się na przedruki z literatury klasycznej, na utwory młodych pisarzy emigracyjnych, którzy znaleźli się na zachodzie po drugiej wojnie światowej oraz na tłumaczenia z języków obcych, przeważnie książek amerykańskich. Przedruki utworów klasycznych są niezwykle cenne wobec zalewu tanich książek sowieckich, tendencyjnie i w zniekształcony sposób przedstawiających literaturę rosyjską. Wiele na przykład utworów Dostojewskiego można znaleźć jedynie przypadkowo w starych wydawnictwach sprzed kilkudziesięciu lat. Sowieckie wydawnictwa ograniczają Dostojewskiego do utworów młodzieńczych, niezbyt udanych i w żadnej mierze nietypowych dla wielkiego talentu tego pisarza. Niestety wśród wydawnictw Domu Czechowa Dostojewskiego znaleźć nie można.

Jednym z cenniejszych przedruków pisarzy klasycznych jest wydanie powieści Leskowa ,,Soborjanie'', nie cieszącej się uznaniem wydawców sowieckich, a będącej — obok czarujących nowelek i szkiców z życia ludu rosyjskiego — najwybitniejszym utworem tego pisarza.

Na uwagę zasługuje ponadto ponowne wydanie powieści Iwana Bunina pt. ,,Życie Arsenjewa''. Zmarły w ubiegłym roku Bunin, należy do generacji literackiej Czechowa i Tołstoja, z którymi w młodości łączyły go bliskie stosunki. Jest on niewątpliwie jednym z najwybitniejszych mistrzów języka rosyjskiego. Poza niezliczoną ilością znakomitych nowelek i kilkoma powieściami, z których najwybitniejsza ,,Djerewnja'' przyniosła mu nagrodę Nobla w 1932 roku, Bunin całe życie był poetą. Pisał wiersze aż do śmierci. Wiersze te w większości rozrzucone są po czasopismach. Zebranie pełnego wydania poezji Bunina byłoby niewątpliwie wielkim wydarzeniem literackim, gdyż są to utwory o niezwykłej czystości artystycznej i subtelności na jaką współczesna generacja poetów rosyjskich nie może się już zdobyć.

Z młodszych pisarzy, emigrantów po drugiej wojnie światowej, nie wielu wyróżnia się prawdziwym talentem literackim. Prawie wszyscy nie mogą się pozbyć maniery, jaką narzuciło im wychowanie sowieckie. Ludzie w ich powieściach to tylko papierowe typy, pozbawione indywidualnego charakteru. ,,Niewidimaja Rossija'' Aleksiejewa, ,,Tajaga'' Maksymowa, czy wydana po angielsku powieść Michaiła Sołowjowa ,,,Kiedy bogowie milczą'' wszystkie te utwory mają jedną wspólną cechę — są pisane tak jak powieści sowieckie z tą tylko różnicą, że pisane są w duchu antykomunistycznym. Może jedynie ,,Wrag Naroda'' Jurasowa odbija od innych bardziej udanym i udramatyzowanym realizmem.

Dużą pozycję w wydawnictwie Czechowa zajmują charakterystyczne dla literatury emigracyjnej — wspominki. Z tej dziedziny zasługuje na uwagę piękna i interesująca książka Zienzinowa pt. ,,Pierezytoje'' i znana już czytelnikom polskim wzruszająca książka Michała Korjakowa pt. ,,Oswobożdenje Duszi''. Na ogół jednak nowa twórczość emigrantów rosyjskich sprawia wrażenie ubogie. Toteż wielkim zaskoczeniem dla zajmujących się twórczością rosyjską było pojawienie się w Stanach, w tłumaczeniu angielskim, powieści rosyjskiego autora, która powszechnie została uznana za prawie arcydzieło. Utworem tym jest powieść Igora Guzenko pt. ,,Upadek Tytana''.

Kiedy młody urzędnik szyfrów w sowieckiej ambasadzie przekazał rządowi kanadyjskiemu 109 dokumentów, demaskujących największy w historii świata spisek szpiegowski — imię Igora Guzenki stało się sensacją dnia na całym świecie. Z czasem zapomniano o nim. Ukryty gdzieś w puszczach Kanady, pod stałą opieką policji Guzenko pisał powieść. Powieść ta jest w tej chwili największą sensacją literacką sezonu. Jest oczywiście bestsellerem. Krytyka amerykańska wszystkich odcieni, przyjęła ją z zachwytem.

Akcja powieści rozgrywa się w Rosji sowieckiej w latach formowania się personalnej dyktatury Stalina. Bohaterem powieści jest uwielbiany i obsypywany zaszczytami pisarz rosyjski Gorin, w którym, jak nie trudno się domyślić, Guzenko sportretował Maksyma Gorkiego. Gorki uwielbiany w przedrewolucyjnej Rosji pisarz-włóczęga, ceniony w intelektualnych kołach na Zachodzie za swój humanitaryzm, wrócił do Rosji Sowieckiej, by w kilka lat później zakończyć życie w tajemniczych okolicznościach. Po-

wieść Guzenki obejmuje ostatnie miesiące życia Gorkiego. Jest to powieść-panorama. Jak u Tołstoja przewijają się na kartach tego utworu postacie fikcyjne i autentyczne jak Stalin, Beria, Woroszyłow i inni.

Opis uroczystości otwarcia Instytutu im. Marksa i Engelsa w Rostowie przypomina wspaniałe karty „Wojny i Pokoju". Natomiast charaktery bohaterów odmalowane są z przenikliwością Dostojewskiego. Spotkanie tych dwóch wpływów literackich, tak sobie różnych, w utworze Guzenki jest zjawiskiem zaskakującym. Powieść Guzenki, która liczy 630 stron, zbudowana jest jak sensacyjny romans kryminalny. Czyta się ją jednym tchem.

Pod tym względem przypomina również technikę Dostojewskiego, którego największe utwory często osnute były wokół sensacyjnego romansu kryminalnego.

Akcja powieści rozwija się dookoła sprawy młodego profesora historii Fjodora Nowikowa, który jest jednocześnie od lat młodzieńczych tajnym agentem NKWD. W chwili rozpoczęcia powieści Nowikow otrzymuje od NKWD zadanie specjalne, szczególnej wagi : utrzymać w zgodzie z nową linią partyjną pisarza Gorina. Nazwisko Gorina potrzebne jest propagandzie sowieckiej. Znany humanitaryzm Gorina i jego popularność mają być zasłoną dymną w czasie przygotowującej się Wielkiej Czystki i kolektywizacji. Ale jak przekonać pisarza, który już zaczyna zdradzać objawy zwątpienia. Przekonać, lub zniszczyć — oto zadanie, które otrzymuje Fjodor Nowikow. Nowikow jest człowiekiem młodym, który zna tylko jedną zasadę moralną, jakiej nauczyła go rewolucja komunistyczna : wszystko jest dopuszczalne dla utrzymania się przy życiu. Nowikow wie, że jest kanalią. Wie że jest narzędziem zła. Nie kłamie sam przed sobą. Jego ofiara — pisarz Gorin jest człowiekiem głoszącym szlachetne hasła humanitaryzmu. Ale Gorin kłamie przed samym sobą. Widzi straszliwą tyranię jaka wyrasta z gruzów rewolucji, tyranię, zasłaniającą się hasłami, których on, Gorin, stał się żywym symbolem. Gorin łudzi się, chce się łudzić. Wmawia w siebie argumenty, na usprawiedliwienie swojej niemal aprobaty dla nieludzkiej tyranii i powoli przygotowuje swoje samozniszczenie. Ostatnie rozmowy Nowikowa z Gorinem przypominają dialogi braci Karamazowych.

„Upadek Tytana" jest dramatycznym oskarżeniem liberalnych intelektualistów, którzy przez egoizm lub strach, przyczynili się do utrwalenia tyranii komunistycznej.

Żadne, nawet najbardziej szczegółowe streszczenie nie oddaje bogactwa tego niezwykłego utworu. Ma on oczywiście i słabsze momenty. W szczególności sprawy erotyczne zostały w powieści potraktowane w sposób trochę tani i naiwny. Zastanawiałem się czy przypadkiem tłumacz amerykański lub agent literacki nie namówili autora na dorzucenie taniej erotyki dla celów komercjalnych. Jeżeliby tak było naprawdę to wyrządzili książce krzywdę, gdyż i bez tego osiągnęłaby obecny sukces. Pomimo pewnych nierówności jest to niewątpliwie — od czasu „Darkness at Noon" Koestlera — najbardziej wstrząsający obraz Rosji Sowieckiej, przekazany piórem wielkiego talentu.

Powieść Guzenki ukazała się na razie tylko po angielsku. Należy mieć nadzieję, że Dom Czechowa udostępni czytelnikom to niezwykłe dzieło w oryginale rosyjskim.

Jan OLECHOWSKI

Pod pretekstem «best-sellera»

Czy istnieje recepta na „best-seller" ? Podobno Jacques Laurent przeczytał kilkadziesiąt powieści o największym nakładzie, obliczył procentowo zawartość seksualną, napięcia, dialogu, i jak dobra gosposia wyważył „Caroline Chérie". Stał się milionerem. Inteligentni czytelnicy mają często do „best-sellera" pogardę, która nie wydaje mi się uzasadniona. Ostatecznie patronują temu literackiemu Eldorado geniusz Balzaca i Victora Hugo, talent i humor starego Dumasa. Ale zostawmy na stronie wielkie książki, które były także sukcesem wydawniczym („Nędzników", „Trzech Muszkieterów" czy „Ogniem i Mieczem"). Weźmy powieści sezonowe, czytane przez wszystkich, prócz zwolenników literatury. Sukces jest tu osiągalny dla dwóch kategorii pisarzy : naiwnych i bardzo inteligentnych. Ouida, Octave Feuillet, Mniszkówna, Baronowa Orczy, Matilde Serao należą do pierwszej kategorii. Ich „day-dream", zwykle snobo-seksualne marzenie, jest przypadkową kulminacją bowaryzmu całego pokolenia. Inteligentny autor potencjalnego „best-sellera" stoi natomiast przed nielada zadaniem. Musi myśl, dowcip, zmysł krytyczny, światopogląd zakamuflować pod Hollywood, ubrać w „Glorious Technicolor". Bez wnikliwości psychologicznej ukazać postacie w prawdziwym wymiarze — to zapewne niełatwe zadanie. Bodaj jeszcze trudniej znając labirynty ludzkiej duszy, zredukować ją do tej „prostoty", jakiej wymaga wielka publiczność. Ale, mimo najlepszej woli, mimo mimikry naiwności, inteligencja przebija zawsze.

Płynie ona żywym, podskórnym nurtem w *Paris Original* Aleksandry Orme (Houghton Mifflin Company, Boston, 1954). Autorka tej powieści jest Polką, jedną z najbardziej inteligentnych kobiet jakie znam. Zawsze mnie trochę zaskakuje jak dziwna niespodzianka, kiedy ktoś, wypowiadający się doskonale i wszechstronnie w życiu, chwyta się tej psychicznej protezy jaką jest sztuka czy literatura. Być piękną kobietą, olśniewającą w rozmowie, mieć oddanych przyjaciół (i konieczny do tego talent przyjaźni), umieć samej uszyć sobie suknię jak paryski model i ugotować świetną kolację na poczekaniu — wydawałoby się, że to wystarczy. Ale może *Paris Original* nie jest literaturą ? Może... Tylko że książka udała się Aleksandrze Orme jak udaje jej się rozmowa, tort, wieczorowa suknia : doskonale.

Temat jest odpowiedni dla „best-sellera" — łączy „glamour", sentyment i politykę. Krystyna, młoda i ładna Polka, pracuje na emigracji w wielkim paryskim domu mód, „Maison Deschamps — Haute Couture". Mąż jej, Tadeusz, z którym rozłączyła ją wojna, po latach wygnania na Syberii powrócił do Warszawy i — rok 1948 — ma doskonałą posadę w polskim radio. Namawia żonę do powrotu. Ale dawne i prawdopodobne niewierności Tadeusza, oraz paryska samotność, skłaniają uczucia Krystyny do pięknego Jasia Ostrowskiego, majora 2. Korpusu. Tadeusz przyjeżdża do Pary-

ża — niewolnik towarzyszących mu „politruków" — nie odzyska jednak Krystyny. Książka kończy się, jak należy, miłym „happy-endem" z pięknym Jasiem.

Ale epizody sentymentalne Krystyny (siostra Panienki z Okienka i Ani z Zielonego Wzgórza), Jaś Ostrowski (Malowany Ułan) — to tylko preteksty, konieczna nić przewodnia dla czytelników zmęczonych telewizją. Humor, zmysł obserwacji, satyryczny pazur autorki — wszystko to błyszczy w opisie tła — śmiesznej, groźnej, drapieżnej i absurdalnej „Maison Deschamps". Dziwne że nikt we Francji nie wyzyskał tych jaskiń Diora, Fatha, Rochasa, w których kryją się skarby dla satyryka. Zrobiła to dopiero Polka — w amerykańskiej książce. Tylko że *Paris Original*, to jeszcze coś więcej. W formie lekkiej, satyrycznej powieści Aleksandra Orme tłumaczy wielkiej amerykańskiej publiczności stan psychiczny i umysłowy ludzi za Żelazną Kurtyną.

Biorąc pod uwagę prymitywny manicheizm amerykańskiej opinii publicznej, dla której obecny konflikt jest walką Arymana z Ormuzdem — książka Aleksandry Orme jest odważną próbą wytłumaczenia, że historia to nie bajeczka dla dzieci. Toteż nic dziwnego, że wśród entuzjastycznych krytyk jakie *Paris Original* miała w prasie amerykańskiej („Time", „Newsweek", „New York Times" itd.), powtarza się — właśnie na temat elementu politycznego — to zdanie : „It's an eye-opener !"

Czytałem książkę Aleksandry Orme kiedy ukazał się w „Kulturze" artykuł Mieroszewskiego o Polakach w „diasporze". *Paris Original* wydaje mi się świetnym przykładem takiej właśnie postawy jakiej życzy sobie w każdej dziedzinie życia od rozproszonych Polaków Mieroszewski. Oto lekka książka amerykańska o paryskiej modzie, która więcej może znaczy jako naświetlenie naszych problemów od poważnej publicystyki...

K. A. J.

Słowiański folklor

Niestrudzony animator slawistyki kanadyjskiej, profesor Rudnyćkyj, wydaje nakładem University of Manitoba serię tekstów z folkloru słowiańskiego. Ukazały się już teksty ukraińskie, polskie i rosyjskie (1). Odpowiednie tomiki, zawierające komentarz oraz słowniczek są w przygotowaniu. Należy przyklasnąć temu pomysłowi z wielu przyczyn : zbyt często wschodni Europejczycy, Polacy czy Rumuni, wychowani na literaturze „literackiej" nie doceniają własnego folkloru lub — gorzej jeszcze — mają pewien kom-

(1) *Readings in Ukrainian Folklore*, compiled and edited by J. B. Rudnyćkyj, str. 32. Winnipeg, University of Manitoba Press 1951. *Readings in Russian Folklore*, str. 32. ib. 1952. *Readings in Polish Folklore*, str. 32, ib. 1953.

pleks niższości w tym względzie i wolą zapoznawać obcych z literaturą 19 czy 20-wieczną swego kraju, która wchodzi w kategorie czy — jak mówią Francuzi — *genre*'y literackie, uznane na Zachodzie. Jest jasne jednak, że zachodniego Europejczyka lub Amerykanina zainteresują bardziej niż autor ,,równie dobry jak Balzac" niż wschodnio-europejski Molier lub Dickens — rzeczy oryginalne i właśnie takie, które w kategorie znane na Zachodzie zamknąć się nie dadzą. W dziedzinie literatury będzie to właśnie literatura ludowa. Innym powodem, dla którego należy pochwalić inicjatywę profesora Rudnyćkiego, jest to, że daje on do rąk studentom slawistyki w Kanadzie — bo dla nich w pierwszym rzędzie przeznaczone są książeczki — materiał naprawdę nieodzowny dla wczucia się w dany język. Mimo iż kultura nasza jest już od tylu wieków nie-chłopska, nie-ludowa, to jednak utrzymała kontakt z całym światem wyobrażeń ludowych. (Tym bardziej jest to prawdziwe w odniesieniu do literatury ukraińskiej). Każdy z nas wyniósł z dzieciństwa szereg asocjacji, których nie nauczy się amerykański student z arcydzieł literatury polskiej. Czy to chodzi o legendę o Panu Twardowskim czy o znaną bajkę ,,gdzie diabeł nie może tam babę pośle", o kolędy czy o kołysankę ,,Aaa kotki dwa", czy wreszcie o przysłowia, których przecież nie znajdzie w słowniku, jak choćby ,,Mądry Polak po szkodzie" czy ,,Gdzie kucharek sześć". Wszystko to stanowi niejako podkład, glebę, na której dopiero narasta u nas literatura ,,literacka". Obcy czytelnik, znajdując nieraz aluzje do tych wszystkich rzeczy czy to u Prusa czy u Żeromskiego czy nawet u Kochanowskiego (Cieszy mnie ten rym Polak mądr po szkodzie), będzie się czuł zagubiony i nie łatwo znajdzie wyjaśnienie, o ile sam nie mieszkał w Polsce lub nie będzie miał Polaków pod ręką. Książeczki profesora Rudnyćkiego na to częściowo zaradzą (wszystkie przykłady powyższe zaczerpnięte są z tomiku polskiego) i w tym leży ich znaczenie praktyczne. Temu samemu, to jest wprowadzeniu studentów w utwory literackie, służy piosenka ,,Pani pana zabiła" (prototyp *Lilii* Mickiewicza) lub ,,Klechda o trzech siostrach", dalszy już nieco prototyp *Balladyny*.

Celem tomików jest jednak niewątpliwie dać studentom łatwe teksty z literatury ludowej, łatwe ale przede wszystkim interesujące literacko i treściowo. A więc zabawne opowiadanie jak o diable i o babie, lub śliczna bajka rosyjska o kocie Kotofieju Iwanowiczu, który ożenił się z chytrą lisicą i został gubernatorem lasu, jak pieśni, które należy oczywiście traktować jako *poezję* ludową i z których najpiękniejsze — obok kilku polskich kolęd — są rosyjskie zawodzenia po umarłych i byliny (Ilia Muromiec, Wasilij Busłajew) oraz dumy, pieśni liryczne i zawodzenia ukraińskie. Nie mogę się powstrzymać od zacytowania tu, w przekładzie, fragmentu zawodzenia ukraińskiego (zapisanego w roku 1943, a więc po dwudziestu pięciu latach rządów sowieckich w obwodzie Zaporoże nad Dnieprem):

Oj mój syneczku, oj mój sokoliku !
Oj dokąd że ty od nas oj dokąd się zabierasz ?
Oj komuż ty nas i komuż nas zostawiasz ?
Oj czymże myśmy tobie i czymże dokuczyli,
Oj że ty od nas teraz się odrzekasz !
I czy się tobie nasza chatynka nie podobała ?
I czy tobie u nas nie było gdzie chodzić ?
Oj jakiej żeś ty chatynki oj jakiej sobie zapragnął ?

Oj ciemna ona u ciebie i smutna i niewesoła !
Oj nie ma tam ani okieneczka ni drzwi !
Oj w tę chatynkę i słoneczko nie zaświeci;
A w tę chatynkę ni wiatr bujny nie powieje...

Zadaniem tomików jest więc w pierwszym rzędzie dać studentom łatwe lecz interesujące teksty wprowadzające ich w folklor. Jak słusznie pisze autor we wstępie, zbiorek służyć ma nie tylko do zapoznania się z językiem, ale też z filozofią ludu, wydarzeniami historycznymi, humorem i moralnością (ludową), no i wreszcie z samym pięknem języka. Wyłączając wydarzenia historyczne ,które, jak wiadomo, znajdują w folklorze odzwierciadlenie specjalne i zgoła a-historyczne, można się w zupełności zgodzić z celami wydawcy. Inna sprawa jak te cele zostały wykonane. Z samej już klasyfikacji (anegdoty, nowele, opowiadania historyczne, dumy, pieśni, zawodzenia, przysłowia itd.) wynika, że profesor Rudnyćkyj daje tu wybór *literatury* ludowej (a nie na przykład tekstów ilustrujących obrzędy całoroczne lub technikę rolniczą, które też wchodzą w zakres pojęcia „folklor"). Jest to więc podział na rodzaje *genre'y* literackie, toteż należało chyba przy tym zastosować i kryteria literackie, w interesie zresztą samej książki. Otóż obok bardzo pięknych rzeczy jak cytowane już powyżej dumy itd. lub jak opowiadanie o trzech towarzyszach (biorę dla przykładu tomik ukraiński) są też rzeczy mniej wartościowe lub zbyt fragmentaryczne. Tak na przykład zamiast zamieścić jedną z tylu pięknych kolęd huculskich (np. o św. Mikołaju, o polowaniu na tura-jelenia czy o koniu zaczynającą się : *Oj hordyj pysznyj pane panyczu, Pysznyj panyczu pane Wasylu. Oj jak ty sobi z hir poczynajesz, Z hir poczynajesz, konia sidłajesz*) zamieszczono kolędę urywkową, której wartość literacka jest wskutek tego znacznie uszczuplona. (Nie mówiąc już o tym, że kolęda jest banalna, który to zarzut można również uczynić kilku innym piosenkom). To samo w jeszcze znaczniejszym stopniu widać w tomiku polskim : wartość literacka opowiadania o królu Kazimierzu, czy zaklęcia przeciw szczurom (w przeciwieństwie do poetycznego zaklęcia przeciw ukąszeniu żmiji) jest niewielka. Skoro już mowa o zaklęciach, to należy wyrazić żal, że profesor Rudnyćkyj nie zamieścił ani jednego zaklęcia ukraińskiego (są trzy polskie i trzy rosyjskie). Znane mi na przykład zaklęcia huculskie są prawdziwymi poematami surrealistycznymi, a znaleźć je było można choćby, zebrane przez Iwana Franko, w *Etnograficznym Zbirnyku* T-wa im. Szewczenki (tom V).

Tak samo mija się raczej z celem umieszczanie, pod hasłem *Pieśni taneczne* takich przyśpiewek raczej niż pieśni : *Nie chodź koło wozu, nie trzymaj się osi, Nie daj chłopcu gęby, choć cię o to prosi* (to cała piosenka) czy też :

Jedna baba oszalała
A druga się wściekła,
Trzecią diabeł okulbaczył,
Pojechał do piekła.

To samo odnosi się do *Wieśnianki* w tomiku rosyjskim (nr 25). Inne teksty w tomiku polskim wychodzą już zupełnie poza ramy literatury. Tak więc relacja o dyngusie (napisana w Kanadzie) nie ma nic wspólnego z literaturą ludową, a jest opisem zwyczaju ludowego (nie tylko zresztą ludowego).

Podobnie ,,Kalendarz w przysłowiach" (zaczerpnięty z Kalendarza ,,Czasu" w Winnipeg na rok 1949). Jest to opis przesądów ludowych ilustrowany powiedzeniami typu ,,W marcu jak w garncu". Autor kalendarza zna pewne zwyczaje ludowe, ale to jeszcze nie jest literatura. Niektórych powiedzeń zresztą wytłumaczyć nie umie i tak pisze : ,,Kończy się rok, zbliża się noc najdłuższa, chociaż już od 13 grudnia : ,,Święta Łuca dnia przyrzuca", to jednak dopiero od Bożego Narodzenia zacznie na prawdę dni przybywać". Nie wie więc zapewne, że św. Łucja była przed reformą kalendarza juliańskiego najkrótszym dniem roku to jest dniem przesilenia zimowego (stąd być może poświęcono go świętej Łucji, od lux, lucis — światło). To wyjaśnienie znajdziemy jednak prawdopodobnie w tomiku komentarzy, których ukazanie się zapowiada profesor Rudnyćkyj.

Inne teksty zaliczają się chyba do literatury, ale mniej do folkloru. Powstaje jednak przy tym kwestia, równie trudna jak kwestia definicji literatury ludowej, to jest kwestia definicji folkloru. Wiadomo, że wiele pieśni dziś ludowych wywodzi się nieraz z utworów niegdyś dworskich, mieszczańskich lub szlacheckich. Trudność leży w tym : ile czasu potrzeba, aby dana pieśń stała się pieśnią ludową, aby ,,wsiąkła" w folklor. Sama oczywiście definicja literatury ludowej jako literatury ustnej nie wystarcza, bo jasne jest, że np. pieśni wojskowych uczymy się w wojsku ustnie. Czy należą one dzięki temu do folkloru wojskowego ? Chyba nie. Niektóre kolędy znowu przekazują się z pokolenia w pokolenie w miastach. Czy należy tu mówić o folklorze miast, jak to czynią niektórzy uczeni ? Wszystkie te uwagi spowodowane zostały zamieszczeniem przez profesora Rudnyćkiego piosenek : *Jak to na wojence ładnie, Przybyli ułani pod okienko,* a nawet *My, pierwsza brygada.* Sądzę, że tu przydałaby się definicja folkloru i literatury ludowej jako a-historycznej. W pieśni i opowieści ludu ukraińskiego Chmielnicki a tym bardziej Chwedor Bezridnyj są postaciami legendarnymi, potraktowanymi na płaszczyźnie a-historycznej. Nie jest nią jednak jeszcze ,,nasz drogi wódz" z *My, pierwsza brygada.* Tak samo ukraińska pieśń *Zasumuj trembito,* która — jak wskazuje pobieżna nawet analiza rytmu i słownictwa — nie jest pieśnią ludową. Nie mówiąc już o takim sowieckim sloganie wśród przysłów i powiedzeń rosyjskich : ,,Kto ljubit swoju rodinu i narod, tot nastojaszczij patriot". Nie chcę przez to powiedzieć bynajmniej, że zbierając dla celów naukowych pieśni na wsi, należy — jak to robiono dawniej — opuszczać tego rodzaju miejskie twory, które przeniknęły na wieś. Tak więc na przykład w *Pieśniach ludu pomorskiego* (Toruń 1936) profesor Kamieński na 277 zebranych tekstów zapisał też pieśń legionów, hymn narodowy, dwie pieśni szkolne, i pieśń Moniuszki, wychodząc z założenia, że wszystko co chłopi podają z pamięci należy do literatury ludowej. Trzeba jednak przyznać, że spotkał się wówczas z krytyką, która porównała zbiór Beli Bartoka *Das ungarische Volkslied,* który na 7.800 zebranych tekstów ogłosił tylko 320 typowych. Bartok wydał więc pieśni prawdziwie ludowe, przekazywane przez tradycję lub stworzone na wsi, profesor Kamieński zaś i pieśni przypadkowe, które , gdy zmienił się reżym, wyleciały zaraz z pamięci ludu. Można się więc zastanawiać, jak należy wydawać zbiory kompletne, ,,korpusu pieśni" danej okolicy czy regionu, jasne jest jednak, że w 32-stronicowym wyborze obowiązywać musi zasada Beli Bartoka : tylko rzeczy typowe i — dodam z myślą o celu, któremu służą — tylko o wysokiej wartości literackiej.

Trzeba przyznać, że pod tym względem zbiorek ukraiński najbardziej rozczarowuje. Wydaje mi się, że pod względem literackim o wiele wyżej stoją znane mi bajki i legendy pokuckie a zwłaszcza zakarpackie od opowiadań żartobliwych. W ogóle bajki i legendy są w tomiku tym potraktowane po macoszemu. Być może zawinił tu brak odpowiednich źródeł, bo pewna ilość tekstów podana jest z zapisów współczesnych, co znowu jest konieczne przy zbieraniu materiałów z pierwszej ręki, ale szkodliwe tam, gdzie są teksty starsze a więc przeważnie lepsze. Wydaje się, że wydawca uległ mirażowi ,,autentyzmu", który każe teksty zebrane wprost ,,z ust ludu" uważać za lepsze niż teksty drukowane (które też jednak zebrano z ust ludu). Tomik rosyjski, dla którego autor wykorzystał wielką ilość starszych nawet źródeł drukowanych a nie posługiwał się zupełnie własnymi zapisami, jest dużo lepszy.

Oczywiście są jednak i teksty drukowane, z którymi należy mieć się na baczności. Należy do nich i *Bajarz polski* Glińskiego lub tym bardziej tekst polski o Złotych Wrotach w Kijowie, który — jak wynika choćby z miejsca publikacji (Kijow 1870) no i z porównania z tekstem zamieszczonym w tomiku ukraińskim — jest po prostu nieco opracowanym przez inteligenta przekładem z oryginału ukraińskiego. Wynika to też i z samego tekstu, gdzie mowa o *kopicy* siana i gdzie jest *Batij*, celownik *Batemu*, nie mówiąc już o placu ,,*złotowrotskim*" i o Kijowie *świętym* (w żadnym polskim opowiadaniu nie będzie przecież mowy o ,,Kijowie świętym"). Tekst ten skądinąd jest ciekawym przykładem współżycia polsko-ukraińskiego, ale nie jest typowy dla folkloru polskiego. Oczywiście podawanie opowiadań analogicznych w różnych językach może być wskazane. Robi to autor z opowiadaniem o trzech siostrach. Należało jednak podać, gdzie został zapisany tekst polski.

Nie chciałbym twierdzić, że należy eliminować z folkloru to co jest kreacją najnowszą, o ile jest pochodzenia ludowego. Tak więc ciekawym przykładem zaginięcia śpiewanej wersji bylin a zachowania się jedynie wątku opowieści jest ,,bylinnyj rasskaz" *Wolga i Mikula* a także *Sadko* zapisane oba nad jeziorem Onegą w roku 1926. Równie ciekawym przykładem ,,asymilacji" techniki przez tradycje wiejskie jest nowe przysłowie rosyjskie : ,,I traktor imiejet charaktier". Wszystkie jednak przysłowia wymagają komentarzy.

Niewolnicza wierność wobec zapisanego tekstu jest w tego typu zbiorkach równie nie na miejscu jak kult autentyzmu. Skoro autor zaznaczył, (przynajmniej w tomiku polskim), że drobne zmiany poczynione zostały w tekstach celem uniknięcia form gwarowych, to już należało i usunąć formy jak ,,*Kieni* jedziesz Jasiu". W tekście pieśni ukraińskiej o Neczaju (nr 19) należało zapewne poprawić na : Oj ne czas tobi, taj Neczajenku, Taj *ljaszenkiw byty* zamiast *ljaszenky wbyty*. A wreszcie szkoda, że tekst polski zawiera błędy ortograficzne : *na prawdę* na str. 32 zamiast *naprawdę;* o rycerzach *Trzebnickich* zamiast *trzebnickich*. Gdyby przymiotnik ten napisano poprawnie z małej litery, nie myliłoby się to z nazwiskiem i zbędne było by wyjaśnienie, że są to rycerze z Trzebnicy.

Podkreśliliśmy zarówno te drobiazgi jak i błędy natury zasadniczej nie dlatego, by się ,,czepiać" lub by wykazywać, że książeczki są bezwartościowe. Wręcz przeciwnie, są one jak najbardziej pożyteczne i życzyć tylko należy profesorowi Rudnyćkiemu, aby wydał jak najprędzej tomiki : białoruski, słowacki, serbsko-chorwacki itd. Właśnie dlatego jednak, że książecz-

ki są wkładem do tak ubogich dziś i trudno dostępnych wydawnictw poświęconych literaturze ludowej, należało podkreślić ich niedociągnięcia, aby móc ich uniknąć na przyszłość czy to w następnych tomikach serii czy to w drugim wydaniu, którego należy autorowi szczerze życzyć.

Andrzej VINCENZ

Notatki wydawnicze

Wśród pisarzy, którzy w pierwszych dziesiątkach lat XX wieku odnowili samą koncepcję powieści, wymienia się zawsze Prousta i Joyce'a. O wiele mniej znane jest dzieło Italo Svevo, a przecież powieści jego są równie ,,laboratoryjne''. W fizyce, w chemii, często zdarzają się odkrycia ,,jednoczesne''. Podobnie w literaturze, która przecież także operuje wciąż nowym materiałem doświadczalnym. Italo Svevo, tak jak Proust i Joyce, tropił widmo osobowości poprzez złudę czasu. Zostawił dwie książki : ,,Senilita'' i ,,La Conscienza di Zeno''. Są to powieści o konstrukcji bardziej klasycznej, bardziej ,,normalnej'' od ,,Czasu Utraconego'' czy ,,Ulissesa''. Może dlatego nie stały się nigdy sensacją. Mało znane we Włoszech zagranicą cenione przez drobną grupę znawców jak Valéry Larbaud, Benjamin Crémieux, sam Joyce, powieści Sveva — wydane po włosku w latach 1918-1923 — były rzadko tłumaczone na obce języki Teraz dopiero ukazało się tłumaczenie francuskie ,,Świadomości Zena'' (*La Conscience de Zeno*, Gallimard, 1954). Italo Svevo był ciekawą postacią. Podobnie jak Proust, wszedł do literatury jako ,,amator''. Żył przez długie lata ,,normalnym'' życiem bogatego przemysłowca z Triestu. Żydowskiego pochodzenia, uważał się Svevo za Włocha, pisał po włosku ,mówił stale triesteńskim dialektem (dziwną mieszaniną włoskiego i kroackiego), kulturalnie stał oczywiście w zasięgu Wiednia : ,,ein Kulturmensch''. Mało kto podejrzewał, że ten spokojny klient kawiarni ,,Tergesteo'' tworzy jedno z najoryginalniejszych dzieł XX wieku. ,,La Conscienza di Zeno'' — pierwsza jego powieść — ukazała się kiedy Svevo miał koło sześćdziesiątki. Zeno, bohater książki, jest, jak Svevo, zamożnym przemysłowcem z Triestu. Książka napisana jest w formie notatek prowadzonych na polecenie psychoanalityka. Całe życie Zena jest właściwie jedną serią ,,actes manqués''. Svevo ukazuje nam ,,kompleks'' Zena niezwykle subtelnie : ani lekarz, ani sam pacjent nie dadzą nam klucza— ale sam pisarz przecina świadomość swego bohatera na tak różnych poziomach, że całość wreszcie daje nam rozwiązanie. Jest to jedna z rzadkich książek w których psychoanaliza nie jest potraktowana jako pisarska ,,sztuczka'', jako recepta: ale daleko też było wówczas do psychoanalitycznego banału. W roku 1920 wychodzi jeszcze ,,Imago''. Dr Siegmund Freud w swym wiedeńskim gabinecie jest jeszcze niepokojącym odkrywcą. Psychoanaliza sprzed ,,Readers Digestów''. Spokojny, klasyczny styl Sveva czasami przypomina Thomasa Manna. Ale skrom-

ny amator z Triestu szedł dalej, odważniej w głąb ludzkiej świadomości. ,,Świadomość Zena'' pozostanie jako powieść, ale także jako data w historii psychicznej eksploracji.



Jacques Chardonne jest, podobno, świetnym pisarzem. Mówię ,,podobno'', gdyż nigdy nie zdołałem przedrzeć się poza pierwsze strony jego powieści. Cóż z tego że szarość, monotonia, nuda są u niego celowe, że stają się elementami stylu ? Działają na mnie nie mniej odstraszająco. A jednak przeczytałem jego listy do Roger Nimier (Jacques Chardonne: *Lettres à Roger Nimier*, Grasset, 1954), z ciekawością. Motto do tej książki napisał sam Chardonne w jednym z tych listów (mówiąc o włoskich notatkach Max Jacoba): ,,tylko literat może się ośmielić pisać rzeczy tak nikłe i wierzyć, że są interesujące gdyż wyszły spod jego pióra''.

Roger Nimier jest jednym z młodych ,,lwów'' francuskiej literatury. Należy do grupy pisarzy z okolic ,,Parisienne'', którzy mimo wyraźnie ,,prawicowych'' tendencji szczycą się swą pogardą dla polityki i chcą ,,zabawiać'' siebie i innych. Nimier, cięty i dowcipny, osiąga nieraz swój cel. Chardonne, spokojny, melancholijny i dystyngowany, miał polityczne kłopoty po wojnie za swój stosunek do okupanta. Widzi on może w Nimier ,mściciela'' czy ,,późnego wnuka''. Stąd ciekawe połączenie w tych listach świetnego, prostego stylu, finezyjnej obserwacji szczegółu, z zapożyczoną jakby od Nimier agresywnością. Jest tam zarys powieści, dużo sceptycyzmu i goryczy, trochę wrażeń z podróży. Ale najsilniej uderza odwaga pisania rzeczy nikłych... Zapewne dlatego że tyle jest w tej książce wycieczek osobistych, ,,Listy'' Chardonne'a są sensacją sezonu. Zachwyca się nimi nawet Mauriac, mimo nagan politycznych pod adresem Chardonne'a, moralnych pod adresem Nimiera.



Okładka z rysunkiem irytującego Peyneta. Tytuł — ,,Fizjologia Paryża'' — przypomina pretensjonalnego Hoffeta, brzmi niby — lekko, zapowiada uśmiechnięte binokle żartownisia z Sorbony. Tymczasem jest to książka urocza, płynna, naturalna, nowa. Armand Lanoux jest poetą, jego Paryż jest poematem. Oto, nareszcie, ,,twórczy przewodnik''. Nic z kulturalnych praktycznych czy socjologicznych Bedaekerów, którymi zalewają nas co miesiąc automobil-kluby, fotografowie-amatorzy, urzędy turystyczne. Lanoux dokonał nielada sztuki : tłumaczy Paryż stylem, rytmem zdania, grą słów. Od menuetów Couperina czy Rameau, aż po szaleńczy ,,French-Cancan'', każdy rozdział ,,*Physiologie de Paris* (Arthème Fayard, 1954) ma swoją muzykę. Erudycja Lanoux jest niewyczerpana i zawsze wychodzi poza utarte szlaki. Ilustracje są również nieoczekiwane: ,,ilustrują'' niemal surrealistycznie, zespalają się z tekstem głębiej niż na mocy samego obrazu.



Spośród francuskich poetów XVI wieku, najbardziej znany jest Ronsard, pełen uroku i uśmiechniętej melancholii. Ale współcześni mu Agrippa d'Aubigné, Louise Labé czy Scève byli poetami w innym po prostu wy-

miarze, i oceniono ich dopiero poprzez pryzmat Rilkego czy Valéry'ego, których wyprzedzili o czterysta lat. „Délie" Scève'a jest jednym z najpiękniejszych francuskich poematów. Jest to poemat miłosny, zarazem filozoficzny i hermetyczny. Pierre Boutang daje teraz *Commentaire sur quarante-neuf dixains de la Délie* (Gallimard, 1954). Jest to niezwykle przenikliwy, płomienny komentarz, w którym platonizm, ascetyzm Lyonu z XVI wieku i samo pozaczasowe zjawisko miłości interpretowane jest w sposób osobisty i oryginalny.

(j)

W dwóch słowach

J. G. Leithauser: *L'Homme à la conquête de l'Univers* (Plon, 1954):

Uczony niemiecki opowiada o przyszłych podróżach w kosmosie z precyzją fizyka i realizmem godnym broszury Cooka.

Henry James: *Carnets* (Denoël, 1954):

Tłumaczenie francuskie notatek wielkiego pisarza — bardziej pasjonujących od jego powieści. Wspaniała szkoła rzemiosła pisarskiego.

Herbert Wendt: *A la recherche d'Adam* (La Table Ronde, 1954).

André Senet: *L'Homme à la recherche de ses Ancêtres* (Plon, 1954).

Poważna antropologia, o rytmie i napięciu „detektywów".

Robert Payne: *Les Pères de l'Eglise de l'Occident* (Corréa, 1954).

Jak, ze wschodnich źródeł, powstała zachodnia doktryna chrześcijańska.

Max Jacob: *Correspondance* (Ed. de Paris, 1954).

Max Jacob miał pięćdziesiąt lat temu wśród młodych prestiż na miarę Picassa i Apollinaire'a. Przed wojną był niemal zlekceważony. Teraz dopiero przywraca mu się należne miejsce — u źródeł kubizmu i nowej poezji. Korespondenci Jacoba — to Picasso, Braque, Modigliani...

Jacques Maudit: *40.000 Ans d'Art Moderne* (Plon, 1954).

Książka oparta na znanym paradoksie : że malarz jaskiniowy jest potomkiem Klee, Picassa i Dubuffeta. Zawiera ciekawy artystyczny katalog sztuki „przedhistorycznej".

Renée Massip: *La Régente* (Gallimard, 1954).

Jeszcze jedna powieść o tyranii matki. Poważna kandydatura do nagrody Goncourt.

Silvagni: *La Peau des Mercenaires* (Gallimard, coll. „L'Air du Temps", 1954).

Najżywszy dokument dotyczący Legii Cudzoziemskiej: autor łączy doświadczenie z darem pisania przypominającym Céline'a.

WIELKA BRYTANIA

Osbert Sitwell: *The Four Continents* (Macmillan, 1954).

Esseje, wspomnienia, dociekania: jak zawsze u Sitwellów, wspaniałe połączenie erudycji i poezji.

Elie A. Cohen: *Human Behaviour in the Concentration Camp* Jonathan Cape, 1954).

Wybitny psychoanalityk, który przeszedł przez hitlerowskie obozy koncentracyjne, daje zadziwiająco obiektywną analizę psychologii katów i ofiar.

Philip Williams: *Politics in Post-War France: Parties and the Constitution in the Fourth Republic* (Longmans, Green and Co.).

W XVII wieku (Montesquieu) i w XIX wieku (Tocqueville), Francuzi byli najlepszymi znawcami angielskiej konstytucji.
Obecnie rewanż biorą Anglicy : po Broganie, Williams daje najlepszą analizę francuskiej polityki wewnętrznej.

Vice-Admiral Leslie C. Stevens, U.S.N.: *Life in Russia* (Longmans, 1954).

Notatki z trzech lat spędzonych w Moskwie jako attaché morski przy ambasadzie amerykańskiej.

Maxim Litvinov: *Notes of a Journal* (André Deutsch, 1954).

Prywatne notatki Litwinowa, zawierające wiele szczerych uwag na temat celów i metod sowieckiej polityki w latach 1926-1941. Notatki te zostały tajnie wywiezione z Rosji przez Szwecję. E. H. Carr, który dał do książki przedmowę, twierdzi że prawdopodobnie notatki te zostały „uzupełnione".

NIEMCY

Dr. Wilhelm Momsen: *Deutsche Partei Programme des Gegenwart* (Isar Verlag, 1954).

Krótki zarys programów partii politycznych zachodnich Niemiec.

Gebhard Seelos: *Moderne Diplomatie* (Atheneum Verlag, Bonn, 1953).

Krótki podręcznik dla nowej generacji niemieckich dyplomatów.

Curt Riess: *Der 17 Juni* (Verlag Ullstein, Berlin, 1954).

Książka w formie imaginacyjnego reportażu o powstaniu czerwcowym w Berlinie.

Przegląd miesięczników

Echa w prasie francuskiej z występów „Mazowsza": pochwały we wszystkich dziennikach. Krytycy zachwyceni są świeżością zespołu, kostiumami, rytmem przedstawienia. Max Favelelli w „France-Soir" uważa że całość jest zbyt cukierkowa. Podobnie Christiane de Rivoire w „Le Monde": twierdzi ona, że jej wspomnienia z dzieciństwa w „Sacré Coeur" są zbyt żywe, aby mogła bez pewnej irytacji widzieć sentymentalne chóry aniołków i „buzie w ciup". „Le Monde", przecież nie uprzedzony do „demokracji ludowych", krytykuje również „klakę" zbyt wyraźnie zorganizowaną na premierze. Okrzyki „niech żyje Polska Rzeczypospolita Ludowa" mało mają wspólnego ze sztuką, twierdzi dziennik. Przedstawienie jest na tak dobrym poziomie, że mogłoby się obyć bez zorganizowanej klaki, która bardziej bezstronnych widzów może tylko irytować.

Jeśli „Mazowsze" spotkało się w Paryżu z doskonałym przyjęciem, to z Warszawy dochodzą echa o wiele bardziej żywiołowego entuzjazmu, z jakim powitano „Théâtre National Populaire" z Jean Vilar i Gérard Philippe. Georges Penchenier, specjalny wysłannik *Le Monde*, donosi że w Krakowie, Katowicach, Warszawie entuzjazm publiczności przechodził wszelkie wyobrażenie. Przed hotelem francuskich aktorów stale czeka tłum. Bilety na przedstawienia sprzedawane są na czarnym rynku za cenę odpowiadającą miesięcznej pensji przeciętnego polskiego urzędnika. W Warszawie, według Penchenier, wydawało się, że przynajmniej połowa publiczności mówi po francusku. W Krakowie „nie dopuszczono na przedstawienia przedwojennej inteligencji mówiącej po francusku": ale także i tam, przed robotniczą publicznością, sukces „Cyda" był niebywały. Używano najrozmaitszych podstępów aby dostać się na salę : i tak w Warszawie, dwóch młodych ludzi weszło do teatru niosąc wielki portret Bieruta — oczywiście nikt nie śmiał ich zatrzymać. Po przedstawieniu znaleziono portret-wytrych porzucony w jakimś ciemnym korytarzu. Gra francuskich aktorów podobała się polskiej publiczności i dyskusje „specjalistów" w oficjalnych dziennikach czy Vilar jest „realistą" nikogo w Polsce nie obchodzą. Penchenier kończy swe sprawozdanie stwierdzeniem że Francja nie mogłaby mieć w Polsce lepszego ambasadora od teatru Vilara.



W Strassburgu wychodzi doskonale redagowany miesięcznik w języku francuskim poświęcony sprawom niemieckim : *Documents* (1, Bld. d'Anvers, Strasbourg). Numer wrześniowy — o literaturze niemieckiej — zawiera szkice, nowele i poezje najlepszych współczesnych niemieckich pisarzy. Artykuł wstępny trafnie określa sytuację niemieckiej nowej literatury, stojącej jakby na uboczu „neopozytywizmu" obowiązującego w Niemczech Adenauera.

Zachodnie Niemcy interesują obcego obserwatora z punktu widzenia politycznego, gospodarczego, społecznego. Mówi się często w tej dzie-

dzinie o „niemieckim cudzie". W tym zespole zagadnień życie kulturalne nie odgrywa jakby żadnej roli. A przecież szereg pisarzy niemieckich zdobyło sobie po wojnie pozycję zagranicą — jak choćby Richter, Andersch, Luise Rinser, Heinrich Böll. Ale ci pisarze zmierzyli wszyscy słynny fenomen „niemieckiego cudu" własną miarą, i są do niego ustosunkowani sceptycznie. Poza rozkwitem gospodarczym, poza zadowoleniem „średnich Niemców" z materialnego powodzenia, pisarze ci odkrywają duchową nicość tych ludzi, nudę jaką wywołuje świat „neopozytywizmu". Dlatego literatura niemiecka lepiej wyraża rzeczywistość współczesnych Niemiec od statystyk i artykułów ekonomicznych. Warto podkreślić szczerość i bezpośredniość tonu tego artykułu w publikacji niemal oficjalnej poświęconej „zbliżeniu francusko-niemieckiemu".

◆

W *Preuves*, nowa i ciekawa interpretacja Chin Mao-Tse-Tunga. Etienne Balazs, profesor Instytutu Wyższych Nauk Chińskich na Sorbonie twierdzi że reżym Mao-Tse-Tunga jest o wiele głębiej zakorzeniony w najdawniejszej tradycji chińskiej niżby to chcieli przyznać komuniści. Według oficjalnej wersji „nowej" historii, Chiny były, aż do ‚rewolucji" krajem „feodalnym", lub „pół-feodalnym". W tej wersji zanika główna charakterystyka chińskiego tradycyjnego społeczeństwa : mandarynat. Bolazs dowodzi że mandarynat — drobna klasa „specjalistów" i „ideologicznych przewódców", wszechpotężna zespołowo, ale której każdy członek nie był nigdy pewien swego życia i wolności, przypomina do złudzenia nową biurokrację rządzącą w komunistycznych Chinach.

Nadesłane nowości wydawnicze

LITERATURA

GROUSSARD (Serge). *Un officier de tradition*. Pp. 239. (Ed. Gallimard, Paris, 1954, frs 450).

PERRET (Vivette). *La tresse*. Pp. 158. (Ed. Gallimard, Paris, 1954, frs 320).

MASSIP (Renée). *La régente*. Pp. 270. (Ed. Gallimard, Paris, 1954, frs 540).

CHAMSON (André). *Le chiffre de nos jours*. Pp. 411. (Ed. Gallimard, Paris, 1954, frs 790).

MORAVIA (Alberto). *La provinciale* et autres récits. Pp. 314. (Ed. Flammarion, Paris, 1954, frs 700).

DUITS (Charles). *Le mauvais mari*. Pp. 265. (Ed. de Minuit, Paris, 1954, frs 540).

SAINTE-SOLINE (Claire). *Mademoiselle Olga*. Pp. 237. (Ed. Grasset, Paris, 1954, frs 465).

STEINBECK (John). *A l'Est d'Eden*. Pp. 748 (Traduit de l'américain par J.-C. Bonnardot. (Ed. Del Duca, Paris, 1954).

POEZJE

PANKOWSKI (Marian). *Poignée du Présent*. Pp. 26. (Ed. Caractères, Paris, 1954).

Listy do Redakcji

Wielce Szanowny Panie,

Nie mogę się powstrzymać od napisania paru uwag na temat Pańskiego artykułu w „Kulturze" pt. *Polacy i poganie* — pierwszego bodaj w prasie polskiej, który przedstawia problemy naszej emigracji w sposób realny i konstruktywny.

Jestem pewny, że wielu z nas, młodych, zgadza się z Panem w zupełności i że znajdzie Pan zwolenników, którzy Pana poprą i zechcą współpracować jeśli idee przez Pana podane wprowadzone zostaną w czyn. Należę do młodego pokolenia Polaków, którzy wykształcili się już zagranicą. Pracuję naukowo w znanej organizacji przemysłowej i spotykam się często z naukowcami tego kontynentu a czasami, podczas kongresów międzynarodowych, z naukowcami całego świata. W czasie podróży i zjazdów często spotykam Polaków pracujących naukowo. Jest ich więcej niż można by się spodziewać.

Niestety, większość z nich jest bierna politycznie. Zaabsorbowani pracą naukową uważają czytanie pism polskich długo opisujących kłótnie pana *x* z *y* na temat punktu z konstytucji za stratę czasu.

Tymczasem możliwości propagandowe tej grupy są, jak to Pan słusznie zauważył, olbrzymie. Stany Zjednoczone będą miały decydujący głos w przyszłym kształtowaniu się świata. Co wiedzą o Polsce Amerykanie? Znają oni tylko rzesze robotnicze, które dopiero teraz w drugim czy trzecim pokoleniu zaczynają uczęszczać na uniwersytety. Niestety pokolenie to słabo już mówi po polsku i nie bardzo orientuje się w zagadnieniach polityki polskiej. Odpowiednio jednak pokierowane i informowane może stać się ważnym czynnikiem w urabianiu opinii amerykańskiej.

Inną potencjalną grupą propagandową są polscy inżynierowie. Są na tym terenie cenieni i powoli wybijają się na wyższe stanowiska. W kraju, gdzie dolar jest niemal bożyszczem, zaoszczędzenie fabryce kosztów przez ulepszenie produkcji zdobywa większy szacunek niż bohaterstwo na polu walki. Znam jednego inżyniera, który przez zmienienie metody obniżył koszta produkcji o kilkaset tysięcy dolarów. Zwrócił na siebie uwagę właściciela fabryki i zaprzyjaźnił się z nim. Człowiek ten jest znanym przemysłowcem, z którego głosem się wszyscy liczą. W razie potrzeby nie trudno go będzie namówić do poparcia naszych interesów narodowych.

Również artyści mogą stanowić poważną grupę propagandową.

Z grup tych uczeni wydają mi się najważniejszymi. Pracując przeważnie na uniwersytetach, stykają się z ludźmi, którzy w przyszłości obejmą stanowiska kierownicze. Dorobek ich pracy i wkład do kultury jest łatwo uchwytny w postaci publikacji naukowych. Potrzebna jest więc organizacja,

która zrzeszyłaby naukowców polskich na świecie i zbierała ich dorobek naukowy. Organizacja, która pomagałaby młodym Polakom w uzyskiwaniu stypendiów i stanowisk na uniwersytetach i która by zachęcała młodzież do obierania kariery naukowej. Współpraca naukowców polskich, rozsianych po całym świecie, orientujących się w położeniu politycznym i pracach naukowych poszczególnych państw ma nieograniczone możliwości. Z drugiej strony zarząd tej organizacji powinien dostarczać członkom materiałów propagandowych i informować ich o sprawach polityki polskiej.

Partie polityczne nie powinny mieć żadnego wpływu na politykę polską na emigracji.

Programy tych partii są nieaktualne w obecnych warunkach — ich ideologia opiera się na stosunkach jakie panowały w Polsce między wojnami. Dziś życie w Polsce i stosunki międzynarodowe tak się zmieniły, że partie te nie reprezentują idej, ale grupy ludzi opierających się na historii. Poza tym celem tych partii politycznych było wprowadzenie w życie ich idei przez dojście do władzy. Cała ich energia więc była skierowana na walce o tę władzę. Polityk polski wychowany w tym duchu nie może się zmienić. Walczy on nie tylko o Polskę ale i o władzę w tej Polsce.

Dlatego to co się dzieje w Londynie, to nie jest walka o Polskę — to jest walka o władzę w przyszłej Polsce. Jak Pan słusznie zauważył musimy *służyć* krajowi — zrezygnować z pretensji rządzenia i zostawić jemu wewnętrzne kwestie polityczne. Naszym zadaniem powinno być propagowanie Polski jako narodu, który zasługuje na wolność i należyte miejsce między czołowymi narodami, mającymi wpływ na rozwój kulturalny świata. Jeśli tego nie spełnimy, za lat kilkanaście Zachód będzie miał taką opinię o Polsce jaką ma teraz np. o Białorusi.

Boję się, że nasi politycy tego nie zrozumieją i nie zrzekną się swych partii. Będzie pewno trzeba poczekać aż nas opuszczą, ale wtedy może być za późno. Albowiem z nimi może nas opuścić i ten gorący patriotyzm, którego młodemu pokoleniu brakuje. Są ludzie, którzy już dzisiaj sprawie polskiej więcej pożytku przynieśli niż niejeden z polityków. Jest profesor geografii, który często bywa zapraszany jako mówca przez lokalne kluby Rotary czy Kiwanis i propaguje polskość podczas ich tygodniowych obiadów. Jest profesor neurologii, o którym każdy lekarz miejscowy wie, że jest nie tylko doskonałym specjalistą, ale i Polakiem. Jest dyplomata, który zaadoptował ośmiu chłopców z obozu w Niemczech i postarał się o wykształcenie ich na takich uczelniach jak Princeton, Yale i Harvard. Chłopcy ci kończą dziś doktoraty i przyjaźnią się z synami najwpływowszych ludzi Stanów. Ale jest i laureat Nobla, który wstydzi się polskiego pochodzenia, jest wielu, którzy są obojętni i starają się zasymilować. Tych trzeba zjednoczyć, zachęcić i przekonać, że mogą i powinni służyć sprawie polskiej pomimo wejścia w społeczeństwo miejscowe.

Trzeba wreszcie zachęcić młodzież do obierania kariery naukowej, ponieważ ona najlepiej ułatwia wejście w klasę, która będzie miała w przyszłości coraz większy wpływ na rozwój kulturalny i polityczny świata.

Są to luźne uwagi, które jednak wydają mi się warte rozpracowania.

Łączę wyrazy głębokiego poważania.

Montreal. *O. W. BRZESKI*

Szanowny Panie Redaktorze,

Należę do przeciętnego typu Polaka pokolenia „średniaków" (44 lat). Wychowany przez szkołę w Polsce niepodległej, przez 10 lat, do wojny 1939, pracowałem jako nauczyciel szkół powszechnych, brałem pełny udział w życiu społecznym i narodowym na Górnym Śląsku. Potem udział w kampanii wrześniowej (jako ppor. piechoty), ranny wracam na Śląsk, gdzie wprzęgam się w ruch podziemny, aresztowania, bicie w gestapo, ucieczka i dalsza praca pod przybranymi nazwiskami, znowu aresztowanie (w kieleckim), ale tym razem już na odmianę obóz koncentracyjny w Oświęcimiu. Potem Mauthausen i uwolnienie „niedobitków" przez wojska amerykańskie. Potem organizowanie życia w obozach D.P., wysyłka młodzieży do 2. Korpusu i podążenie doń jako ostatni. Nieprzyjęty w szeregi jako oficer pracuję w osiedlach Barletta-Trani wśród ludności cywilnej w Referacie Kultury i Prasy oraz jako nauczyciel. Wyjazd do Wielkiej Brytanii. Tu od 1947 roku kolejno na zmianę zarobkowanie pracą umysłową i fizyczną. Praca społeczna w kilku organizacjach społecznych oraz politycznych, z partią ludową na czele.

Artykuł p. Mieroszewskiego był dla mnie silnym przeżyciem, gdyż sformułował bardzo logicznie i z dużą odwagą wszystkie moje gromadzące się wątpliwości, obawy i przewidywania.

Mam wszelkie dane na to by mieć własny sąd o stanie obecnego życia społecznego i politycznego. Biorę czynny udział w kilku czołowych organizacjach emigracji, mam własne dzieci w wieku dorastania i uczę w szkole sobotniej od trzech lat, no i jestem byłym członkiem Rady Politycznej, do której wszedłem po odrzuceniu mandatu do IV. Rady Narodowej w r. 1951.

Szczerze i bezinteresownie chciałem służyć naczelnemu celowi jaki winien nam wszystkim przyświecać od tragicznego września 1939 r.: Wyzwolenie Ojczyzny z niewoli. Wszystkie inne o charakterze socjalnym czy czysto partyjnym są na dalszych miejscach. I cóż się okazało w obecnym kryzysie : małość, ciasność, brak programu realnego i poczucia rzeczywistości oraz wizji na najbliższą przyszłość brutalnie wyszły na światło dzienne.

Popatrzmy na obóz zamkowy — Rząd R.P. Protestem przeciw układom w Jałcie, nie przeciwstawił żadnej koncepcji trwania emigracji politycznej na obczyźnie. Jeżeli P.K.P.R. miał być koncepcją, to była to koncepcja nie nasza i nie w naszym interesie w swoim ostatecznym wyniku. Emigracja Polaków do różnych krajów raczej bezplanowa, bo jeżeli emigracja do Argentyny była cicho zalecana przez koła wojskowe, to tym gorzej dla tych doradców. Propagandzie odmawiania powrotu do Kraju w latach 1945-1947 nie przeciwstawiono żadnych ram zorganizowania życia społeczno-narodowego uchodźstwa na dłuższą metę. Z.P.U.W. czy S.P.K. lub Światpol płynęły na koncepcji szybkiego wybuchu wojny z Rosją sowiecką i powrotu do Kraju. To była polityka dojutrkowania, z której wynikła np. zgoda na koncepcję brytyjską rozwiązania szkolnictwa polskiego przy pomocy likwidującego się właśnie — co za dziwny zbieg okoliczności, bo z wybuchem kryzysu Władz Legalnych Państwa na Uchodźstwie — Komitetu dla Spraw Oświaty Polaków w W. Brytanii. Co poza tym robił Rząd R.P.? Gromił „zdrajcę" St. Mikołajczyka i mówił dużo o miłości dla cierpiącego Kraju, zaś uchodźstwo wzywał do wierności dla władz legalnych. Orędzia rocznicowe, akademie i walne zebrania organizacji społecznych były jedyną formą wyżywania się naszych uczuć, żadnego planowania niestety nie było i... nie ma.

Czym była Rada Polityczna ? Nieudałą próbą wysadzenia z siodła Władz Legalnych. Koncepcją polityczną, wizją czasów najbliższych ? Wol-

ne żarty ! Komisja Krajowa Rady Politycznej zakończona Bergiem dowodzi niezbicie o bezdrożach myślowych i poczuciu braku rzeczywistości jej autorów i wykonawców, a może i braku poczucia odpowiedzialności.

Stanisław Mikołajczyk i Ska miał koncepcję ratowania Kraju przez powrót i działania na miejscu. Poniósł klęskę co było nieuchronne, ale wykazał wolę ratowania narodu. Okrzyczano go zdrajcą Polski, wyszydzano po dramatycznej ucieczce z Kraju kiedy się nie pokajał i nie włączył do Państwa na Uchodźstwie. Zaczął działać we własnych zwolenników kole, oficjalnie odrzucając system polityczny oparty na Władzach Legalnych Państwa na Uchodźstwie. Rola Mikołajczyka ograniczyła się niestety też jedynie do zwalczania — na rynku wewnętrznym polskim — przeciwników z obozu legalistów. Co zrobił na odcinku uporządkowania życia uchodźstwa, nadania mu programu trwania, włączenia do walki o wyzwolenie Polski ? Poza wysyłaniem not do rządów obcych mocarstw trudno mi coś więcej zauważyć.

Czym było zjednoczenie — czy też próby zjednoczeniowe ? W idealnych swych założeniach były próbą ujednolicenia i wzmożenia działalności władz legalnych, uzyskania dla nich szerszego oparcia w kołach emigracji. Państwo na Uchodźstwie okazało się przy sprzeczce jej zagorzałych zwolenników skostniałą formą, z której uleciał duch i podstawowe założenia ideowe.

Ci, których uważał dotąd ogół za swoich przywódców okazali się przerażająco mali, zapatrzeni tylko w siebie samych, bez poczucia rzeczywistości i odpowiedzialności przed nie tylko historią ale i Bogiem, na którego tak się powołują. Blaga wyszła na jaw. Społeczeństwo oniemiało ze zdziwienia i poczucia krzywdy.

Wydaje mi się, iż rozczarowanie mas narodu we wrześniu do ówczesnych dzierżycieli rządu było podobne w swej istocie. Po wstrząsie psychicznym przyjdzie otrzeźwienie i to co zdolne do dalszego trwania i pracy konstruktywnej skupi się wokół ludzi czynu, zdrowej koncepcji, realnych planów i wizji czasów przyszłych. Przegrupowanie w strukturze politycznej jest nieuniknione. Trupy polityczne przejdą w zapomnienie, bo życie idzie naprzód.

Czy uda się „uratować" legalizm w dotychczasowej formie, oraz czy kontynuowanie go jest celowe ? Wydaje mi się w każdym razie, iż przeobrażenia muszą nastąpić bardzo głębokie, a jeżeli chodzi o skład osobowy to dość zasadnicze.

Z przerażeniem przeczytałem w londyńskim „Orle Białym" (Nr 40) artykuł który miał być polemiką z artykułem Mieroszewskiego w „Kulturze". Szumny tytuł „Kaskada absurdów". Argumenty ? Obrona własnej koncepcji ? Przeciwstawienie innych wniosków ? Nic podobnego. Jeżeli argumentem ma być zarzut iż prasa reżymowa w Polsce okupowanej cytuje dowolnie dobrane urywki artykułu „Kultury" dla zdyskredytowania emigracji — to współczuję Redakcji „Orła Białego". Organ „Wodza" nic nie potrafił przeciwstawić „kaskadzie argumentów" wnikliwej analizy i podsumowania okresu zamykającego idyllę dojutrkowania i stwarzania pozorów o pracy dla Kraju. Dobrze się stało, iż ta bańka mydlana pękła przez kryzys, wywołany nieporozumieniami w rodzinie nieusuwalnych i dożywotnich.

Wydaje mi się, że Ruch Ludowy, rozbity — na tle stosunku do wyjazdu St. Mikołajczyka do Kraju w roku 1945 a następnie na tle stosunku do legalizmu w roku 1951 — aż na trzy odłamy winien ratować obecnie sytuację i spowodować połączenie się wszystkich myślących trzeźwo i uczciwie ludowców dla wypracowania nowej koncepcji form życia i politycznego działania uchodźstwa dla przygotowania się do walki o cel Nr 1.: o wyzwolenie Polski. Nie chodzi o błędy przeszłości, gdyż popełnialiśmy je

wszyscy, jeden grubsze, drugi mniejsze, zależnie od zajmowanego stanowiska i możliwości ich dokonania. Nie silmy się na rzeczy i hasła wielkie, gdyż od tych haseł wielkich uszy nam już popuchły. Zróbmy na początek małą rzecz, poświęćmy swoje osobiste ambicje i weźmy się do pracy nad wypracowaniem koncepcji uratowania tysięcy uchodźstwa od stracenia wiary w zdolności Polaków rządzenia sobą. Nauczmy ludzi żyć dla Polski i żyć zgodnie, pracować bez szumu i wielkich słów.

A. GAS

Londyn.

◆

Szanowny Panie Redaktorze,

Pogląd Londyńczyka, jakoby w związku z pożałowania godnymi wypadkami w Londynie „legalny sekwens prezydentów R.P. w oparciu o Konstytucję r. 1935 kończył się na p. Zaleskim" i że „kryzys konstytucyjny spowodowany decyzją czerwcową wyklucza — w warunkach emigracyjnych — ponowne obsadzenie urzędu prezydenta w sposób legalny i zgodny w Konstytucją — jest oczywistym absurdem.

Londyńczyk uważa — ujmując rzecz krótko — że w wyniku wydarzeń londyńskich od 9 czerwca br. począwszy, legalizm polski skończył się i trzeba szukać innej formy działania.

Legalizm — to znaczy ciągłość państwa polskiego przez ten legalizm reprezentowana.

Gdyby to była prawda, że ciągłość jakiegokolwiek państwa, a również polskiego, ulega przerwaniu, którego nie da się odrobić, ponieważ w życiu tego państwa zachodzą jakieś mniejsze lub większe wstrząsy, powodowane wewnętrznymi czy zewnętrznymi przyczynami, to Niemcy od chwili zakończenia wojny aż do powołania dwu rządów, jednego w Niemczech Zachodnich, a drugiego we Wschodnich — przestałyby być państwem i należałoby zaczynać od p. Adenauera dzieje zupełnie nowego i innego państwa niemieckiego. Wiemy, że tak nie jest. Zarówno historycy, jak znawcy prawa międzynarodowego będą niewątpliwie oceniali (i już oceniają) fakt zupełnego zerwania formalnej ciągłości państwowej Niemiec, dokonanego w dniu zakończenia wojny przez zlikwidowanie wszelkich instytucji i symbolów państwa niemieckiego, za zjawisko przejściowe i bez żadnego znaczenia dla zachowania ciągłości państwa niemieckiego. Państwo niemieckie, rozbite doszczętnie i pozbawione swoich najwyższych instytucji państwowych, a nawet dziś podzielone, nie przestało być tym samym państwem, które istnieje od chwili zjednoczenia Rzeszy niemieckiej.

Porównanie tego problemu z rozbitym garnczkiem jest, być może, wdzięczne swoim prymitywizmem, ale nie nadaje się do tego tematu. Problem ciągłości państw i żywotności ich form i istnienia, to jednak coś więcej niż rozbity garnek p. Londyńczyka.

Klaudiusz HRABYK

New York, 23 września 1954.

◆

Artykuły pp. Hostowca i Mieroszewskiego we wrześniowym zeszycie „Kultury" oparte są na założeniu, że reżym komunistyczny w Polsce nie rychło się skończy. P. Hostowiec przewiduje nawet „stabilizację stosunków" w kraju i określa dziesięć ubiegłych lat rządów komunistycznych jako „fazę tymczasowości i improwizacji". Pisząc o literaturze, pociesza się, że pewnego dnia „kierownikom literatury okażą się potrzebne książki o głęb-

szym zasięgu" i że wtedy ,,zagadnienie literatury kierowanej dojrzeje do przemyślenia na serio". P. Mieroszewski zaś pisze: ,,według wszelkiego prawdopodobieństwa — nie powrócimy". Albowiem ,,nie jest wykluczone, że ani do konfliktu ani do poważniejszych przemian nie dojdzie na przestrzeni najbliższych 20 czy 30 lat".

P. Hostowiec nie zdradza przesłanek swoich przewidywań, a p. Mieroszewski poprzestaje na stwierdzeniu: ,,Historia uczy, że wojny, które powinny wybuchnąć, albo w ogóle nie wybuchają, albo z półwiekowym opóźnieniem". Tę obserwację historiozoficzną uważa za wystarczającą podstawę dla całego programu emigracji, w którym troskę o niepodległość Polski pragnie zastąpić troską o to, ,,czy świat jutra będzie światem wolnych ludzi".

Daleki jestem od oskarżenia pp. Hostowca i Mieroszewskiego o ,,defetyzm". Być może, przewidywania takie należą już dziś do komunałów, nie zauważyłem jednak, kiedy i dla czego się nimi stały. Jeżeli nie mamy ich traktować jako wyrazu depresji nerwowej, musimy domagać się, by nam je uzasadniono. Kto bowiem nie podda się sugestii tonu, w jakim są wypowiadane, musi dostrzec, że jest to deklaracja polityczna.

Na razie, możemy się motywów tych przewidywań tylko domyślać. O jednej z przesłanek swego pesymizmu p. Mieroszewski pisał w zeszycie czerwcowym ,,Kultury", gdy zauważył, że amerykańska polityka zagraniczna pozwala być ,,równocześnie pro-sowieckim i pro-amerykańskim". Niestety, jest to jednak znów raczej konkluzja domyślnego rozumowania. Co do p. Hostowca, to niektóre jego publikacje powojenne pozwalają przypuszczać, że wierzy w niewygasłe niebezpieczeństwo niemieckie i nieuniknioną przewagę Rosji i Ameryki w świecie, a więc we względną trwałość równowagi światowej. Jako czytelnik ,,Kultury" wolałbym jednak znać motywy pesymizmu pp. Hostowca i Mieroszewskiego, niż domyślać się ich.

Czas już chyba rozproszyć mroki, jakie osłaniają myśl polityczną emigracji. Jeżeli jeszcze wczoraj ,,pozostawaliśmy na emigracji, by walczyć o niepodległość Polski", a dziś godzimy się nie tylko, by nam ten cel zniknął z oczu, ale by sprawa niepodległości w ogóle ustąpiła na drugi plan, to trzeba powiedzieć wyraźnie, czym się ten zwrot o 180 stopni tłumaczy.

Jan ULATOWSKI

Paryż.

List w pokrewnym tonie i z identycznymi zarzutami (ograniczonymi co prawda tylko do artykułu p. Mieroszewskiego) nadesłał również Ks. Jan M. Szymusiak z Paryża. (Red.)



Łaskawy Panie Redaktorze,

Na bezpośrednie listy przyjaciół współczytelników ,,Kultury" pragnąłbym, jeżeli wolno raz jeszcze nadużyć uprzejmości Redakcji, wyjaśnić co następuje:

Mój pogląd (Nr 6/80 ,,Kultury"), że obecnie dla Kraju szansa przetrwania i zaważenia leży — wojna czy pokój — tylko w przykrej roli pierwszego i wolnego od dywersji satelity Sowietów, sam uznam za nieaktualny *w wypadku i od chwili* 1) wojny czy ekwiwalentu *w formie i w fazie* zapewniającej: 2) zwycięstwo USA, 3) szybkie i totalne, 4) nie oparte (w Europie) na dominacji niemieckiej. Ze wszystkich możliwych ewentualności, ten poczwórny splot wydaje się dziś najmniej prawdopodobny. Niemniej

wysiłki w kierunku jego osiągnięcia, bez „zadatkowania" go dywersją w kraju, będą zawsze, w razie choć najdrobniejszych szans, godne najwyższego uznania.

Emigracja : niszczenie podstaw jedności w imię „Zjednoczenia" kilku więcej handlarzy mitami „mandatów krajowych" jest sprawą widmowej już garstki partyjnych szamanów. Czy nie czas oprzeć deliberujące organa Emigracji *wyłącznie* o wybory przez szarego płatnika — tę owcę wczoraj pieczoną, dziś strzyżoną, jutro...?

Łączę wyrazy poważania

Jerzy KRZECZUNOWICZ

◆

Wielce Szanowny Panie Redaktorze !

W Nr 7/81-8/82 „Kultury" w artykule pt. „Niestety Ameryka", napisanym w formie listu otwartego do Prezydenta Stanów Zjednoczonych, żali się pan Janusz Kowalewski na niesprawiedliwość władz amerykańskich, usuwających go, bez podania powodów, z posady w „Głosie Ameryki".

Zdaniem moim zarówno poziom artykułu jak i jego ton stanowią przeciwieństwo tego co czytelnicy „Kultury" przyzwyczaili się w niej znajdować, a w związku z tym również od niej oczekiwać.

Ważny w zasadzie problem, niedopuszczalności dowolnego postępowania władz w prawdziwie demokratycznym ustroju, został przez autora potraktowany nad wyraz niezręcznie i niepoważnie.

Artykuł roi się od niewybrednych powiedzonek i wątpliwego smaku dowcipów (np. kazirodztwo z własną żoną, włosy na łysej głowie itp.), których niestosowność podkreśla jeszcze forma listu otwartego do osoby sprawującej jeden z najpoważniejszych na świecie urzędów.

Należy wątpić, aby w tych warunkach osobista krzywda autora zyskała na wyrazie w oczach czytających jego artykuł. Na zakończenie pragnąłbym dodać, że gdyby tylko nieznaczna część rozproszonych na emigracji Polaków zamieszczała w „Kulturze" opis swych uzasadnionych żalów na postępowanie władz krajów ich zamieszkania — każdy zeszyt „Kultury" zyskałby niewątpliwie bardzo poważnie na objętości.

Czy jednak byłby czytany z dotychczasowym zainteresowaniem, tego nie można być całkiem pewnym.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku

Stanisław CHROMIŃSKI
Australia.

◆

Szanowny Panie Redaktorze,

W sprawozdaniu z kongresu Collegium austriackiego w Alpbach, w numerze 10/84 „Kultury", Paweł Hostowiec pisze, że po 1918 Austriacy utracili zainteresowanie dla Cisleitanii. Jest to oczywisty lapsus. Cisleitanię stanowiły kraje korony austriackiej, leżące na zachód od Leity, która była granicą między Austrią i Węgrami. Kraje korony węgierskiej, leżące na wschód od tej rzeki nosiły nazwę Transleitanii i tę ostatnią autor ma zapewne na myśli.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

Leon FURATYK

Szanowny Panie Redaktorze,

Książka w ,,W imieniu Rzeczypospolitej" pisana żywo, powiedziałbym stylem wojennym, daje doskonały obraz stosunków polskich pod okupacją niemiecką od 1940 do 1945 roku, które absolutnie niczym nie różnią się od tych które obecnie panują w polskim Londynie.

Ten sam zanik myśli politycznej, to samo zacietrzewienie, te same walki partyjne, ten sam przerost klik i fikcji oraz taki sam bezmyślny kult ,,wodzów". Czyli dzisiejszy Londyn to mała Polska spod okupacji niemieckiej.

Jednym słowem nawrót do czasów saskich i sławnego ówczesnego hasła ,,siła Polski (emigracyjnej) w jej nierządzie" — co przeciętnemu Polakowi z Polonii w głowie się nie mieści i wprost nie do wiary, aby w dwudziestym wieku atomowym polscy politycy w Londynie byli wiernymi sobowtórami ,,szlachetczyzny" saskiej w najgorszym tego słowa znaczeniu.

Z poważaniem

M. GÓRCZEWSKI,
Toronto.



Drogi Panie Redaktorze,

Zdarza się że pochwały są bardziej żenujące niż przyjemne. W ostatnim numerze ,,Kultury" Juliusz Mieroszewski pisze, że ,,góruję nad przedwojennym Słonimskim". Jestem zasadniczo przeciwnikiem formy krytyki operującej pojęciami ,,polskiego Manchesteru", ,,małego Paryża", czy ,,nowego Wincentego Pola". W tym wypadku ocena wydaje mi się krzywdząca dla Słonimskiego-poety dramaturga, powieściopisarza... Jako esseista Słonimski był wspaniale ciętym racjonalistą o ściśle określonym poglądzie na świat i zainteresowaniach, które są mi raczej obce.

Widzę zaledwie jeden punkt styczności : zaliczano mnie nieraz, podobnie jak Słonimskiego, do ,,żydomasonów", i ,,zgniłych liberałów". W tej kategorii może i ja obecnie ,,góruję" bo w dzisiejszej Polsce ,,zgniły liberalizm" Słonimskiego jest siłą rzeczy ograniczony. Ale przecież są to etykiety obce Juliuszowi Mieroszewskiemu.

Racz przyjąć, drogi Panie Redaktorze, wyrazy wysokiego szacunku.

K. A. JELEŃSKI

DOBRE OBYCZAJE I PRAWDOMÓWNOŚĆ „DZIENNIKA POLSKIEGO"

Gdy londyński „Dziennik Polski" zamieścił notatkę nie odpowiadającą prawdzie, natomiast zarzucającą nam kłamstwo przesłaliśmy do redakcji w dniu 13. 10. 54. poniższy list z prośbą o jego zamieszczenie, celem sprostowania „nieścisłości". Oto treść:

Redaktor „Dziennika Polskiego",
London, S.W.1.

W n-rze 243 „Dziennika Polskiego" z dnia 12. X. 1954, w rubryce „Podsłuchane", Redakcja „Dziennika" zamieściła „sprostowanie" wiadomości podanej w tejże rubryce poprzednio, a dotyczącej Stefana Zamoyskiego i „Kultury". O ile poprzednio Redakcja „Dziennika" podała, że Zamoyski d a ł *„Kulturze" czek na £ 3.500, o tyle w „sprostowaniu" stwierdziła, że „Stefan Zamoyski wyjaśnia że nie podpisał czeku na £ 3.500, lecz wystarał się dla „Kultury" o* k r e d y t *w tej wysokości".*

„Sprostowanie" to odpowiadałoby całkowicie prawdzie gdyby nie zostało opatrzone następującym komentarzem : „Tego istotnego szczegółu „Kultura" bynajmniej nie podała".

Nie insynuując bynajmniej, że wszystkie wiadomości, zamieszczane w rubryce „Podsłuchane" „Dziennika Polskiego" odpowiadają w równym stopniu prawdzie jak powyższa wzmianka — stwierdzam, że w cytowanym przez „Dziennik Polski" wrześniowym numerze „Kultury" (Nr 9/83), *donosząc o udzielonej nam pomocy, napisaliśmy na stronie 4-ej : „Mam dla was trzy i pół miliona* pożyczki — *telefonuje Stefan Zamoyski* — raty zwrotu omówimy".

Uprzejmie proszę o najszybsze zamieszczenie w „Dzienniku" niniejszego listu.

Redaktor „Kultury"
(Jerzy Giedroyc)

List nasz *nie został w „Dzienniku" zamieszczony*, natomiast w dniu 23. X. 54. otrzymaliśmy odpowiedź redaktora „Dziennika" treści następującej:

Londyn, 21. 10. 1954.

Redakcja „Kultury",
Maisons-Laffitte.

Z notatki „Kultury" (Nr 9/83.) *bynajmniej nie wynikało jasno, że p. Stefan Zamoyski nie udzielił sam pożyczki „Kulturze", lecz że — zgodnie z tym co nam oświadczył — wystarał się jedynie od kogoś innego o kredyt dla pisma. Wrażenie, że pomoc, w formie daru czy też pożyczki pochodziła od p. S. Zamoyskiego wzmagał jeszcze fakt umieszczenia jego nazwiska obok nazwisk pozostałych dwu ofiarodawców.*

Do tej właśnie niejasności odnosiło się zdanie Dziennika : „Tego istotnego szczegółu „Kultura" nie podała".

(T. Horko)
Redaktor Naczelny.

Zestawienie tych dwóch listów nie wymaga komentarzy.

RÉSUMÉ EN LANGUE FRANÇAISE

L'article de Konstanty REGAMEY est consacré à l'excellent jeune compositeur polonais Andrzej Panufnik, qui quitta sa position privilégiée en Pologne pour se réfugier à l'Occident il y a quelques mois. Panufnik, dont le talent, avec toute sa culture et subtilité, est libre et généreux, ne put composer aucune œuvre nouvelle durant les quatre dernières années qu'il vécut sous le régime communiste.

Pawel HOSTOWIEC réunit des impressions de concerts, de virtuoses : toute une vie d'un amateur de musique, et certains de ses rêves...

Le point culminant du « Journal » de Witold GOMBROWICZ, c'est, cette fois, son aventure avec un pas-tout-à-fait-crocodile...

Jan TOKARSKI termine son analyse de l'humanité des saints.

Une longue amitié lie W.A. ZBYSZEWSKI à Stanislaw Mackiewicz, premier ministre du Gouvernement polonais de Londres. Si Zbyszewski s'en donne à cœur-joie aux dépens de notre comédie politique en exil, la silhouette de Mackiewicz n'en sort point diminuée.

Kultura précise son point de vue au sujet de la « crise » politique polonaise à Londres :

1° La Constitution polonaise de 1935 est devenue inopérante en exil;

2° Au lieu de sauver un « légitimisme » par trop compromis, il faut établir une notion de responsabilité réelle, à travers des élections organisées par l'émigration polonaise.

Juliusz MIEROSZEWSKI étudie, dans un article intitulé « Les Intellectuels et l'Amérique », les principaux motifs de « l'anti-américanisme » européen. Il pense que les Américains ne se rendent pas suffisamment compte de l'influence des intellectuels européens sur l'opinion publique. Quel est l'attrait de la conception « neutraliste » ? Quelles sont les compensations qu'offrent aux intellectuels les communistes en échange de la liberté ? Quelles sont les contradictions internes de la théorie du « Containment » ? Mieroszewski essaie de répondre à ces questions. Pour l'instant, il estime que le « philo-américanisme » ne peut être pour un Européens une « conception », mais tout au plus un acte de foi.

Une chronique australienne décrit la vie économique et sociale de ce continent, en étudiant particulièrement l'apport de l'émigration polonaise.

La revue allemande est consacrée en premier lieu à la question de l'état-major allemand.

Dans la section de « la plus récente histoire de Pologne », Jozef MACKIEWICZ rectifie certaines affirmations récentes de Czeslaw Milosz, en décrivant une période fort peu connue, et dont on évite souvent de

parler : la vie à Wilno de 1939 à 1944, avec les tensions entre Polonais et Lithuaniens, frères-ennemis entre ennemis autrement puissants : l'Allemagne et l'U.R.S.S.

Stanislaw PIOTROWSKI, un jeune architecte polonais en exil, étudie le développement de l'architecture en Pologne de 1944 à 1954. Il déplore que l'architecture polonaise, acquise avant la guerre aux conceptions les plus modernes et avancées, soit maintenant soumise aux courants périmés et « réactionnaires » du néoclassicisme soviétique.

A propos des représentations parisiennes du ballet « Mazowsze » (quelque peu naïf, mais charmant), K.A. JELENSKI est frappé par l'attachement paradoxal des communistes au folklore.

Stanislaw ZARZEWSKI étudie le problème « Coexistence-Commerce Est-Ouest. La « coexistence » n'est pas une conception politique : c'est aujourd'hui un fait. Le commerce Est-Ouest en est le corollaire. Mais ce n'est pas une panacée, et il faut en comprendre les dangers, tout en profitant de ses avantages.

La chronique culturelle et des revues de livres polonais et étrangers complètent le numéro.

ENGLISH SYNOPSIS

Konstanty REGAMEY gives a profile of the excellent young Polish composer Andrzej Panufnik, who recently left his privileged position in Poland and chose to live in exile in Great Britain. Panufnik, whose cultivated and subtle talent was always free from inhibitions, was unable to compose one single new work during the last four years he spent in communist Poland.

Pawel HOSTOWIEC jots down memories and impressions of concerts, composers, executors : a music-lover's life and some of his dreams...

Witold GOMBROWICZ'S « Diary » begins with litterature and ends with some disconcerting crocodile hunting...

Jan TOKARSKI ends his essay on the essential humanity of saints.

W.A. ZBYSZEWSKI is tied by an old friendship to Stanislaw Mackiewicz, prime minister of the Polish Government in London. He looks with sceptical humour at the Polish political «crisis» in exile, but Mackiewicz's powerful stature comes out unimpaired of this profile.

Kultura gives its point of view on the Polish crisis in London:

1. The Polish constitution of 1935 has ceased to be operative in exile;
2. Instead of rescuing an all too compromised «legalism», it is time to establish a basis for real responsabilities by organising elections among Polish exiles.

Juliusz MIEROSZEWSKI studies, in an essay on «Intellectuals and America», the principal motives of the prevalent European «anti-americanism». He thinks that Americans do not appreciate the real importance of European intellectuals in forming public opinion. What is the attraction of the «neutralist» conception? What are the compensations given by the communists to intellectuals in exchange of freedom? What are the internal contradictions of the «containment» theory? Mieroszewski endeavours to answer these questions. For the time being, he thinks that a «proamerican» attitude can not rank, for an European, as a «conception», but is limited to an act of faith.

An Australian review concerns economic and social questions and in particular the impact of Polish emigration on Australian life.

The German review is concerned in the first place with the German General Staff.

In the section of «the most recent Polish history», Jozef MACKIEWICZ refutes statements of Czeslaw Milosz, concerning a period which is little known: life in Wilno from 1939 to 1944. Mackiewicz gives a picture of rivalties between Poles and Lithuanians, set against the background of altogether more important conflicts with Germany and Soviet Russia.

Stanislaw PIOTROWSKI, a young Polish architect, studies the development of Polish architecture from 1944 to 1954. He deplores that Polish architecture, before the war given to modern and progressive conceptions, has now become a mere reflection of the «reactionary» currents of Soviet neoclassicism.

K.A. JELENSKI speaks of the Paris performance of the «Mazowsze» ballet (a somewhat naive, but charming show). He is struck by the paradox of the communists' predilection for folklore.

Stanislaw ZARZEWSKI studies the problem of «Co-existence-East-West trade». «Co-existence» is not a political conception, but a fact established in contemporary life. East-West trade is its corollary. But it is no panaceum, and one must understand its dangers, while taking advantage of its possibilities.

The cultural chronicle and reviews of Polish and foreign books complete the present issue.

Wydawca : Edition et Librairie „LIBELLA",
12. rue St-Louis-en-l'Ile, Paris-(IVe).

Directeur-gérant : Mme Christiane Karasiewicz
Dépôt légal : 4e trimestre 1954

‹ULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 1, Av. Corneille, Maisons-Laffitte (S. et O.)
Telefon : Maisons-Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		½-roczna	Roczna
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, ;, 15 th. St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, „Libreria ɔlaca", Serrano 2076, Buenos Aires	10 peso	60 peso	120 peso
AUSTRALIA: „Vistula" (Australia) PTY Ltd., ', Pitt Street, Sydney	5 sh. (a.)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6.
BELGIA I KONGO BELG.: Janina Korab **rzozowska-Csaky,** 62, Vanderkindere, Bruxelles-ccle, Nr konta pocztowego 7315-20	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: **Julia** **arcińska,** r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de ıneiro, oraz **Zofia Kietlińska,** Av. Batel 1514, uritiba, Parana; **Hanna Lekszycka,** rua Guiarâ :9, vila Pompeia, Sao Paulo	25 cruz.	150 cruz.	250 cruz.
BRYT. AFRYKA WSCH. (Kenya, Tangany-, **Uganda), Roman Królikowski,** POBOX 5979, airobi, Kenya	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
FRANCJA: „Libella", 12, rue St-Louis-en-l'Ile, aris (4e)	180 fr.	900 fr.	1.800 fr.
KANADA: K. Krakowska, 3445 Marlowe Ave., .D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; **Ja-ique Trading Co.,** 835 Queen St. W. Toronto 3, nt.; **St. L. Lemański,** 570 Aberdeen Ave., Win-ipeg/Man.; **H. R. Radomski,** 107, Rose Park Dri-, Toronto/Ont. Tel. HY-0829; **St. Zybała,** 1089 ueen St. W., Toronto/Ont.; **„Związkowiec",** 700 ueen St. W. Toronto/Ont.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanisławski, Apartado ostal 206, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: „Ostatnie Wiadomosci", Gendarme-e Kaserne, Mannheim-Schoenau; **St. Mikiciuk,** eehammer-Str. 4, Baracke 16B/2, München 54	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NORWEGIA: Br. Łubiński, Moss, Kongesgt. 2.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 2, rue Thal-erg, Genève, Tél. 32-32-92	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
SZWECJA: Red. Norbert Żaba, Kallskärsga-n B/IV, Stockholm	75 cent.	4 dol.	6 dol.
U.S.A.: Józef Białasiewicz, 1165, Milwaukee ve., Chicago 22, Ill.; **W. Bieńkowski, „Gryf** ubl.", 615 Henry St., Utica, N.Y.; **L. Dudarew** **ssetyński,** 1818 No Sierra Bonita Ave., Holly-ood 46, Calif.; **S. Dziarczykowski,** 3216 W.— 5 St., Los Angeles 19, California; **M. K. Dziewa-owski,** 27, Aberdeen Ave, Cambridge, Mass.; . **Konopacki,** 1356 E. 86 St., Cleveland 6, Ohio. el. SW-1-2040; **Ch. M. Kretowicz,** 2109 Robin-ood Ave, Toledo 2, Ohio; **A. Pleszczyński,** P.O. ox 750, Santa Barbara, California; **M. Szy-rowski,** 11 Cooper Street, New York 34, N.Y.; . **Trojanowski,** 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA: „Gryf" Publication Ltd., 169-71, Battersea Church Road, London, S.W.11.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
WŁOCHY: Ewa WIERUSZ-Kowalska, Corso rieste 130/5, Roma, tel. 859632.	300 lir	1.750 lir	3.000 lir

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedyńczego numeru: 30 frs.

'ależności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres : erzy **GIEDROYC,** 1, Avenue Corneille, **Maisons-Laffitte** (S.-et-O.)

Cena ogłoszeń: cała strona 12.000 fr.; 1/2 str. 7.000 fr. fr. (okładka +50%)



IMPRIMERIE RICHARD, Paris-18e

Cena 180 frs.